

Pamiętnik znaleziony w wannie

Stanisław Lem



calibre 1.44.0

STANISŁAW LEM

PAMIĘTNIK ZNALEZIONY W WANNIE

WSTĘP

Zapiski człowieka neogenu stanowią jeden z najcenniejszych zabytków zamierzczej przeszłości Ziemi. Pochodzą ze schyłkowego okresu kultury prechaotycznej, która poprzedziła Wielki Rozpad. Jest ironicznym paradoksem dziejów, że

0 cywilizacjach wczesnego neogenu, o prakulturach Asyrii, Egiptu, Grecji wiemy daleko więcej aniżeli o czasach praatomistyki i astrogacji pierwotnej. Te archaiczne kultury pozostawiły po sobie wszakże trwale pomniki z kości, kamienia, łupku i brązu, podczas gdy w środkowym i późnym neogenie do utrwalania całokształtu wiedzy służył tak zwany papyr.

Tę pochodną celulozy, substancję wiotką, prawie białą, walcowano i cięto na czworoboczne arkusze, na których ciemną farbą tłoczono wszelkiego rodzaju informacje, po czym składano je razem i zszywano w specjalny sposób.

Aby pojąć, jak doszło do Wielkiego Rozpadu, owej katastrofy, która w przeciągu tygodni zniszczyła dorobek wieków, trzeba cofnąć się o trzy tysiące lat. W czasach tych nie istniała metamnetyka ani technika krystalizowania informacji. Wszystkie funkcje dzisiejszych mnemorów i gnostronów spełniał papyr. Istniały już, co prawda, pierwociny pamięci mechanicznej, były to jednak maszyny ogromne

I kłopotliwe w obsłudze, używane zresztą do celów specjalnych i wąskich. Zwano je „elektrycznymi mózgami”, dla tej samej, tylko z dystansu historycznego zrozumialej przesady,

którą powodowani budowniczo Malej Azji mieli wieżę świątyni Baa-Bel za sięgającą nieba.

Nie wiemy dokładnie, kiedy ani gdzie wybuchła epidemia papyrolizy. Prawdopodobnie stało się to w południowych, pustynnych regionach ówczesnego państwa Ammer-Ku, gdzie budowano pierwsze przystanie kosmiczne. Współcześni nie pojęli zrazu zagrażającego im niebezpieczeństwa. Surowy osąd ich lekkomyślności, wypowiadany przez wielu późniejszych historyków, trudno nam podzielić. Papyr nie odznaczał się istotnie szczególną trwałością, nie można jednak czynić kultury prechaotycznej odpowiedzialną za to, że nie przewidywała istnienia kataklyzmy RV, znanego też jako czynnik Harcjusza. Zresztą rzeczywistą naturę tego czynnika wykrył Folses Prodoktor Szósty dopiero w okresie galaktyjskim, ustaliwszy, iż kolebką jego jest trzeci księżyc Urana. Zawleczony nieświadomie na Ziemię przez jedną z wczesnoorbitalnych wypraw odkrywczych (według Prognostora Phaa-Waaka była to ósma ekspedycja małaldecka), wywołał czynnik Harcjusza lawinowy rozpad papyru na całym globie.

Szczegółów kataklyzmu nie znamy. Według ustnych przekazów, skryzalizowanych dopiero w czwartym galaktium, ogniskami epidemii były wielkie zbiornice wiedzonośnych papyrów, tak zwane bao-blyo-theki. Reakcja zachodziła prawie momentalnie. Na miejscu bezcennych złóż społecznej pamięci pozostawały stosy szarego, lekkiego jak popiół pyłu.

Uczni prechaotycy sądzili, iż mają do czynienia z atakującym papyr zarazkiem, i wiele czasu stracili na daremnych poszukiwaniach. Trudno odmówić słuszności gorzkiej uwadze Histognostora Czwartego Taurydzkiego, że lepiej przysłużyliby się ludzkości, gdyby ów zmarnowany czas poświęcili raczej przekuwaniu rozpadających się treści w kamieniu.

Późny neogen, okres katastrofy, nie znał grawitroniki, cyberkonomiki ani syntezyki. Gospodarka poszczególnych grup etnicznych, zwanych nacyami, nosiła charakter względnie autonomiczny. Była ona w bezwzględny sposób uzależniona od krążenia papyru. Od niego też zależała ciągłość

dostaw na Marsa, gdzie Tyberis Syrtyjska znajdowała się w pierwszym stadium budowy.

Papyroliza trujnowała nie tylko życie gospodarcze. Czasy owe nazywa się, nie bez słuszności, epoką papyrokracji. Papyr regulował i koordynował wszelkie zbiorowe czynności ludzi, a nadto jeszcze określał, w sposób trudno dla nas zrozumiały, losy jednostek (jako tak zwany „papyr osobisty”). Zresztą użytkowych i rytualnych znaczeń papyru w ówczesnym folklorze (a katastrofa przypadła na okres najwyższego rozkwitu kultury prechaotycznego neogenu) dotąd całkowicie nie skatalogowano. Znaczenie jednych jego rodzajów znamy, z innych pozostały tylko puste nazwy (aphisse, para-gony, baun-knooty, doku-męty i in.). W epoce owej niepodobna się było urodzić, wzrastać, kształcić, pracować, podróżować ani zdobywać środków utrzymania bez pośrednictwa papyru.

W tym świetle objawiają się rozmiary katastrofy, jaka dotknęła Ziemię. Wszelkie środki zaradcze: kwarantanna, izolacja całych miast i kontynentów, budowa schronów hermetycznych - zawiodły. Nauka ówczesna była bezsilna wobec subatomowej struktury kataklyzmy, który powstał w toku ewolucji anabiotycznej. Po raz pierwszy w historii więziom społecznym zagroził całkowity rozpad. Jak głosi napis, odcyfrowany na ścianie łaźni w wykopaliskach Fri-Sco (jednego z najlepiej zachowanych miast południowego Ammer-Ku), wyryty przez anonimowego piewę kataklyzmu, „niebo zaczęło się nad miastami od chmur rozpadłego papyru, a potem przez czterdzieści dni i nocy padał brudny deszcz, a tak z wiatrem i potokami błota spłynęła z oblicza Ziemi historia ludzka”.

Był to, w samej rzeczy, okrutny cios, zadany dumie człowieka późnego neogenu, który w swym mniemaniu sięgał już do gwiazd. Koszmar papyrolizy wchłaniał w siebie wszystkie dziedziny życia. W miastach wybuchła panika, pozbawieni indywidualności ludzie tracili rozsądek, załamywały się dostawy dóbr, dochodziło do aktów przemocy, technika, rozwój nauk, szkolnictwo - rozpadały się i ginęły. Gdy centrale energetyczne stawały, nie można ich było dla braku planów naprawić. Gasły światła elektryczne, a nastąpiła ciemność rozwidniały płomienie pożarów.

Tak wkroczył neogen w czasy chaotyczne. Trwać miały one dwieście z górą lat. Pierwsze ćwierćwiecze Wielkiego Rozpadu nie pozostawiło żadnych pisanych kronik, z aż nadto dobrze rozumiałych względów. Tak więc domyślać się tylko możemy, w jakich warunkach usiłował rząd przed półwieczem powstałej Federacji Ziemskiej zapobiec rozpadowi społeczeństwa.

Im wyższa cywilizacja, tym żywotniejsze staje się dla niej podtrzymanie krążenia informacji, tym wrażliwsza jest na każde tego krążenia zakłócenie. Ów krwiobieg społeczny ustawał. Jedyńą skarbnicą wiedzy była pamięć żyjących fachowców, ją więc trzeba było utrwalić przede wszystkim. Problem, Z pozoru względnie prosty, okazał się nie do rozwiązania. Wiedza późnego neogenu była tak rozczłonkowana, że żaden specjalista nie ogarniał całości swej dziedziny. Odtworzenie wymagało więc żmudnej, długotrwałej współpracy grup specjalistycznych. Gdyby podjęto ją natychmiast - twierdzi Laa Bar Polignostor Ósmy z Bermandzkiej Szkoły Historycznej - cywilizacja neogenu zostałaby rychło zrekonstruowana. Znakomitemu twórcy systematyki chronologicznej neogenu trzeba odpowiedzieć, że być może postulowane przezeń działanie doprowadziłoby do nagromadzenia gór wiedzy, ale - po spełnieniu zadania - nie miałby z nich kto korzystać. Nie byłyby do tego zdolne hordy koczowniców opuszczające ruiny zdewastowanych miast, a dziedzicze ich dzieci nie znalazłyby już wcale sztuki czytania ani pisania. Cywilizację przychodziło ratować w chwili, gdy rozpręgał się przemysł, ustawało budownictwo, zastęgał transport, kiedy o pomoc wołały głodujące rzesze kontynentów i pozbawione dostaw, zagrożone w swym bycie kolonie Marsa. Specjaliści nie mogli pozostawić ludzkości jej losowi, aby w odosobnieniu tworzyć nowe techniki zapisów.

Podjęmowano wysiłki rozpaczliwe. Całą produkcję niektórych gałęzi przemysłu rozrywkowego, np. tak zwanych filmów, obrócono na doraźne notowanie napływającej informacji o ruchu statków i rakiet, bo mnożyły się ich katastrofy. Z pamięci odtwarzane plany sieci energetycznych odciskano na tkaninach odzieżowych.

Wszystkie zapasy zdalnych do pisania sztucznych tworzyw rozprowadzano wśród szkół. Uczeń fizyki doglądał grozących wybuchem stosów atomowych. Ratownicze ekipy fachowców mknęły z jednego punktu globu w drugi. Wszystko to było jednak okrucami ładu, atomami organizacji, topniejącymi w oceanie rozprzestrzeniającego się chaosu. Miotaną nieustannymi wstrząsami, w ciągłej walce z zalewem analfabetyzmu, ignorancji, uwsteczniczenia, stojącą kulturę chaotyczną oszczędzać należy nie według tego, co uroniła z dorobku dziejów, ale według tego, co, mimo wszystko, umiała ocalić.

Powstrzymanie pierwszej fali Wielkiego Rozpadu wymagało ofiar największych. Uratowano przyczółki ziemskie Marsa i zrekonstruowano technologię - ten kręgosłup cywilizacji. Taśmoteki i mikrofony zastąpiły zbiornice zniszczonego papieru. Niestety w innych dziedzinach straty poniesiono okrutne.

Ponieważ produkcja nowych środków zapisu nie zaspokajała potrzeb najpilniejszych, poświęcano - aby ocalić zręby kultury - wszystko, co im bezpośrednio nie służyło. Największą klęskę poniosły nauki humanistyczne. Wiedzę przekazywano ustnie - • pod postacią wykładów, a słuchacze ich stali się potem wychowawcami następnego pokolenia. Był to jeden ze zdumiewających prymitywów kultury chaotycznej, który sprawił, że Ziemia wychynęła z katastrofy, poniósłszy niepowetowane straty w zakresie historii, historiografii, paleologii i paleoestetyki. Ocalono ledwie drobny ułamek puścizny literackiej. W proch obrócili się miliony woluminów kronik historycznych, bezcenne relikty środkowego i późnego neogenu.

Przyszło wreszcie - u schyłku okresu chaotycznego - do jednego z najparadoksalniejszych stanów, kiedy to, przy względnie rozwiniętej technice, wobec działających pierwotnie

grawitroniki i technobiotyki, po sukcesach masowego transportu cis galaktycznego - ludzkość nic albo prawie nic nie wiedziała o własnej przeszłości. To co do naszych dni przetrwało z olbrzymiego dorobku neogenicznego, stanowi ledwo porozrzućane luźno szczątki, relacje o faktach pozmieniane do niezrozumiałości, poprzekręcane wskutek wielokrotnego przekazywania w tradycji ustnej, i taka właśnie historia, z niepewną po dziś dzień chronologią najważniejszych wydarzeń, pełna luk, białych plam w kryształach poznania, stała się naszym dziedzictwem.

Można tylko powtórzyć za Subgnostorem Nappro Leisem, że papyroliza okazała się w skutkach historiolizą. Na takim tle dopiero we właściwych proporcjach ukazuje się dzieło Prognostora Wid-Wissa, który, w samotnej pracy, skłócony z historiografią oficjalną, odkrył Zapiski człowieka neogenu - poprzez otchłań wieków przemawiający do nas głos jednego z ostatnich mieszkańców zaginionego państwa Am-mer-Ku. Zabytek to wagi tym większej, że nie ma sobie równych, albowiem nie da się go zestawić z papyrantowymi znaleziskami, które ekspedycja archeologiczna Paleognostora Mnemonity Bradraha Syrtyjskiego wydobyla z margłowych łów dolnego preneogenu. Odnoszą się one do wierzeń panujących w Ammer-Ku za czasów VIII Dynastii, a mowa w nich o różnego rodzaju Niebezpieczeństwach, jak Czarne, Czerwone, Żółte - są to prawdopodobnie zaklęcia ówczesnej kabalistyki związane z zagadkowym bóstwem Ras-Sa, któremu składano rzekomo ofiary z ludzi. Ale interpretacja ta pozostaje sprawą sporu między szkołami Transadeńską, Wielko-syrtyjską i grupą uczniów znakomitego God-Waada.

Przeważająca część historii neogenu pozostanie - należy się obawiać - na zawsze okryta tajemnicą, gdyż najistotniejszych szczegółów o życiu społecznym nie mogą dostarczyć nawet metody chronotrakcji. Przedstawienie tego odcinka dziejów, który udało się częściowo odtworzyć, wykracza poza ramy niniejszego wstępu. Ograniczmy się jedynie do garści uwag wprowadzających w istotę Zapisków. Ewolucja wierzeń

starożytnych przebiegała dwuczłonowa. W okresie pierwszym (archeocredon) istniały rozmaite religie zasadzające się na uznawaniu pierwiastka nadnaturalnego, niematerialnego, sprawczego w stosunku do wszystkiego, co istnieje. Z archeocredonu pozostały, jako trwale pomniki, piramidy (wydal je neogen wczesny) oraz wykopaliska mezogeniczne (kończone chramy gotickie Lafransji).

W okresie drugim, neocredonie, wiara przybrała charakter odmienny. Pierwiastek metafizyczny wcielił się niejako w świat materialny, ziemski. Dominował wówczas, jako jeden z głównych, kult bóstwa Kap-Eh-Thaalu (albo Kappi-Thaa w transkrypcji palimpsestycznych notowań kremonońskich). Bóstwo to czczone było na całym obszarze Ammer-Ku, nadto kult jego ogarniał Australoindię i część Półwyspu Europejskiego. Związek znajdowanych na terenie Ammer-Ku podobizn słonia i osła z kultem Kap-Eh-Thaalu wydaje się wątpliwy. Samego imienia Kap-Eh-Thaalu nie wolno było wymawiać (zakaz analogiczny do Iz-Raelskich); w Ammer-Ku nazywano to bóstwo głównie Thoo-Llar. Miało zresztą bardzo wiele innych nazw liturgicznych, których bieżącym wartościowaniem zajmowały się specjalne zakony (np. Makk-Le-rów). Fluktuacja rynkowej wartości poszczególnych imion (czy też przymiotów?) bóstwa Kap-Eh-Thaalu pozostaje dotąd zagadką. Trudność zrozumienia istoty tej ostatniej z prechaotycznych religii polega na tym, że Kap-Eh-Thaaliowi odmawiano bytu nadnaturalnego, nie był więc duchem, nie uważano go też w ogóle za istotę (świadczyłoby to o totemicznych rysach tego kultu, niezwykłych w erze rozwiniętych nauk ścisłych) i utożsamiano go, przynajmniej w działalności praktycznej, z ruchomymi i nieruchomymi dobrami materialnymi. Poza nimi bytu nie posiadał. Jednakże udowodniono, że składano mu ofiary ze zbiorów trzciny cukrowej, kawy i zboża, i to w okresach upadku gospodarczego, jak gdyby dla przeblagania tego okrutnego bóstwa. Sprzeczność powyższą pogłębia jeszcze fakt istnienia w kulcie Kap-Eh-Thaalu elementów objawienia: zgodnie z nim, świat wspierał się na tak zwanej „własności stej”. Próby naruszenia tego dogmatu podlegały surowym karom.

Jak wiadomo, epokę cyberkonometrii globalnej poprzedziły, u schyłku neogenu, pierwotny socjostazy; w miarę jak zorganizowany w zawile rytuały korporacyjne i obrzędy instytucjonalne kult Kap-Eh-Thaalu tracił z biegiem czasu jedno ziemskie terytorium po drugim na rzecz zwolenników świeckiej gospodarki socjostatycznej, narastał konflikt między obszarem panowania tej zamierzchłej wiary a światem pozostałym.

Ośrodkiem wiary najbardziej fanatycznej pozostało do końca, tj. do powstania Ziemskiej Federacji, państwo Ammer-Ku, rządzone przez kolejno po sobie następujące dynastie Presynidów. Nie byli to w ścisłym tego słowa znaczeniu kapłani Kap-Eh-Thaalu. Presynidzi (albo Press-Denn-Thy-dzi, wg słownictwa szkoły tyrtyjskiej) zbudowali w czasach XIX Dynastii Pentagon. Czym była ta, pierwsza z szeregu kamiennych gigantów, budowla schyłkowego neogenu? Prehistorycy szkoły akwilińskiej uważali je zrazu za grobowce Presynidów, przez analogię do piramid egipskich. Hipoteza ta jednak upadła w świetle dalszych odkryć. Padły przypuszczenia, że były to świątynie Kap-Eh-Thaalu, w których planowano krucjaty przeciw ludom niewiernym i strategię skutecznego ich nawracania.

Przy braku źródłowych faktów, które pozwoliłyby rozstrzygnąć ten problem, niewątpliwie kluczowy dla zrozumienia ostatniej fazy rządów XXIV i XXV Dynastii, historycy zwrócili się o pomoc do Instytutu Temporystyki. Wobec życzliwej postawy Instytutu okazało się możliwe wykorzystanie najnowszych odkryć technicznych z zakresu chronotrakcji w celu wyjaśnienia zagadki Pentagonów. Instytut dokonał dwustu dziewięćdziesięciu sondowań w głąb czasu przeszłego, zużywając 17 trylionów ergów mocy zmagazynowanej w czasochłonach satelitarnych Księżyca.

Zgodnie z teorią chronotrakcji, poruszać się wstecz w czasie można praktycznie tylko z dala od wielkich mas materialnych, każde bowiem zbliżenie do nich pochłania niesamowite ilości energii. Dlatego obserwacje czasu przeszłego dokonywane były przez sondy zawieszone wysoko w stratosferze. Ich nagle pojawianie się na niebie i równie nagle znikanie musiało stanowić nie lada jaką zagadkę dla ludzi neogenu. Jak twierdzi Prodoktor Sturlprans Drugi, wylot retrochronalnej sondy wylania się w przeszłości jako obiekt podobny do wypukłego dysku, przypominającego dwa złożone, swobodnie unoszące się w przestrzeni talerze.

Chronosondy wsteczne dały obfity materiał, między innymi zdobyliśmy przy ich pomocy autentyczne fotografie Pierwszego Pentagonu z okresu jego budowy. Gmach ów, o kształcie regularnego pięciokąta, którego jeden bok długi był na 460 infów, był istnym labiryntem z kamienia i betonu. Długość jego korytarzy oblicza Histognostor Ser Een na 17 do 18 ówczesnych mil. Wejść do gmachu strzegło dzień i noc dwustu niższych kapłanów. Kroniki, odkopane w ruinach Was-En-Tonu, pozwoliły, dzięki zastosowaniu dalszych czasowierzeń, odkryć Pentagon Drugi, mniej okazały od Pierwszego, gdyż znaczna jego część wpuszczona była w ziemię. Pewne ustępy wspomnianych wyżej kronik wskazywały na istnienie następnego, Trzeciego z kolei Pentagonu, który miał stanowić obiekt całkowicie samodzielny, niejako państwo w państwie, dzięki specjalnemu kamuflażowi i ogromnym zapasom żywności, wody i sprężonego powietrza. Gdy jednak systematyczne sondowania chronaksjalne nad całym terytorium XX-wiecznego Ammer-Ku nie odkryły żadnych śladów tej budowli, większość historyków przechyliła się na rzecz tezy, że w odkopanych kronikach mowa jest o Pentagonie Trzecim w sensie tylko przenośnym, że gmach ten został zbudowany - jako twór wiary, imaginacji - w umysłach wyznawców, a rozprzestrzenianie słuchów o jego istnieniu służyć miało pokrzepieniu serc malejącej liczby wyznawców bóstwa Kap-Eh-Thaalu.

Taka była oficjalna wersja historiografii ziemskiej, kiedy młody podówczas Prognostor Wid-Wiss rozpoczął działalność archeologiczną.

Po przestudiowaniu własną metodą wszystkich dostępnych materiałów opublikował on pracę, w której utrzymywał, iż w miarę jak zmierzała potęga Presynidów i kurczyło się opanowane przez nich terytorium, podjęli oni budowę nowego ośrodka władzy z dala od siedzib ludzkich, w którymś Z górskich pustkowi Ammer-Ku, i to głęboko pod skalami, aby uczynić tę ostatnią przystań bóstwa niedostępną dla niewtajemniczonych. Wid-Wiss uważał, że hipotetyczny Pentagon Ostatniej Dynastii stanowił rodzaj zbiorowego mózgu wojennego, a zadaniem jego było zarówno czuwać nad czystością wiary w Kap-Eh-Thaalu, jak i nawracać narody, które tę wiarę porzuciły.

Hipotezę Wid-Wissa przyjęły koła fachowe chłodno, gdyż sprzeczna była z większością znanych faktów. W szczególności krytycy, w osobach Supernostorów Yoo Na Waka, Quirlsto i Pisuovo z marsjańskiej szkoły paleografii porównawczej, wykazali sprzeczności wewnętrzne w postulowanym przez Wid-Wissa chronologicznym układzie wydarzeń.

Rzecz w tym, że według analizy Wid-Wissa Ostatni Pentagon zbudowany został na kilkadziesiąt ledwo lat przed katastrofą papyrową. Gdyby - podnosiła krytyka - Pentagon Trzeci istniał rzeczywiście, ukryci w nim Presynidzi usiłowaliby bez wątpienia skorzystać z warunków anarchii, jaka zapanowała po katastrofie, i sięgnęliby, na samym zaraniu czasów chaotycznych, po władzę nad Ziemią. Jeśliby nawet taki zamach na władzę Federacji został zdławiony, pozostałby po nim chociaż ślad w ustnych podaniach. Historiografia niczego podobnego jednak nie zanotowała.

Wid-Wiss bronił swej hipotezy twierdzeniem, iż podczas kiedy ludność państwa Ammer-Ku przeszła na stronę „niewiernych” i złąła się z resztą Federacji, władcy Ostatniego Pentagonu nakazali całkowite jego zamknięcie. Podziemny moloch, oddawszy się w ten sposób od całej ludzkości, dotrwał do katastrofy papyrowej i czasów chaotycznych, nie posiadając żadnego kontaktu z tym, co działo się na powierzchni globu.

Wid-Wiss przyznawał, że tak doskonałe, hermetyczne odcięcie się hipotetycznej społeczności kaplanów i wojennych sług Kap-Eh-Thaalu od świata zewnętrznego wydaje się nieprawdopodobne. Posunął się do twierdzenia, że Pentagon Ostatni posiadał jakieś sposoby podpatrywania tego, co zachodziło na Ziemi, uważał jednak, że ów wojenny mózg zbiorowy Ostatniej Dynastii nie był już zdolny do żadnych napastniczych czy choćby dywersyjnych tylko poczynąń. Nie potrafił podjąć ataku ani zamachu na Federację, albowiem, raz zakopawszy się we wnętrzu skał, oderwany od dalszego toku historii, zamknął się nie tylko murami, ale układem stosunków wewnętrznych, żyjąc samym mitem, samą legendą o zamierzchłej potędze Kap-Eh-Thaalu, i badał, kontrolował, zwalczał herezję sam w sobie.

Te ostatnie tezy Wid-Wissa pominęła historiografia milczeniem. Badacz nie dał jednak za wygraną. Przez dwadzieścia siedem lat wraz z garścią wiernych współpracowników dokonywał systematycznych poszukiwań wzdłuż całego łańcucha Gór Skalistych. Upór jego zatriumfował wreszcie, kiedy prawie o nim zapomniano. 28 Maa 3146 roku grupa czołowa archeologów, odwaliwszy wiele ton skalnego oсыpiska u stóp góry Haar-Vurda, stanęła przed zamaskowaną ochronnym kolorem, doskonale zachowaną, wypukłą tarczą metalową - wejściem do Ostatniego Pentagonu...

Badania podziemnego gmachu okazały się przedsięwzięciem wymagającym nadzwyczajnych sił i środków, albowiem w siedemdziesiątym drugim roku odcięcia od świata nawiedził Pentagon Ostatniej Dynastii naturalny kataklizm. Wskutek nieznacznego przesunięcia w granitowym trzonie głównego masywu górskiego doszło do pęknięcia warstwy dennej i powstało bezpośrednie połączenie z głębokim pokładem magmy. Wparta w głąb wykutych skał betonowa skorupa ochronna nie wytrzymała naporu. Płynna lava wtargnęła do budowli, wypełniając ją od spodu po szczyty; tak owo mrowisko podziemnej, zagadkowej działalności ostatnich Presynidów obróciło się w martwą skamielinę,

która przez tysiąc sześćset osiemdziesiąt lat czekała swojego odkrywcy.

Nie jest naszą rzeczą przedstawienie bezmiernego bogactwa wykopalisk Trzeciego Pentagonu. W tym przedmiocie odsyłamy czytelnika do prac specjalnych. Należy tylko dorzucić kilka uwag dla wprowadzenia w lekturę Zapisków.

Odkryto je w trzecim roku prac wykopaliskowych na czwartorzędowej kondygnacji, w systemie korytarzy wewnętrznych, gdzie znajdują się pomieszczenia łazienkowe. W jednym z nich, wypełnionym, jak wszystkie, skamieniałą lawą odnaleziono części dwu ludzkich szkieletów, a pod nimi - zwój papyru stanowiący oryginał Zapisków.

Jak przekona się czytelnik, śmiałe przypuszczenia Histo-gnostora Wid-Wissa okazały się w przeważającej mierze prawdziwe. Zapiski przedstawiają los zamkniętej w podziemiu zbiorowości, która, nie dopuszczając do siebie wiedzy o rzeczywistych wypadkach, udawała, iż stanowi mózg i sztab mocarstwa rozciągającego się po najdalsze galaktyki - aż udanie to stało się wiarą, a wiara - pewnością. Czytelnik będzie świadkiem tego, jak fanatyczni słudzy Kap-Eh-Thaalu stworzyli mit tak zwanego „Anty gmachu”, jak trawili Życie na wzajemnym podpatrywaniu, na badaniach prawowiemności i oddania legendarnej „Misji”, nawet wówczas, kiedy ostatni cień realności owej „Misji” zdążył się już ulotnić z ich umysłów, tak że pozostało im jedynie coraz głębsze pogrążanie się w otchłani zbiorowego opętania.

Nauka historyczna nie wypowiedziała jeszcze ostatniego słowa o Zapiskach, nazywanych też, dla miejsca, w którym je odkryto, Pamiętnikiem znalezionym w wannie. Nie ma też zgody co do czasu powstania poszczególnych części manuskryptu - pierwszych jedenaście stron mają Gnostorowie Hyberiadzcy za apokryf lat późniejszych - dla czytelnika jednak te specjalistyczne spory nie są istotne i pora nam zamilknąć, aby przemówił własnym głosem ten ostatni, jaki dotarł do naszych czasów, przekaz neogenicznej epoki papyrowej.

...pokoju o numerze, na który opiewała przepustka, nie mogłem znaleźć. Trafiłem najpierw do Wydziału Werystycznego, potem do Wydziału Dezinformacji, gdzie jakiś urzędnik z Sekcji Ciśnień polecił mi udać się na ósme piętro, lecz tam nikt nie chciał nawet ze mną mówić; błądziłem pośród mnóstwa szarż, każdy korytarz pełen był energicznego stapania, strzelania drzwiami i obcasami, a w te marsowe odgłosy wnikały szklaną muzyką dalekie dzwoneczki, jakby sankowych janczarów. Od czasu do czasu woźni przenosili parujące imbryki, wchodziłem omyłkowo do toalet, w których malowały się spieszenie sekretarki, przebrani za windziarzy agenci ucinali ze mną pogawędki - jeden ze sztuczna protezą inwalidzką woził mnie tyle razy z piętra na piętro, że kiwał mi już z daleka, a nawet przestał mnie fotografować aparatem zatkniętym w kłapę jako goździk. Koło południa zaczął mnie już tykać i pokazał swoją słabośćkę - schowany pod podłogą windy magnetofon - ale, w coraz gorszym humorze, nie miałem do tego głowy.

Chodziłem uparcie od pokoju do pokoju i jak najęty zadawałem pytania, na które udzielano mi fałszywych odpowiedzi; znajdowałem się wciąż na zewnątrz ożywającej Gmach nieustannej cyrkulacji tajności, ale musiałem przecież, u licha, wnikać w nią w którymś miejscu - dwa razy dostałem się mimo woli do podziemnego skarbcza i przerzuciłem leżące na wierzchu tajne akta, ale i w nich nie odnalazłem najmniejszej dla siebie wskazówki. Po kilku godzinach, porządnie już rozdrażniony i głodny, bo minęła pora obiadowa, a nie udało mi się znaleźć nawet kantyny, postanowiłem zastosować taktykę odmienną.

Pamiętałem, że najwięcej wysokich, siwych szarż przebywało na czwartym piętrze, pojechałem więc tam, przez drzwi z napisem TYLKO PO ZAMELDOWANIU dostałem się do podsekretariatu, chwilowo pustego, z niego - przez boczne wyjście, opatrzone hasłem PUKAĆ - do sali pełnej schnących planów mobilizacyjnych, i tu stanąłem wobec problemu, bo wiodło z niej dwoje drzwi - jedno z tabliczką WYŁĄCZNIE DLA BALANSJERÓW, na drugich widniał napis NIE MA PRZEJŚCIA. Po namyśle otwarłem te drugie i okazało się, że dobrze zrobiłem, znalazłem się bowiem w sekretariacie głównodowodzącego, komenderała Kashenblade. Ponieważ wszedłem owymi drzwiami, oficer dyżurny, o nic nie pytając, zaprowadził mnie prosto do dowódcy.

I tu drgał w powietrzu szklany, łagodny dźwięk. Kashenblade mieszał herbatę. Był to potężny, lisy starzec. Twarz obwisłymi jak fartuch policzkami i faldzistą skórą spod brody spoczywała na wylogach munduru o naszywkach w kształcie galaktyk. Na biurku stały przed nim dwoma szeregami telefony, po ich bokach - aparaty zwiadowcze, pośrodku zaś - słoje noszące etykiety rozmaitych okazów, wszelako oprócz spirytusu niczego w nich nie dostrzegłem. Z nabrzmiałą żyłami łysiną zajęty był naciskaniem guzików, które powodowały zamknięcie rozzdzaniającego się akurat telefonu. Gdy odzywały się po kilka *naraż*, uderzał pięścią w całą klawiaturę. Na mój widok palnął we wszystkie. Nastąpiła cisza, w której czas jakiś podzwiewkiwał lyżeczka.

- A, to wy! - rzucił. Głos miał potężny.

- Tak jest, to ja - odparłem.

- Czekajcie, nie mówić, już ja mam pamięć - mruknął, przypatrując mi się spod krzaczasto nawisłych brwi. - X-27 retranspulsja kontrastellarna Cygni Eps, he?

- Nie - powiedziałem.

- Nie? A! No! Ba!! Morbilatrynx B-KuK osiemdziesiąt jeden, kom, operacja Gwódek? Bi jak Bipropoda?

- Nie - powiedziałem, próbując podsunąć mu przed oczy moje wezwanie, lecz odrzucił je niechętnie. - Nnnie?... - mruknął. Wyglądał na urażonego w swej dumie. Zamyślił się. Zamieszał herbatę. Telefon dzwieniał. Zdławił go lwim ruchem.

- Plastikowy? - rzucił mi nagle w twarz.

- Niby ja? - spytałem. - Nie, raczej nie - zwyczajny... Kashenblade jednym uderzeniem zdusił hałasujące od

chwilii telefony i przyjrzał mi się raz jeszcze.

- Operacja Hyperbóg... Mammacyklogastrozaur... en-ta-ma, penta-kl... - próbował jeszcze, nie chcąc pogodzić się z niespodzianą luką w swej nieomyślności, a gdy nie odpowiadałem, oparł się potężnymi dłońmi o klawisze i huknął:

- Jazda!!!

Wyglądało na to, że i on wyrzuca mnie za drzwi, ale byłem zbyt zdeterminowany - a także zbyt cywilny - aby usłuchać bez sprzeciwu. Stałem dalej z wyciągniętą przed siebie ręką, w której trzymałem wezwanie. Kashenblade wziął je wreszcie, nie patrząc, niby niechcący wrzucił do szczeliny stojącego przy nim aparatu, ten zasumiał i zaczął doń szeptać. Kashenblade słuchał, słuchał, chmury szły mu przez twarz, błyski migotały w źrenicach. Zerknął na mnie spode łba i jał naciskać guziki. Najpierw rozzdzwoniły się telefony w takiej liczbie, że powstała z tego konkretna muzyka; wyciszył ją i dalej naciskał. Okalająca go brygada aparatów na wyścigi przekrzykiwała się cyframi i kryptonimami. Trwał, nasępiony, wsłuchany, z drgającą powieką, ale widziałem już, że burza poszła bokiem. Zesupiał brwi i warknął:

- Dawajcie ten wasz świstek!

- Dałem już...

- Komu?

- Warn.

- Nam?

- Panu komenderałowi.

- Kiedy, gdzie?!

- Przed sekundą, tu go pan wrzu... - zacząłem, ale ugryzłem się w język.

Komenderał lypnął na mnie i wyszarpnął spodnią szufladkę aparatu. - Była pusta. Bóg raczy wiedzieć, dokąd zawędrował już mój dokument; oczywiście ani mi w głowie postąpiło, że wrzucił go tam nieopatrznie. Już od pewnego czasu podejrzewałem, że Dowództwo Okręgu Kosmicznego, najwidoczniej zbyt rozrosło, aby pilotować indywidualnie każdą z trylioną prowadzonych spraw, przeszło na system działań losowych, wychodząc z założenia, iż krążąc między miriadami jego biurów, każdy akt musi wreszcie trafić na właściwe. Podobną metodą, czasochłonną, ale i niezawodną, działa sam Kosmos; dla instytucji równie jak on nieprzemijalnej - a taką był przecież Gmach - tempo owych obrotów i perturbacji nie mogło się naturalnie liczyć.

Jakkolwiek miały się rzeczy, wezwanie znikło. Kashenblade, zatrzasnąwszy z impetem szufladkę, patrzył na mnie czas jakiś, mrugając. Stałem bez ruchu, z opuszczonymi rękami, nieprzyjemnie odczuwając ich pustkę. Mrugał coraz natężej - ja nic; zamrugał z pasją - odmruknąłem wówczas, i to go jakby uspokoiło.

- Nna... - zamruczał. Zaczął naciskać guziki. W aparatach zakotłowało się. Różnokolorowe taśmy jęły wypełzać z nich na biurko. Oddzierał z nich po kawałku,

odczytywał, a czasem nie patrząc, ciskał do innych aparatów, które robiły kopie, oryginały zaś szły do automatycznego kosza. Nareszcie z jednego wylazła biała folia z nadrukiem DO INSTRUKTAŻU B - 66 - PAPRA - ŁEBŁ - złożonym tak wielkimi literami, że odczytałem je poprzez biurko.

- Będziecie... delegowani... w Misji... Specjalnej - rzucił miarowo komenderał. - Głęboka penetracja, sprawa o robotę wywrotową; byliście tam już? - spytał i mrugnął.

- Gdzie?

- Tam.

Podniósł głowę i raz jeszcze zatrzepotał powiekami. Nie odzywałem się.

Popatrzał na mnie z pogardą.

- Agent - powiedział wreszcie. - Agent, co?... Agent... dzisiejszy agent...

Z wolna zasępił się. Przeciągał to słowo tak i owak, szydził nim, poświstywał, przepuszczał przez dziurę w zębie, znęcał się nad zgłoskami, naraz zdławił nerwowo telefony i wybuchnął:

- Wszystko trzeba wam tłumaczyć! Gazet nie czytacie?! Gwiazdy! No! Co gwiazdy? Co robią? No?!

- Świecą - rzekłem niepewnie.

- I to ma być agent!!! Świecą! Ba! Jak?! Jak świecą? Co? No?!

Dawał mi znaki powiekami.

- M...mrugają - rzekłem, zniżając mimo woli głos.

- Jaki domyślny! Nareszcie! Mrugają! Tak! Podmrugają! A kiedy? Co?! Nie wiecie?! Naturalnie!!! Taki materiał mi tu przysyłają! Nocą! Nocą!!! Mrugają, trzęsą się, po ciemku! Co to jest? Kto mruga?! Kto nocą?! Kto się trzęsie?!

Ryczał jak lew. Stałem błądy, wyprostowany jak struna, czekając, aż burza przejdzie, ale nie przechodziła. Kashenblade, posiniały, obrzękły, z napuczoną łysiną, grzmiał na cały gabinet, na cały gmach:

- A ucieczka mgławic?! Co?! Nie słyszeliście?! Ucieczka!!! Co to jest?! Kto ucieka?! To jest podejrzan, więcej - to jest przyznanie się do winy!!!

Zdruzgotał mnie wzrokiem, bez tchu, nareszcie opuścił ciężko powieki i cisnął zdecydowanie stalowym głosem:

- Bałwan!

- Pan się zapomina, panie komenderale! - wypaliłem.

- Co? Co?! Pan się... a? Pan się zapo... Co to jest? A! Hasło! Hasło, dobrze. Tak - to co innego. Hasło - to hasło...

Począł gwałtownie wbijać palce w klawiaturę. Aparaty zaszumiały jak deszcz na blaszanym dachu. Wylatywały z nich wstęgi zielone i złote, drżąc, skręcały się w zwoje na biurku. Starzec czytał je zachłannie.

- Dobrze! - zakonkludował, mnąc wszystkie. - Wasza misja: zbadać na miejscu, sprawdzić, przeszukać, ewentualnie sprowokować, donieść. Kropka. W dniu N o godzinie entej, w entym sektorze entego rejonu zostaniecie wyen-towani z pokładu jednostki N. Kropka. Grupa uposażeniowa kryptonim Berbeć, diety planetarne z culażą tlenową, rozrachunek sporadyczny, w zależności od wagi doniesień. Meldować bieżąco. Łączność en-lu-meniczna, maskownik formatu Lyra-PiP, jeśli polegniecie w akcji - pośmiertne odznaczenie Orderem Tajnego Stopnia, pełne honory, salut, płyta ku czci, z wciągnięciem pochwalnym do akt... Będzie?! - cisnął ostatnie słowo.

- A jeśli nie polegnę?... - spytałem.

Szeroki, pobłażliwy uśmiech rozjaśnił twarz kome-derala.

- Rezon - powiedział. - Rezon, co? Hę, hę... rezon... jeśli tego, to ten... Dość! U mnie nie ma „jeśli”! Misję dostałeś? Dostałeś! Basta! A wiesz ty, co to jest? Hę?! - wyrzucił z szerokiej piersi. Policzki zafalowały mu łagodnie, blask przeszedł przez złote czworoboki orderów. - Misja - to wielka rzecz! No, a Specjalna - ba! Specjalna! No! W dobrej entej godzinie! Ruszaj, chłopcze, a nie daj się zgnoić!

- Będę się starał - odparłem - a moje zadanie? Nacisnął kilka guzików, zaszłuchał się w dzwonki telefonów, wygasil je. Pociemniała przedtem łysina różowiała powoli. Patrzył na mnie dobroliwie jak ojciec.

- Nader! - rzekł. - Nader niebezpieczne! Ale nic to! Nie dla siebie! Nie ja wysyłam! Ogól! Dobro! Oj, ty, ty... enty... trudna sprawa... trudne ciało dostałeś! Zobacysz! Trudne, ale trzeba, bo, bo ten...

- Służba - poddałem szybko.

Rozpromienił się. Wstał. Zakolysały się u piersi order, zadzwoniły, aparaty i telefony umilkły, światelka zgasły. Ciągnąc za sobą splecione różnokolorowe kabelki, podszedł do mnie i podał mi potężną, owłosioną, starczą dłoń stratega. Nawiercał mnie oczami, próbował, brwi zesunęły mu się, tworząc wypukłe wzgórciki, podparte fałdami mniejszymi nieco, i tak staliśmy, spojeni uściskiem - głównodowodzący i tajny kurier.

- Służba! - rzekł. - Twarda. Służba, mój chłopcze! Służba... bywaj!!!

Zasalutowałem, zrobiłem zwrot w tył i wyszedłem, słysząc jeszcze u drzwi, jak pije wyiębłą herbatę. Potężny to był starzec - Kashenblade...

Jeszcze pod wrażeniem rozmowy z głównodowodzącym wszedłem do sekretariatu. Sekretarki malowały się i mieszały herbatę. Z rury pneumatycznej pocztą wypadł plik papierów z moją nominacją, podpisaną znakiem ko-menderała. Jedna z urzędniczek przybiła na nich kolejno pieczęć ściśle tajne i przekazała je drugiej, która wciągnęła cały fascykul do kartoteki, po czym kartoteka została zaszyfrowana na podręcznej maszynie, klucz szyfru komisyjnie zniszczony, wszystkie oryginały zaś spalone; popiół, po przesianiu i zarejestrowaniu, zamknięto w zalakowanej kopercie z moją cyfrą. Przesłano ją wyciągiem do podziemnego skarbcza. Wszystko to, choć działo się tuż przy mnie, obserwowałem z dystansu oszołomienia, wywołanego tak niespodzianym obrotem losu. Zagadkowe uwagi komen-derała odnosiły się niechybnie do spraw tak tajnych, że dopuszczalne były wobec nich tylko aluzje. Prędzej czy później musiano mnie wprowadzić w ich treść, bo inaczej nie mógłbym wypełnić Misji. Nie wiedziałem nawet, czy ma ona coś wspólnego z zagubionym wezwaniem, ale rzecz ta bładła wobec mej, jakże naglej, kariery.

Rozmyślania te przerwało pojawienie się młodego bruneta w mundurze i przy szabli; przedstawił się jako tajny adiutant komenderała, porucznik Blanderdash, i uściśnawszy mi znacząco rękę powiedział, że jest przydzielony do mej osoby. Poprosił mnie do gabinetu mieszczącego się po przeciwnej stronie korytarza, poczęstował herbatą i jał unosić się nad moimi zdolnościami, niecodziennymi, w jego mniemaniu, skoro Kashenblade powierzył mi taki orzech do zgryzienia. Zachwycił się też naturalnością mojej twarzy, szczególnie nosa, aż zorientowałem się, że jedno i drugie ma za przypawione. Mieszałem w milczeniu herbatę, uważając, że jak najbardziej na miejscu będzie powściągliwość. Jakoż po kwadransie porucznik przeprowadził mnie oficerskim przejściem do służbowej windy, którą odpieczętowałem wspólnie i pojechali na dół.

- Ale, ale - rzucił, kiedy stawiałem już nogę na korytarzu - czy pan skłonny jest do poziewania?

- Nie zauważyłem... a co?

- Ach, nic... ziewającemu można po prostu zajrzeć do środka, wie pan... a nie chrapie pan aby?

- Nie.

- O, to dobrze. Przez chrapanie kończy się tyłu naszych ludzi...

- Co się z nimi stało? - rzuciłem niepotrzebnie. Uśmiechnął się, dotykając futerału, który okrywał mundurowe naszywki.

- Jeżeli to pana interesuje, może obejrzy pan nasze kolekcje? Akurat na tym piętrze... gdzie te kolumny... to jest Wydział Zbiorów...

- Jak najchętniej - odparłem - ale nie wiem, czy możemy dysponować tak swobodnie czasem?

- Ależ naturalnie - odparł, wskazując mi z lekkim ukłonem właściwy kierunek - to nie będzie zresztą proste zaspokojenie ciekawości... Im więcej się w naszym fachu wie, tym lepiej...

Otworzył przede mną zwykle, białe lakierowane drzwi. Za nimi lśniły pancerne. Po ustawieniu cyfrowego zamka rozsunęły się i tajny adiutant przepuścił mnie pierwszego. Znaleźliśmy się w wielkiej, suto oświetlonej, pozbawionej okien sali. Kasetonowy strop wspierał się na kolumnach, ściany pokryte były pysznymi gobelinami i makatami, utrzymanymi głównie w tonach czerni, złota i srebra. Podobnych jeszcze nie widziałem; materiał, z jakiego je wykonano, przypominał futro. Pomiędzy kolumnami stały na wywoskowanej posadzce oszlone gabloty, witryny na smukłych nóżkach i zamczyste, z uniesionymi wiekami skrzynie. Najbliższą wypełniały przedmiociki połyskujące jak klejnoty; poznałem w nich spinki od koszul. Były ich chyba miliony. Z drugiej skrzyni wznosił się kopiec podługowatych pereł. Porucznik poprowadził mnie ku witrynom; za szklanymi płytami spoczywały, poręcznie oświetlone, na aksamitnej wyściółce, sztuczne uszy, mostki, nosy, imitacje paznokci, brodawek, rzęs, fałszywe fluksje i garby, niektóre ukazane poglądowo w przekroju, aby widoczna była ich wewnętrzna struktura; spotykało się nadymane, dominował wszakże włosień. Cofając się potrąciłem skrzynię z perłami i zadrżałem. To były zęby - rosochate i male jak perełki, lopatko-wate, z dziurką i bez, mleczne, trzonowe, mądrości.

Podniosłem oczy na mego przewodnika, który z powściągliwym uśmiechem wskazał mi najbliższy gobelin. Przyjrzałem mu się z bliska. Uszyty był z sążnistych bród, faworytów, peruk, nanizanych na nylonową osnowę z takim zamysłem, iż złotowłose tworzyły na tle calości wielki herb państwa. Przeszliśmy do następnej sali. Była jeszcze większa. Pod niklowymi reflektorami stały witryny, wypełnione sztucznymi podarkami, taliami kart, serem, z kasetonów modrzewiowego stropu zwieszały się fałszywe protezy, gorsety, ubrania, nie brak było i podrabianych owadów - te ostatnie, wykonane z precyzją, na jaką zdobyć się może tylko potężny, dysponujący wszelkimi środkami wywiad, zajmowały poczwórny rząd szklanych szaf. Adiutant nie narzucał się z objaśnieniami, jakby w przekonaniu, że zgromadzone corpora delicti mówią już same za siebie, czasem tylko, kiedy gotów byłem pośród mnogości eksponatów przeoczyć któryś godny obejrzenia, czynił w jego kierunku dyskretny ruch ręką. W ten sposób skierował moją uwagę na znaczną ilość maku, umieszczonego na białym jedwabiu pod szkłem oszlifowanym tak sztucznie, iż bezpośrednio nad kopczykiem makowych ziaren przezroczysta tafla przechodziła zgrubieniem w mocną soczewkę, dzięki której ujrzalem, że mak był, ziarenko po ziarenku, wydrążony. Zdumiony, zwróciłem się z niemyim zapytaniem do porucznika, który uśmiechnął się tylko ubolewając i rozłożył ręce na znak, że nic nie może mi powiedzieć, a jego ocienione wąsikami pełne wargi złożyły się, bez wydania głosu, w słowo tajne. Dopiero przy następnych drzwiach, otwierając je przede mną, rzucił:

- Ciekawe mamy trofea... prawda?

Echo naszych kroków wypełniło salę jeszcze świetniejszą. Podniosłem głowę. Całą ścianę na wprost zajmował gobelin; misterna kompozycja, utrzymana w barwach rudych i kruczych, przedstawiała akt państwowotwórczy. Adiutant, nie bez pewnego ociągania, pokazał mi przystrzyżone czarne baczki, które tworzyły część dellii jednego z dostojników, dając do zrozumienia, iż pochodzą ze zde maskowanego przezeń agenta.

Ciągający zza kolumn chłodny powiew zwiastował bliskość szerokiej amfilady. Nie przypatrywałem się już eksponatom; zagubiony, osłupiały, kroczyłem w ślad za moim przewodnikiem przez ich skrzące się od lamp rojowiska, mijałem działy otwierania kas, kuszenia, wiercenia murów, przebijania gór d móż osuszania, podziwiałem wielopiętrowe maszyny do zdalnego kopiowania planów mobilizacyjnych, do zmieniania nocy w sztuczny dzień lub na odwrót; pod olbrzymią kryształową kopułą przeszliśmy przez aulę fałszowania płam słonecznych i planetarnych torów; wprawione w płyty drogocennego jakiegoś materiału lśniły, opatrzone etykietami z objaśniającym szyfrem, imitacje gwiazdozbiorów i fałszyfikaty galaktyk; pod ścianami pracowały bezszelestnie potężne pompy próżniowe, utrzymując wysokie rozrzedzenie i właściwą moc promieniowania, w których jedynie trwać mogły podrobione atomy i elektrony. W głowie wirowało mi od nadmiaru wrażeń; Blanderdash orientował się niewątpliwie w moim stanie, bo poprosił, bym udał się z nim ku wyjściu. Przed drzwiami, opatrzonymi zegarowym zatraskiem, odpieczętowałem górną kieszeń mego munduru, z której dobył kopertę z hasłem, i odczytaliśmy je.

Gdzieś mniej więcej w połowie drogi przez Wydział Zbiorów zacząłem układać sobie w głowie komplementy, jakie wypowiem po oględzinach całej kolekcji, teraz jednak nie byłem zdolny wyrzucić słowa. Blanderdash rozumiał widać i moje milczenie, nie przerywał go bowiem; tak doszliśmy do windy, przy której zbliżyło się do nas dwu młodych, jak on tajnych oficerów. Zasalutowawszy, przeprosili mnie uprzejmie i odwołali adiutanta na stronę. Nastąpiła krótka wymiana zdań, którą obserwowałem, dotykając ramieniem framugi. Blanderdash wydawał się z lekka zaskoczony - z uniesionymi brwiami mówił coś do starszego oficera, ale ten wykonał zakazujący gest, kierując nieznacznie łokieć w moją stronę. Na tym scena się zakończyła. Adiutant, nie pożegnawszy się ze mną, odszedł ze starszym oficerem, młodszy zaś zbliżył się do mnie i wyjaśnił z uprzedzająco grzecznym uśmiechem, iż ma mnie zaprowadzić do Wydziału N.

Nie dostrzegłem przyczyny, dla której miałbym mu się sprzeciwić. Wsiadaliśmy już do odpieczętowanej windy, kiedy spytałem go o mego dotychczasowego cicerone.

- Jak proszę? - spytał oficer, *zbliżając* ucho do moich ust. *Zarazem* przycisnął rękę do piersi, jakby go zabolalo serce.

- No, Blanderdash... odwołał go zapewne służba? Wiem, że nie powinienem właściwie pytać... - dodałem.

- Ależ skądże, co znowu - pospieszył oficer. Powolny, osobliwy uśmiech rozciągnął jego cienkie wargi.

- Jak pan powiedział? - rzekł z zastanowieniem.

- Proszę?

- To nazwisko...

- Blanderdash? No, jakże... tak przecież nazywa się ten adiutant, nieprawdaż? Czyżbym się omylił?...

- O, na pewno nie, na pewno nie - rzucił szybko, ale uśmiech jego stawał się coraz bardziej zamyślony.

- Blanderdash... - mruknął, gdy winda zwolniła, by się zaraz zatrzymać. - Blanderdash... phi... Blanderdash... proszę...

Nie wiedziałem, do kogo odnosiło się to „proszę” - może do mnie, bo właśnie otwierał drzwi - i wiele bym dał, żeby się dowiedzieć, ale już szliśmy szybko korytarzem, zmierzając ku jednemu z szeregu lśniących, białych drzwi. Oficer otworzył je, wpuścił mnie do środka i natychmiast zamknął. Stałem w długim, wąskim pokoju bez okien, na czterech biurkach paliły się nisko opuszczone reflektory, pracowali przy nich oficerowie w sile wieku; a że było gorąco, pozdejmowali kurtki mundurowe, które wisiały na krzesłach, i ślęczeli nad stertami papierów w koszulach z podwiniętymi mankietami. Jeden wyprostował się i utkwiał we mnie czarne, błyszczące za okularami oczy.

- Pan w jakiej sprawie?

Przełknąłem momentalny odruch zniecierpliwienia.

- Misja Specjalna - z polecenia komendanta Ka-shenblade.

Jeśli sądziłem, że pozostali oficerowie podniosą głowy na dźwięk tych słów, omyliłem się.

- Jak się pan nazywa? - spytał mnie tym samym twardym, rzeczowym tonem oficer w okularach. Miał muskularne ręce sportowca, opalone, z małym szarym tatuażem.

Wymieniłem moje nazwisko. Nieomal równocześnie nacisnął klawisze małej maszyny na swoim biurku.

- Charakter Misji?

- Specjalna.

- Jej cel?

- Miałem go tu poznać.

- Tak? - powiedział. Zdjął kurtkę z krzesła, włożył ją, zapiał, poprawił nakrywkę epoletów i skierował się do następnych drzwi.

- Proszę za mną.

Ruszyłem za nim i wtedy dopiero, zerknąwszy w bok, upewniłem się, że oficer, który mnie tu przyprowadził, w ogóle nie wszedł do środka, lecz został na korytarzu.

Nowy mój przewodnik zaświecił reflektor na biurku i przedstawił mi się stojąc:

- Podszifrowy Dasherblar. Proszę, zechce pan usiąść.

Nacisnął dzwonek; młoda dziewczyna, zapewne sekretarka, wniosła dwie herbaty i postawiła je przed nami. Dasherblar usiadł naprzeciw mnie i jakiś czas bez słowa poruszał tyłeczka w szklance.

Oczekuje pan wprowadzenia w istotę swojej Misji, co?

- Tak.

- Hm. To trudna i skomplikowana Misja... tak... osobliwa raczej, panie... przepraszam, jak się pan nazywa?

- Wciąż tak samo - odparłem z nieznacznym uśmiechem.

Oficer odpowiedział uśmiechem. Miał przepiękne zęby; jego twarz promieniowała w tej chwili swobodą i *szczerością*.

- Ha, ha, doskonale, doskonale. Dziękuję panu. Tak więc... papierosa?

- Dziękuję, nie palę.

- To dobrze, to bardzo dobrze. Człowiek nie powinien mieć nalogów, żadnych nalogów, tak... jeden moment.

Wstał i zapalił górną lampę; zobaczyłem wówczas olbrzymią kasę pancerną barwy ołowiu, zajmującą całą szerokość ściany. Dasherblar nastawił kolejno siedem cyfrowych walków; a gdy masywna stalowa płyta uchyliła się bezgłośnie, począł przekładać pliki teczek spoczywających w metalowych przegródkach.

- Dam panu instrukcję - odezwał się; na basowy dźwięk brzęczyka urwał, odwrócił się i spojrzał na mnie.

- Przepraszam... coś pilnego widać. Zechce pan zaczekać? To potrwa najwyżej pięć minut...

Skinąłem głową. Oficer wyszedł, cicho opuszczając klamkę. Zostałem sam, w świetle reflektora, naprzeciw uchylonych drzwi skarbcza.

Czyżby chcieli poddać mnie próbie? W tak naiwny, prostacki sposób? - pomyślałem nie bez oburzenia. Siedziałem jakąś chwilę spokojnie, aż coś wykręciło mi po trosze głowę w kierunku kasy. Natychmiast spojrzałem w przeciwną stronę, ale tam znów napotkałem lustro odbijające rzędy półek z tajnymi aktami. Postanowiłem liczyć klepki parkietu. Niestety podłogę pokrywało linoleum. Splotem dłonie i wpatrywałem się usilnie w pobielale kostki palców, aż ogarnął mnie gniew. Dlaczego nie mogę patrzeć tam, gdzie mi się podoba? Teczki były czarne, zielone i różowe, ledwo kilka żółtych. Z tych właśnie zwisały sznurki, obciążone talerzykowatymi pieczęciami. Jedna teczka, *leżąca* na wierzchu, miała ośle uszy. - Jest też czego się pilnować - myślałem - w końcu Misję powierzył mi sam głównodowodzący, w razie potrzeby mogę się na niego powołać - ale

0 jakiej potrzebie myślę właściwie?

Zerknąłem na zegarek. Od wyjścia oficera upłynęło już dziesięć minut. Do pokoju nie dobiegał najłżejszy szmer; krzesło, na którym siedziałem, było twarde - z każdą chwilą odczuwałem to wyraźniej. Przełożyłem nogę na nogę, ale tak było jeszcze gorzej. Wstałem, podciągnąłem spodnie, aby nie zmiął się kant, i pośpiesznie usiadłem na powrót. Teraz uwierało mnie już nawet biurko, o które oparłem się łokciem. Zliczyłem teczki na półkach, wzdłuż i w poprzek. Znowu się przeciągnąłem. Minuty miały. Odczuwałem coraz dotkliwiej głód. Wypiłem resztki herbaty i wydrapałem łyżeczką cukier z dna szklanki. Patrzeć już nie mogłem na otwartą kasę pancerną. Byłem po prostu wściekły. Rzut oka na zegarek wyjawiał, że minęła niemal godzina. Po następnej jałem tracić nadzieję na powrót oficera. Coś musiało mu się przytrafić. Co? Być może to samo, co spowodowało nagle odwołanie Blariderdasha. Czy też nazywał się może Kashlerblad? Alderklarsh? Dalder-blari? Baldaklash? Nie mogłem sobie w żaden sposób przypomnieć - chyba z głodu i złości. Wstałem i zacząłem przechadzać się nerwowo po pokoju. Prawie trzy godziny sam na sam z otwartą kasą, pełną tajnych akt - to pachniało gardłową sprawą. Ładnie mnie *urządził* ten... ten - jakże się ten znowu nazywał?! Gdyby mnie tak ktoś spytał, na kogo czekam... Postanowiłem wyjść. Dobrze, ale które? Wrócić do tego pokoju, przez który tu się dostałem? Zacznać mnie pytać. Moja historia zabrzmiałaby nieprawdopodobnie. Czulem to. Widziałem już twarze sędziów. „Oficer, którego nazwiska nawet pan nie pamięta, zostawił pana samego w pokoju z otwartą kasą pancerną? Świetne, ale stare... może wymyślimy jakąś oryginalniejszą historyjkę?” Było mi gorąco, pot ściekał po karku i plecach, w gardle schło. Wypiłem herbatę oficera, rozejrzałem się błyskawicznie i spróbowałem zamknąć kasę. Rygle nie chciały zaskoczyć. Obracałem cyfrowe walki tak i owak - drzwi odsłaniały uparcie, ani rusz nie chciały się zatrzasnąć. Wydało mi się, że słyszę odgłos kroków na korytarzu. Rzuciłem się wstecz, zaczęłam rękawem o teczki, cały ich stos runął na podłogę. Klamka ugięła się. Uczyniłem wtedy szaloną *rzecz* - wlałem pod biurko. Widziałem tylko nogi tego, kto wszedł - w mundurowych spodniach, czarne, spiczaste półbuty. Stał chwilę nieruchomo. Zamknął cicho drzwi, na palcach podszedł do kasy i znikł mi z pola widzenia. Słyszałem szelest podnoszonych papierów, do którego dołączyło się po chwili cichutkie cykanie. Zrozumiałem. Fotografował tajne akta. A więc... a więc nie był to oficer DOK, lecz...

Wylałem spod biurka na czworakach, sunąc przy samej podłodze ku drzwiom. Poderwałem się, dopadłem drzwi i jednym susem znalazłem się na korytarzu. Gdy zamykałem je z rozmachem, mignęła mi w ułamku sekundy wykrzywiona strachem, blada twarz tamtego, aparat fotograficzny wypadł mu z rąk, ale nim stuknął o podłogę, byłem już daleko. Wprostowany, szedłem nadmiernie sztywnym, miarowym krokiem przed siebie. Mijałem załomy i skrzyżowania korytarza, rzędy białych drzwi, zza których dobiegały ściszone odgłosy urzędowania wraz ze szklanym podzwonkiem, nie mającym już w sobie nic tajemniczego.

Co robić? Dokąd iść? Zameldować o całym wydarzeniu? Ależ tego człowieka na pewno już tam nie było - uciekł natychmiast po mnie, ani chybi. Pozostała tylko kasa, otwarta kasa i porozrzucane po całym pokoju papiery. Ścierpłem. Przecież w przyległym pokoju wymienilem nazwisko, zresztą przyprowadził mnie tam ów młody oficer. Muszą już wiedzieć. W całym Gmachu na pewno ogłoszono tajny alarm. Szukają mnie. Wszystkie schody, wyjścia, windy są obstawione...

Rozejrzałem się. Na korytarzu panowała normalna krzątanina. Kilku oficerów niosło teczki, podobne jak dwie krople wody do tych, które leżały w kasie. Przeszedł woźny z parującym imbrykiem. Winda zatrzymała się, wysiadło z niej dwu adiutantów. Minąłem ich. Nawet się nie obejrżeli. Dlaczego nic się nie dzieje? Dlaczego nikt mnie nie szuka, nie ściga? Czyżby... czyżby to wszystko... wszystko było wciąż jeszcze - próbą?

W następnej chwili podjąłem decyzję. Podeszedłem do najbliższych drzwi. Odczytałem ich numer: 76 941. Nie spodobał mi się. Ruszyłem dalej. Przy numerze 76 950 stanąłem. Pukać? Nonsens.

Nacisnąłem klamkę i wszedłem. Dwie sekretarki mieszały herbatę, trzecia rozkładała kanapki na talerzyku. Nie zwrócili na mnie uwagi. Przeszedłem między ich biurkami. Inne drzwi - następnego pokoju. Przekroczyłem próg.

- To pan? Nareszcie... Proszę. Proszę się rozgościć...

Zza biurka uśmiechał się do mnie nikły staruszek w złotych okularach. Pod rzadkimi, białymi jak mleko włosami różowiła się naiwnie łysinka. Oczy miał jak orzeszki. Uśmiechał się serdecznie, czyniąc zapraszające gesty. Opuściłem się na miękki fotel.

- W Misji Specjalnej komenderała Kashenblade... - zacząłem. Nie dał mi dokończyć:

- No pewnie... pewnie... pozwoli pan? Drżącymi palcami naciskał klawisze maszyny.

- Czy pan... - odezwałem się. Wstał uroczysty, poważny, choć z uśmiechem na twarzy. Dolna powieka lewego oka podrygiwała mu z lekka.

- Podłuchowy Bassenknack. Pozwoli pan ucisnąć sobie dłoń?

- Bardzo mi przyjemnie - powiedziałem. - To pan wie o mnie?

- Jakże bym mógł nie wiedzieć!

- Tak? - wybąknąłem oszołomiony - a... to znaczy... pan ma dla mnie instrukcję?!

- O, proszę! Nie spieszy się z tym, nie spieszy... lata osamotnienia w pustce... zodiak... serce ssie sama myśl!...

O tych odległościach... wie pan... choć to wszystko prawda, jakoś trudno człowiekowi uwierzyć, pogodzić się, nieprawdą? Ach, ja, stary, plotę... ja, wie pan, nigdy w życiu nie latałem... taki fach... zza biurka... zarękawki... aby mankietów nie zniszczyć... osiemnaście par zarękawek wytarłem i... i tak - rozłożył ręce - i tak, proszę pana... stąd wszystko... proszę wybaczyć gadulstwo... pozwoli pan?

Wskazał zapraszająco drzwi za swym fotelem. Wstałem.

Wprowadził mnie do ogromnej, w zielonych barwach utrzymanej sali; posadzka lśniła jak jezioro, daleko, w głębi, stał zielony stół, okolony delikatnie rzeźbionymi krzesłkami. Kroki nasze rozbrzmiewały niczym w nawie kościelnej. Staruszek dreptał pośpiesznie obok mnie, uśmiechając się, poprawiając płacem okulary, bo wciąż zsuwały mu się z przykrótkiego nosa, przysunął mi wyścielane krzesło z herbowym oparciem, usiadł na drugim, wyschłą rączką zamieszał herbatę, dotknął jej ustami, szepnął: - Wyziębla... - i spojrzał na mnie. Milczałem. Pochylił się konfidencko.

- Pan pewno trochę się dziwi?

- O... ależ bynajmniej...

- Ee... mnie, staremu, może pan wreszcie powiedzieć... choć nie nalegam, nie nalegam... byłoby to z mojej strony... ale, widzi pan: samotność, wrota zagadki rozwarte, głębia zapraszająco mroczna, narodziny pokusy - jakże to ludzkie! Jakie zrozumiałe! Czym jest ciekawość? Pierwszym odruchem noworodka! Najnaturalniejszym odruchem, pragnieniem odkrycia przyczyny, która rodzi skutek, a ten znów, stając się załącznikiem aktów następnych, stwarza ciągłość... i tak

powstają zakuwające nas łańcuchy... a zaczyna się tak naiwnie! Tak niewinnie! Prosto!

- Za pozwoleniem - spytałem, odurzony nieco jego słowami - o czym pan właściwie mówi i... do czego zmierza?

- Otóż to! - zakrzyknął słabym głosem. - Otóż to! - Pochylił się ku mnie jeszcze bardziej. Złote oprawki jego okularów pobłyskiwały. - Tu przyczyna - tam skutek! O czym? Skąd? Do czego? Ach, myśl nasza nie może pogodzić się z tym, że pytania takie mogą pozostać bez odpowiedzi, więc natychmiast sama je wytwarza, wypełnia luki, odkształca, tu ujmie nieco, tam doda...

- Wybacz pan - rzekłem - ale nie pojmuję wprost, co to wszystko...

- Zaraz! Zaraz, drogi panie! Nie wszystko, nie wszystko jest ciemnością. Postaram się w miarę moich możliwości... Proszę wybaczyć z łaski swojej staremu - czego pan łaskawie życzył sobie ode mnie?

- Instrukcji.

- Instr...

Żuł jakby odrobinę zaskoczenia.

- Pan jest tego pewien?

Nie odpowiedziałem. Przymknął powieki za złotymi drucikami. Wargi jego poruszały się bezgłośnie, jakby coś zliczał. Wydało mi się, że odczytuję z ich zwiędłych poruszeń: „szesnaście... jeden odstawić... sześć dalej...”

Spojrzał na mnie z ufnym uśmiechem.

- Tak... doskonale... doskonale... O cóż chodzi? Instrukcja... papiery... plany... akta... schematy działań zaczepnych... rachunki strategiczne... a wszystko tajne, wszystko - jedyne... O, cóż by dał wróg, podstępny, wstrętny wróg, cóż by dał, powiadam, aby zaważnąć! Posiąść, choćby na jedną noc, na chwilę tylko! - prawie zaśpiewał. - Więc wysłał zamaskowanych, wyuczonych, przebranych, rutynowanych, aby wśliznęli się, przedarli, wykradli i kopiowali, a imię ich legion! - wykrzyknął cienkim, łamiącym się głosem, tak wzruszony, że obu już rękami przytrzymał z boków okulary, bezustannie przekrzywiał je na nosie.

- I oto... jakże temu, niestety, zapobiec?... I oto posiedli... W stu, w tysiącu wypadków wykryjemy, odrąbiemy zbrodniczą dłoń... zdemaskujemy knowania... obnażymy jąd... lecz ponawiane są zakusy... na miejsce odciętej wyrasta nowa macka... koniec zaś, koniec wiadomy - co jeden człowiek zakrył, drugi odkryje. Naturalny bieg rzeczy, jakże naturalny, drogi panie...

Walczył z zadyszką, uśmiechem prosząc o wyrozumiałość. Czekałem.

- Ale gdyby, proszę pomyśleć, gdyby planów było więcej? Nie jeden wariant, nie dwa, nie cztery - ale tysięcy? Dziesięć tysięcy? Milion? Wykradną? Wykradną, tak, ale cóż... pierwszy zaprzecza siódmemu, siódmu - dziewięćset osiemdziesiątemu, a ten znów wszystkim innym. Każdy mówi swoje, każdy inaczej - który właściwy? Który ten jeden, jedyny, najtajniejszy, który dobry?

- Ba... oryginal! - wyrwało mi się niemal wbrew woli.

- A właśnie! - krzyknął z takim triumfem, że rozkaszał się. Krztusił się okropnie, okulary prawie zleciały mu, złapał je w ostatniej chwili, i wydało mi się wtedy, że odchyliły się od twarzy wraz z częścią nosa, ale to było chyba złudzenie, wstrętne złudzenie, bo aż posiniał cały od kaszlu. Obliznął zeschłe pasemko warg. Złożył na kolanach rozłataną rękę.

- A więc... więc tysiące kas... tysiące oryginałów... wszędzie, wszędzie, na wszystkich piętrach - i za zamkami, za kombinacjami cyfrowymi, za ryglami. Same oryginały, same jedyne, imię ich milion, a każdy inny!

- Przepraszam - przerwałem mu - czy chce pan przez to powiedzieć, że zamiast jednego planu operacyjnego czy mobilizacyjnego - istnieje ich mnóstwo?

- Tak! Tak jest! Wybornie mnie pan pojął. Wybornie, drogi panie...

- No, dobrze... ale musi być przecież jakiś jeden prawdziwy, to znaczy ten, według którego, w razie, jeśli już do tego dojdzie, jeśli przyjdzie konieczność...

Nie dokończyłem, uderzony zmianą, jaka zaszła w jego twarzy. Patrzał na mnie, jakbym w okamgnieniu przedzierzgnął się w jakiegoś potwora.

- Tak pan... sądzi? - wychrypiał. Mrugał powiekami, dygocącymi jak zeschłe motyle w ramach złotych okularów.

- Mniejsza o to - powiedziałem powoli. - Powiedzmy, że jest tak, jak pan mówi. Dobrze... tylko... co mnie to obchodzi?! I - za pozwoleniem - jaki to ma związek z moją Misją?

- Z jaką Misją?

Jego uśmiech, pokorny i trwożny, był pełen słodyczy.

- Z Misją Specjalną, którą powierzył mi... ależ mówiłem to panu na samym początku, nie?... którą powierzył mi głównodowodzący, komenderał Kashenblade...

- Kashen...?

- No tak, Kashenblade - nie chce mi pan chyba wmówić, że nie zna pan nazwiska swojego dowódcy?

Zaniknął oczy. Kiedy je otworzył, na jego twarzy leżał cień.

- Przepraszam... - wyszeptał - pozwól pan, że opuszczę go na chwilę? Jeden moment i...

- Nie - odparłem zdecydowanie, a że już wstał, łagodnie, choć stanowczo, ująłem go za ramię. - Przykro mi... ale nie pójdzie pan nigdzie, póki nie załatwimy tego, co mamy załatwić. Przyszedłem po instrukcję i życzę sobie otrzymać ją.

Staruszkowi roztrzęsły się usta.

- Ależ... ależ, drogi panie... jakże mam rozumieć to... ten...

- Przyczyna i skutek - rzuciłem sucho. - Proszę wymienić mi zadanie, cel i treść akcji!

Zbladł.

- Słucham! Milczał.

- Dlaczego opowiadał mi pan o wielości planów? Co? Kto panu kazał tak postąpić? Nie chce pan mówić? Bardzo dobrze. Mamy czas. Mogę poczekać.

Splatał i rozplatał trzęsące się ręce.

- Więc nie ma mi pan nic do powiedzenia? Pytam po raz ostatni!

Opuścił głowę.

- Co pan... co pan robi?! - krzyknąłem i porwałem go za ramiona. Twarz jego przeinaczyła się w jednej chwili, sino obrzmiała, straszna. Z wylupionymi oczami wessał się w kamień pierścienka, który miał na serdecznym palcu. Coś trzasnęło cichutko - jakby metalowy sztyft uderzył o metal - i poczułem, jak jego napięte mięśnie rozplywają mi się w rękach. Sekunda - i trzymałem w objęciach trupa. Rozluźniłem chwyt - osunął się bezwładnie na podłogę, zeszywniały, bez kropli krwi w wargach, złote ramiączko okularów zesunęło się, a wraz z nim - dziecięco różowa, prześwitująca spod siwizny łysinka, ukazując kosmyk ukrytych pod nią kruczych włosów... Stałem, wsłuchany w łomot własnego serca, z martwym u stóp. Oczy skakały mi po lśniącym otoczeniu. Jak uciekać? W każdej chwili może ktoś wejść i zastanie mnie z trupem człowieka, który zajmował odpowiedzialne stanowisko... jakie właściwie? Starszy... starszy - co?... Szyfrowy? Podsluchowy? Wszystko jedno! Ruszyłem ku drzwiom i zatrzymałem się w połowie sali. Czy przejdę? Poznają mnie. Drugi raz się nie uda, to już niemożliwe! Jak wytłumaczyć? Jak się z tego wypłatać?

Wróciłem, podniosłem z podłogi martwe ciało, peruka spadła - jak odmłodniał nagle po śmierci! - nałożyłem ją starannie na powrót, powstrzymując odruch wywołany dotknięciem ziębnącego ciała, i trzymając go pod pachy - nogi wlokły się po ziemi - tyłem poszedłem ku drzwiom. Powiem, że zasłabł nagle - to szalony wybieg, ale nie gorszy ani lepszy od innych. Trudno... trudno... kabala.

Pokój, w którym rozmawiałem z nim przedtem, był pusty. Wiodło zeń dwoje drzwi - do sekretariatu i drugie jeszcze, zapewne na korytarz. Posadziłem go na fotelu za biurkiem, opadł na nie, usiłowałem poprawić pozycję, ale tak było jeszcze gorzej, lewa ręka dyndała przez poręcz, porzuciłem go i wybiegłem drugimi drzwiami. Niech się dzieje, co chce!

Była, widać, przerwa obiadowa - oficerowie, urzędnicy, sekretarki, wszyscy tłoczyli się przy windach. Wmieszałem się w największą grupę. Po chwili jechałem już na dół - aby dalej od tego przekłętego miejsca, aby dalej...

Obiad był raczej skromny: zupa kartoflana z grzankami, pieczone porządnie łykowane, wodnisty kompot i herbata czarna jak smoła, ale bez smaku. Nikt nie pytał o pieniądze ani nie przedstawiał rachunku. Przy stołach na szczęście nie rozmawiano. Nawet dobrego apetytu nikt nikomu nie życzył. Nagminnie rozwiązywano za to rebusy, logogryfy, krzyżówki, mnemonki i algorytmy. Żeby nie wzbudzać zainteresowania, zacząłem drapać coś ołówkiem na znalezionym w kieszeni kawałku papieru. Po trzech kwadransach, przepychając się przez tłum u wejścia, wróciłem na korytarz. Wielkie windy wchłaniały grupy spieszących do pracy. Z każdą chwilą robiło się bezludniej - • musiałem i ja dokądś iść. Wsiadłem jako jeden z ostatnich. Nie zauważyłem nawet, na którym piętrze zatrzymała się winda. Korytarz, jak każdy z przemierzonych, był bez okien. Dwa szeregi białych drzwi do zakrętu, za którym - wiedziałem to - ciągnęły się dalsze ich szeregi. Światło mlecznych kul grało w emaliowanych tabliczkach: 76 947, 76948, 76950...

Zatrzymałem się. Ten numer... ten numer...

Stałem bez ruchu. Korytarz był chwilowo pusty. W jaki sposób, błędząc ślepo, wróciłem właśnie tu? Za tymi drzwiami - jeśli go dotąd nie odkryto - spoczywał, wsparty czołem o biurko, z wgniecionymi w twarz złotymi drutami okularów...

Ktoś nadchodził. Nie mogłem tak stać. Najwyższym wysiłkiem powściągnąłem chęć ucieczki. Zza zakrętu wyłonił się wysoki oficer z gołą głową. Chciałem ustąpić mu z drogi, lecz zmierzał prosto ku mnie. Zagadkowy, niepewny uśmiech pojawił się na jego ciemnej twarzy.

- Proszę pana... - odezwał się zniżonym głosem, o trzy kroki ode mnie - może zechce pan pozwolić?

Wskazał ręką następne drzwi.

- Nie rozumiem - odparłem równie cicho - to chyba... jakaś pomyłka.

- O, nie... nie... na pewno nie... bardzo proszę... Otworzył te drzwi i czekał na mnie. Postąpiłem jeden,

drugi krok - i znalazłem się w jasnożółtym gabinecie. Poza biurkiem z kilkoma telefonami i krzesłami nie było w nim żadnych innych sprzętów. Stałem blisko drzwi. Zamknął je cicho, starannie i obszedł mnie.

- Proszę spocząć...

- Pan wie, kim jestem? - spytałem powoli. Skinął głową, jakby w ukłonie.

- Tak jest, wiem... bardzo proszę. Przysunął mi krzesło.

- Nie wiem, o czym moglibyśmy mówić.

- O, naturalnie, rozumiem pana, mimo to jednak postaram się uczynić wszystko dla zachowania całkowitej dyskrecji.

- Dyskrecji? O czym pan mówi?

Wciąż stałem. Zbliżył się tak, że czułem niemal ciepło jego oddechu. Oczy jego przywarły do moich, umknęły, powróciły.

- Pan... działa tutaj... poza... pozaplanowo... - rzekł głosem zniżonym prawie do szeptu - w zasadzie, naturalnie, nie powinienem wchodzić panu w drogę, ale byłoby lepiej, gdybym udzielił panu pewnych... gdybym rozmówił się z panem, tak w cztery oczy, to mogłoby usunąć zbędne komplikacje.

- Nie widzę żadnego wspólnego tematu - odparłem sucho. Nie tyle nawet jego słowa ani ich ton, co łaszczące się, tak nieoficerskie spojrzenia przywracały mi otuchę. Chyba że chciał uspokoić mnie umyślnie, aby tym straszniej...

- Pojmuję - powiedział po długiej pauzie. Jakaś desperacka nuta *zabrzmiła* w jego głosie. Przeciągnął ręką po twarzy.

- W podobnych okolicznościach... z takim porucze-niem... każdy oficer zachowałby się jak pan, a jednak, dla dobra służby, można niekiedy zrobić wyjątek...

Patrzałem mu w oczy. Powieki zadrgały mu. Siadłem.

- Słucham pana - rzekłem, opierając końce palców o biurko. - Proszę powiedzieć to, co pan... uważa, że ma mi do powiedzenia...

- Dziękuję... dziękuję! Nie będę kołował... pan działa z wysokiego rozkazu, teoretycznie nie wiem nic o super-rewizji... ale pan wie, jak to jest! Mój Boże! Są przecieki! Pan wie przecież! - czekał jednego mego słowa, mrugnięcia, ale trwałem bez ruchu, więc z błyszczącymi chorobliwie oczami, z rumieńcem, przez który, niby od zimna, przeziarała z jego smagłej skóry bladeść, wypalił:

- Proszę pana! Ten stary pracował od dłuższego czasu dla nich... Kiedy zdemaskowałem go i przyznał się, zamiast oddać go Wydziałowi DeEs, co było, formalnie, moim obowiązkiem, postanowiłem trzymać go dalej na tym samym stanowisku... Oni uważali go nadal za swojego agenta, ale teraz pracował już dla nas... mieli przysłać doń swego człowieka, kuriera, nastawiłem więc pułapkę... Niestety, zamiast tamtego przyszedł pan i...

Rozłożył ręce.

- Zaraz... więc on dla nas pracował?

- Naturalnie! Pod wpływem mojego nacisku! Wydział DeEs zrobiłby to samo, ale wówczas sprawa wymknęłaby się mojemu Wydziałowi, nieprawdaż, i choć to ja go zdemaskowałem, ktoś inny zapisałby to na swoje konto... ale ja nie dlatego, a tylko, żeby uprościć, przyspieszyć... dla dobra służby...

- Dobrze, dobrze... ale dlaczego w takim razie on...

- Dlaczego się otrul? Przypuszczał oczywiście, że pan jest tym kurierem, którego oczekiwał, i że pan wie już o jego zdradzie... to był pionek...

- Ach, tak...

- Tak... to prosta sprawa... Przyznaję, przekroczyłem moje kompetencje, pozostawiając go nadal. Aby mnie wkopać, posłano pana prosto do starego... intryga.

- Ależ... ja przypadkowo wszedłem do jego pokoju! - wyrwało mi się. Nim pożałowałem tych słów, oficer uśmiechnął się krzywo.

- Skąd może pan wiedzieć, co czekało w przyległych pokojach - mruknął, spuszczaając oczy.

- Jak to...

Widmo szeregu takich samych, siworóżowych staruszków w okularach ze złotego drutu, którzy uśmiechali się cierpliwie, czekając za swymi biurkami, ich nieskończonej galerii wewnątrz schludnych, jasnych pokoi - wyroiło się z jego słów, aż zadrżałem wewnątrz.

- Więc nie tylko w tym pokoju?

- Oczywiście, musimy pracować bez ryzyka...

- I w tych innych pokojach także?... Siknął głową.

- I ci wszyscy inni?...

- Podstawieni, rozumie się...

- Dla kogóż oni pracują?

- Dla nas - i dla nich. Pan wie przecież, jak to jest - ale że trzymamy ich mocno, dla nas pracują - wydajniej...

- Zaraz... ale co on mi plótł? O planach mobi... o tysiącnych wariantach oryginału...

- Och, to był szyfr... rozpoznawczy szyfr... hasło... pan go nie rozumiał, bo to był ich szyfr... a on sądził na pewno, że pan nie chce rozumieć, czyli wie już o jego zdradzie. My wszyscy przecież nosimy napiersne deszyfratory... Rozpiął mundur na piersiach i pokazał mi ukryty pod koszulą płaski aparat. Przypomniałem sobie, jak oficer, który wiódł mnie windą, przyciskał ręką serce.

- Wspomniał pan o intrydze. Czyja to była intryga? Oficer zbladł. Powieki zatrzepotały mu, opadły; siedział

kilka sekund z zamkniętymi oczami.

- Wysoko... - szepnął. - Wysoko mierzono we mnie, ale jam niewinny... Gdyby pan zechciał choć w części skorzystać z szerokości swych uprawnień i...

- I co?

- I umorzyć tę sprawę, to potrafiłbym się...

Nie dokończył. Badał z bliska powierzchnię mojej twarzy. Widziałem szklące się białka jego zniecieruchomiałych, rozszerzonych oczu. Palcami rąk, zwartych na kolanach, gładził, pieścił, skubał mundurowe sukno.

- Dziewięćset sześćdziesiąt siedem przez osiemnaście przez czterysta trzydzieści dziewięć - szepnął błagalnie.

Milczałem.

- Czterysta... czterysta jedenaście... sześć tysięcy osiemset dziewięćdziesiąt cztery przez trzy... Nie? To przez czterdzieści pięć! Przez siedemdziesiąt!!! - zaklinał mnie jego dygocący głos. Zachowałem milczenie. Błdy jak ściana - wstał.

- Dzie... dziewiętnaście... - spróbował jeszcze. Zabrzmiało to jak jęk.

Nie odezwałem się. Z wolna zapiał mundur.

- To tak? - powiedział. Rozumiem. Szesnastka... dobrze... wedle... przepraszam pana.

Nim otrząsnąłem się z wrażenia, wyszedł do przyległego pokoju.

- Panie! - krzyknąłem. - Czekajże! Ja...

Za nie domkniętymi drzwiami huknął strzał, któremu zawtórował łomot padającego ciała. Zdrętwiały, ze zjeżo-nymi włosami, stałem na środku pokoju. Uciekać! Uciekać!!! - wyło mi w głowie, zarazem, zmieniony w sluch, łowiłem odgłosy płynące wciąż jeszcze z sąsiedniego pokoju. Coś stuknęło słabo, jakby obcas pukał w podłogę. Jeden jeszcze szelest... i cisza. Zupelna cisza. W szparze uchylonych drzwi ciemniała mundurowa nogawka. Nie spuszczać z niej oka, wycofałem się ku wyjściu, ślepo namacałem klamkę, nacisnąłem ją...

Korytarz - sprawdziłem dwoma kosymi spojrzzeniami - był pusty. Zamknąłem drzwi, odwróciłem się i przywarłem do nich plecami. Naprzeciw, z ręką niedbale wspartą o framugę, stał w otwartych drzwiach przysadkowaty oficer i patrzył na mnie bez ruchu. Wnętrznoci runęły mi w pustkę. Przestałem oddychać, coraz bardziej płaski pod jego znużonym trochę, leniwym wzrokiem. Twarz jego, szeroka, o tęgich policzkach, wyrażała rosnący niesmak. Wyjął z kieszeni jakiś drobny przedmiot - scyzoryk? - podrzucił go raz, drugi, trzeci, wciąż na mnie patrząc, uchwycił mocno, pociągnął wskazującym palcem - z cichym trzaskiem wyskoczyło ostrze. Popróbował go brzuścem kciuka. Uśmiechnął się samymi kątami warg. Przymknął powoli powieki, jakby mówił „tak”, cofnął się do swego pokoju i zamknął drzwi. Stałem i czekałem. W ciszę wpłynął nosowy, daleki śpiew wznoszącej się gdzieś windy. Osłabł, znikł - i znowu słyszałem tylko własną krew. Odlepiałem ręce od lakierowanych drzwi. Czy dziurka od klucza patrzyła? Nie. Była czarną plamką. Jeden krok, drugi, trzeci... szedłem... szedłem... znowu sam, wśród niezliczonych korytarzy, schodzących się, rozchodzących, bezokiennych, zalanych blaskiem, o ścianach bez skazy, o szeregach lśniących drzwi, umęczony, zbyt słaby, żeby zdobyć się na ponowną próbę wtargnięcia gdziekolwiek, wejścia w któryś z tysięcy kolowrotów, obracających się za dźwięko-szczelnymi taflami. Od czasu do czasu próbowałem opierać się o ściany, lecz były zbyt gładkie, zbyt pionowe, nie dawały oparcia, zegarek, nie nakręcony w porę, stanął nie wiadomo kiedy, i nie wiedziałem już, czy to noc, czy jeszcze dzień, chwilami stapałem w rosnącym odrętwieniu, traciłem przytomność, nagle ocykało mnie trzaśnięcie jakichś drzwi, odgłos ruszającej windy, przepuszczałem ludzi z teczkami, raz robiło się pusto, raz całe korowody oficerów zmierzały w jedną i tę samą stronę - być może praca toczyła się tu okrągłą dobę - widziałem wychodzących i innych, tych, co ich zmieniali, i nie wiem dobrze, co działo się potem. Właściwie nie pamiętam z późniejszych godzin nic, bo choć szedłem przed siebie, wsiałem do windy, jechałem gdzieś, wysiadałem, odpowiadałem nawet, kiedy mnie zdawkowo zagadywano - czy nie życzył mi ktoś „dobrej nocy”? - umysł mój nie przyjmował niczego, odbijając tylko zewnątrzność, niby złana wodą, połyskliwa bryła ściągniętej gliny. Na koniec, nie wiem doprawdy jak, znalazłem się w przedsionku toalety. Otworzyłem drzwi: mieściła się za nimi, podobna do chirurgicznej salki, lśniąca niklem i porcelaną łazienka, z marmurową, rzeźbioną jak sarkofag wanną; ledwo siadłem na jej brzegu, poczułem, że zasypiam. Ostatnim wysiłkiem chciałem zgasić śledzące mnie światło, ale nigdzie nie było kontaktu, więc, kiwając się na boki, siedziałem jeszcze trochę na szerokim brzegu wanny; iskry odbitego od niklowanych rur światła atakowały uparcie moje oczy, wszpilały się w powieki, podwazyły je, rozpryskiwały się na rzęsach - zasnąłem mimo owej tortury, zakrywając rękami twarz, osunąłem się w jakieś twarde łóżo, uderzyłem o coś kanciastego głową, ale nawet ból mnie nie otrzeźwił.

Nie wiem, jak długo spałem. Budziłem się nadzwyczaj powoli, przezwyciężając niekształtne, spiętrzone we wrotach jawy, bezwładne, choć nieważkie przeszkody. Odrzuciłem wreszcie ostatnią, jak trumienne wieko - i w źrenice wpł mi się blask tryskający z nagiej żarówki pod wysokim, biało rzeźbionym stropem.

Leżałem na wznak u stóp marmurowego podestu wanny, z kośćmi jak zgruchotanymi okropnym upadkiem. Czym prędzej zwlokłem z siebie wszystko i umyłem się pod tuszem. Nad wanną, w srebrzystym naczyniu, znajdował się stoik z płynnym, pachnącym mydłem, znalazłem także włochate, doskonale szorstkie ręczniki, haftowane w otwarte szeroko oczy, od których dotyku krew żywej okrażać jęła całe ciało. Rozgrzany, odświeżony, odziałem się pośpiesznie. Do tej pory nie myślałem wcale o dalszych poczynaniach. Podnosząc rękę ku zasuwce w drzwiach uzmysłowiłem sobie po raz pierwszy od przebudzenia, gdzie jestem, a jasność owego zrozumienia poraziła mnie jak elektryczne wyładowanie. Poczułem nieruchomy, biały labirynt, który za tą cienką przegrodą czekał niewzruszenie na moją, równie jak on, nieskończoną wędrówkę, sieci jego korytarzy, oddzielone dźwiękoszczelnymi ścianami pokoje, każdy gotów był wciągnąć mnie w swoją historię, aby zaraz wypłuć na powrót - i od tego jasnowidzenia zadrżałem, w ułamku sekundy złany potem, przez jakąś chwilę gotowy wybiec na zewnątrz z przeraźliwym, bezsensownym wołaniem o pomoc albo o laskawy cios... lecz ten przystęp słabości trwał bardzo krótko. Odetchnąłem głęboko, wyprostowałem się, otrzepałem ubranie, ba, sprawdziłem nawet w lustrze umieszczonym nad boczną umywalką, czy przedstawiam się należycie - i równym, nie za szybkim, ale i niezbyt powolnym, narzuconym przez tempo Gmachu, rzeczowym krokiem - wyszedłem.

Przed opuszczeniem łazienki nastawiłem zegarek na ósmą. Uczyniłem to na chybił traf, aby orientować się przynajmniej we względnym upływie czasu, skoro nie wiedziałem nawet, czy jest dzień, czy noc. Korytarz, na który wyszedłem, był boczną, mało uczęszczaną odnogą głównego. Już zbliżając się tam, dostrzegłem zwykły ruch. Urzędowanie trwało. Zjechałem windą na dół, żywiąc nikłą nadzieję, że być może trafię na porę śniadania i kantyna będzie czynna, lecz zastałem szklane drzwi zamknięte. W środku sprzątano. Zawróciłem więc i pojechałem na trzecie piętro. Na trzecie dlatego, bo guzik pod tym numerem był bardziej błyszczący, jakby naciskany częściej od innych. Korytarz, taki sam jak wszystkie, okazał się bezładny. Niemal na samym jego końcu, przed zakrętem, stał u drzwi żołnierz. Nie miał - pierwszy wojskowy, jakiego napotkałem - żadnej rangi. Prosty mundur ściągnięty był białym pasem. W urękawiczonych garściach trzymał ciemny pistolet maszynowy i stał jak posąg, w pozycji zasadniczej. Nawet okiem nie ruszył, kiedy go mijalem. Kilkanaście kroków dalej zawróciłem raptownie i ruszyłem prosto ku drzwiom, u których czuwał. Jeśli było to oficjalne wejście do kwatery głównodowodzącego, mało miałem szans, że mnie przepuści, zaryzykowałem jednak. Prześliznąłem się po nim kątem oka, kładąc dłoń na klamce. Ani zważał na mnie, doskonale obojętny, zapatrzony w jakiś neutralny punkt ściany naprzeciwko. Wszedłem do środka. Na wprost - zaskoczenie było tak wielkie, że drgnąłem - spod popękanego, belkowanego nadproża szły w górę krętą spiralą schodki o siodlasto wydeptanych stopniach. Wstępując na pierwszy poczułem, jak nogi spowija mi smuga nadzwyczaj przynikliwego chłodu. Opuściłem rękę. Zanurzyła się w strumieniu spływającego z góry mroźnego powietrza. Począłem iść. Na górę, przez półmrok, bladą plamą majaczyło szkło uchylonych drzwi. Znalazłem się na progu przyciemnionej kaplicy. W głębi, pod ukrzyżowanym Chrystusem, spoczywała w oku świec otwarta trumna. Płomyki wachlowały słabo, rzucając na twarz zmarłego mdły, niepewny poblask. Po obu stronach przejścia, ledwo rozwidnionego żółtawą poświatą, stały czarniawym masywem ławy. Za nimi otwierały się nieprzeniknione, kryjące coś nisz. Dało się słyszeć klaskanie podszew bijących o kamienną posadzkę, ale nie zobaczyłem nikogo. Ruszyłem wolno przejściem, zastanawiając się już tylko nad tym, dokąd pójdę, gdy opuszczę kaplicę, aż wzrok, błędzący pośród ruchliwych cieni, dosięgnął twarzy zmarłego. Pogodną, jakby zarysowaną w czysto zakrzepłym wosku, rozpoznałem natychmiast. W trumnie, okryty do pól piersi flagą, która spływała na stopnie sutymi, kunsztownie ułożonymi faldami, spoczywał staruszek. Głowę okalały mu sztywno nakrochmalone koronki, wysuwające się spod trumiennego węzłowia; nie miał złotych okularów i przez to, a także może dlatego, że nie żył, z rysów jego uszła zakłopotana figlarność. Spoczywał wyprostowany, solenny, jakby ostatecznie już gotowy i zakończony; siedłem wciąż ku niemu, choć *coraz* wolniej, we wznoszącej się fali lodowatego powietrza, które zdawało się ciągnąć od niego. Spod flagi, po obu stronach pieczołowicie wygładzonego płótna, wystawały starannie złożone ręce. Tylko mały palec jednej nie nagiął się i zdawał się nie do kpiąco, ni to ostrzegawczo, przyciągając wzrok swoim niesfornym odstawianiem. Skądś z wysoka raz i drugi rozniosła się pojedyncza nuta, raczej sapliwie tchnienie nieszczelnej piszczałki organowej, jakby ktoś niepowołany próbował tonów na klawiaturze chóru - ale potem znowu nastała cisza.

Honory zgotowane zmarłemu zdziwiły mnie trochę, ale była to refleksja powierzchowna. W gruncie rzeczy zajmowała mnie nazbyt własna sytuacja. Stałem u trumny, z zębaczami stopami, wdychając ciepłą woń stearyny. Któryś knot zatrzęszał, poczułem delikatny dotyk na ramieniu i zarazem dobiegł mnie prosto w ucho płynący szept:

- Rewizja już się odbyła...

- Co? - rzuciłem, i słowo to, wypowiedziane wcale nie podniesionym, a tylko nieopanowanym głosem, wróciło od niewidzialnego stropu w przedłużeniu głębokiego, powiększającego echa. Tuż za mną stał oficer wysokiego wzrostu, o twarzy bladej, z lekka obrzęklej, łśniacej, z posi-niałym nosem; między wylogami munduru jaśniał odwrócony przodem do tyłu sztywny kołnierzyk.

- Pan, to jest... ksiądz, mówił coś? - spytałem cicho. Przymknął z namaszczeniem oczy, jakby chcąc pozdrowić mnie w możliwie dyskretny sposób.

- Och, nie... to nieporozumienie... wziąłem pana za kogoś innego. Poza tym nie jestem księdzem, ale... bratem.

- Ach, tak?

Staliśmy chwilę, milcząc. Pochylił głowę w bok. Była ogolona do skóry, z maleńką mycką na ciemieniu.

- Pan... przepraszam, że pytam... kolegowal może ze zmarłym?

- W pewnym sensie... ale luźno... luźno - odparłem. Jego oczy - właściwie widziałem tylko drżące w nich mikroskopijne odbicia świec - nadzwyczaj wolno zeszyły po mojej postaci i z takim samym namysłem wróciły.

- Ostatnia posługa? - tchnął mi w ucho z odcieniem nieprzyjemnej poufalości. Przyjrzał mi się raz jeszcze, ostrożniej. Odpowiedziałem twardym, niechętnym wzrokiem. Wyprostował się pod nim.

- Pan... delegowany? - tchnął kornie. Milczałem.

- Zaraz... zaraz będzie msza - szepotał gorliwie - egzekwie, a potem msza. Jeśli pan sobie życzy...

- To nie ma znaczenia.

- Oczywiście, oczywiście...

Robiło mi się coraz zimniej. Lodowate podmuchy krążyły pośród świec, poruszając ich płomykami. Z boku błysnął mi w oczy zwierciadlany refleks. Stał tam, opodal trumny, ciężki, kwadratowy kształt, wielka lodówka buchająca przez nikłową kratę mrozem.

- Nieżle urządzone - mruknąłem obojętnie. Zakon-nik-oficer zerknął w bok i białą, miękką, jakby z sera ulepioną dłonią dotknął mego rękawa.

- Jeśli mi wolno zameldować, nie wszystko... - szeptał - wiele niewłaściwości... opieszałość... niedbalstwo w pełnieniu obowiązków... oficer przeornie wywiązuje się...

Cedził te słowa, badając równocześnie z bliska moją twarz, gotów w każdej chwili do odwrotu, ale milczałem, wpatrzony w omywaną cieniami twarz umarłego, nie czyniąc najmniejszego poruszenia, i to go wyraźnie ośmieliło.

- Nie jest moją sprawą... zaledwie śmiem... - dyszał mi w skroń - jednakże, gdybym został upoważniony do pytania, w nadziei, że będę mógł przynieść jakąś pomoc, na drodze służbowej, pan... z wysokiego rozkazu?

- Tak - odparłem. Wargi rozchyliły mu się w zachwyceniu, ukazując duże, końskie zęby. Trwał tak, boleśnie uśmiechnięty, jakby napawając się moją odpowiedzią.

- Niech mi wolno będzie powiedzieć zatem... jeśli nie przeszkadzam?

- Nie.

- Dzięki... Coraz liczniejsze są niedociągnięcia służby...

- Bożej? - poddałem. Uśmiech jego stał się natchniony.

- Bóg nie zapomina o nas nigdy... mam na myśli sprawę naszego Wydziału.

- Waszego?

- Tak jest, Teologicznego... Ojciec Ammion z sekcji konfidentów sprzeniewierzył ostatnio...

Mówił dalej, ale straciłem wątek, bo odstający palec spoczywającego w trumnie drgnął. Złodowaciały, z ohydny, ciepłym tchem zakonnika-oficera na karku, wpatrywałem się w ten palec. Wszystkie inne, na wpół zgięte, przylegały do siebie szczelnie, jak wymodelowane w muszlowato zakłęsłej bryle wosku - ten jeden, pulchniej-szy jakby, zaróżowiony, drgał, i wydało mi się, że w tym niemożliwym wybryku, w dygotliwej figlarności jego poruszeń odnajduję żwawo rozproszoną naturę staruszka. *Zarazem* było w owym ruchu coś bezcielesnego, nad wyraz lekkiego, co odwodziło myśl od zmartwychwstania, kierując ją ku owym najdrobniejszym i najszybszym gestom owadów, przejawiającym się jako delikatne zamazanie konturów odwołku tuż przed odlotem. Rozszerzonymi oczami łowiłem dygot, coraz jawniejszy, nieustanny. - To nie może być! - wyrwało mi się. Zakonnik przypadł do mnie, wpółzgięty.

- Zaklinam! Przysięgam. Z urzędu ust moich nie kala kłamstwo...

- Tak? No... to... niech więc brat opowie mi o waszych... zajęciach - odparłem na pół przytomnie, pojawiając się raptem, że wolę jego wstrętą natarczywość od pozostania sam na sam ze staruszką, jakby w nadziei, iż wobec dwóch ludzi umarły nie poważy się na nic więcej.

- Kartoteki spowiedziowe utrzymywane są niechlujnie... brak nadzoru... połowa naszych wtyczek spalona... oficer-furtian nie dba o terminowe dostarczanie wyciągów i przepustek... w sekcji ruchu dusz całkowicie zaniedbano działalność prowokacyjną...

- Co pan... co brat mówi? - mruknąłem. Palec uspokoił się. Należało iść, i to jak najprędzej, ale nazbyt głęboko zabrzmiałem już w tę scenę.

- Jak wyglądają... praktyki religijne? - rzuciłem od niechcenia, mimo woli wciągając się w rolę wizytatora na inspekcji.

Podniecenie jego rosło; syczał z błyszczącymi, lśnącymi się oczami, słodycz donosicielstwa rozpierała go, oblepiając wargi białawym osadem śliny.

- Praktyki! Praktyki! - wykrzywił się niecierpliwie, rozzuchwalony ciężarem oskarżeń, które miał rzucić. - Kazania nie podlegają do żadnych wystąpień, są bez rezultatów liczbowych, reguły podsłuchu przekraczane nagminnie, a w sekcji Wyższego Celu malwersacje doprowadziły do skandalu, zatuszowanego tylko dlatego, że tajny brat Malchus pokumał się z zakrystianem, któremu w zamian dosyłał pątniczki z ósmego, naturalnie odpowiednio nastawione, a ksiądz-oficer Orfini, zamiast zawiadomić, kogo należy, zabawia się mistyką... prawi o karach pozaziemskich...

- Kosmicznych?

- Gdyby! Ba, nie, proszę... nie znam, niestety, godności...

- To nic, nie trzeba...

- Pojmuję... o karach ostatecznych, mając pod ręką o ileż skuteczniejsze możliwości dzięki kolegom z Turki... a przy tym wszystkim tajny brat Malchus na lewo i na prawo rozpowiada, że rozszyfrował Biblię... Pan rozumie, co to znaczy?

- Błuznierstwo • - podsunąłem.

- Z błuznierstwami Bóg da sobie sam radę, niestraszne mu... chodzi o cały zakon! Teologiczne podstawy teorii świętego odstępstwa.

- Dobrze, dobrze - odparłem niecierpliwie - porzućmy ogólniki. Ten brat tajny Malchus... jak to wyglądało? Ale proszę brata streszczać się...

- Wedle rozkazu... O tym, że brat Malchus jest try-pletem, wiadomo było od dawna - sposób, w jaki przy psalmach... pan pojmuję - brat Alnigens miał go rozpracować... podsunęliśmy mu kilku cywilnych... leżąc krzyżem, dawał znaki... no, wykroczenie z paragrafu czternastego... a przy analizie kwartalnej w ornacie jego oficera-spowiednika znalezione zostały wszyte, podwójnie skręcone, srebrne nici...

- Nici? Po co nici?

- No jakże... dla zekranowania podsłuchówek... osobiście przeprowadziłem śledztwo wśród komunikantów.

- Dziękuję - powiedziałem - dosyć. Już z grubsza orientuję się. Może brat odejść...

- Ależ, ależ ja dopiero za...

- Zegnam brata.

Zakonnik wyprostował się, złożył ręce wzdłuż szwów i odszedł. Zostałem sam. Więc praktyki religijne nie były nawet zajęciem ubocznym, dodatkowym, rodzajem konika, lecz stanowiły jedynie skorupę normalnej działalności urzędowej? Popatrzyłem na martwego. Palec drgnął. Zbliżyłem się do trumny. - Pójdę już - pomyślałem. Ręka, którą chowałem do kieszeni, wyskoczyła z niej nagle i spadła na dłoń staruszka. Choć przełotny, wraził mi się w pamięć ślad dotknięcia jego skóry, zimnej, wyschłej, *zarazem* palec, ledwo tknięty opuszkami, został mi w ręku. Odruchowo puściłem go - potoczył się między fałdy sztandaru i leżał, różowy jak malutka kielbaska. Nie mogłem go tak zostawić. Podjąłem go i zbliżyłem do oczu. Był jakby z pęcherza, miał wymalowane zmarszczki, nawet paznokiec. Proteza?

Usłyszałem człapiące kroki. Schowałem elastyczny przed-miocik do kieszeni. Kilka osób weszło do kaplicy. Niosły wieniec; cofnąłem się za kolumnę. Rozkładano żałobne taśmy ze złotymi literami. U ołtarza pojawił się ksiądz. Ministrant poprawiał na nim szatę liturgiczną. Obejrzałem się. Tuż za mną, obok płaskorzeźby przedstawiającej odstępstwo świętego Piotra, były wąskie, opatrzone skobel-kiem drzwi. Znalazłem za nimi korytarzyk skręcający w lewo; u jego końca, przed rodzajem obszernej niszy z trzema w górę wiodącymi stopniami, siedział na trójnogim zydłu zakonnik w habicie i drewnianych sandałach. Zgrabiałymi, pełnymi odcisków palcami odwracał kartki brewiarza. Podniósł na mnie oczy. Był bardzo stary, z burą jak ziemia myką na łysej czaszce.

- Dokąd idzie się tędy? - spytałem, wskazując na drzwi w głębi niszy.

- Haa? - wychrypiał, okalając ręką ucho.

- Dokąd prowadzą te drzwi?! - krzyknąłem, nachylając się nad nim. Błysk radosnego zrozumienia ożywił jego zapadłą twarz.

- Nie, panie... nigdzie, panie... to cela... ojca Marfeo-na, cela... pustelnika naszego...

- Co?!

- Cela, panie...

- A... można do tego pustelnika? - spytałem oszołomiony. Starzec pokręcił głową.

- Nie, panie... nie można... pustelnia, panie... Zawahałem się, wszedłem na stopnie i otworzyłem te

drzwi. Ujrzałem coś w rodzaju ciemnego przedsionka, pełnego rupieci; kąty zawałone były brudnymi woreczkami, zeschlą cebulową łupą, pustymi bańkami, kółkami od kiskek, miałem węglowym - wszystko to, przemieszane z papierzyskami, pokrywało podłogę, tylko środkiem wiodło przejście, a raczej szereg łysin dających oparcie stopom, kończące się przy następnych, z nie ciosanych bierwion zbitych drzwiach. Brnąc przez śmietnik, dotarłem do nich i nacisnąłem kutą w żelazie, ogromną, pałakowatą klamkę. Usłyszałem pospieszne szuranie, gwałtowne szepty, i oczom moim w mroku, rozwidnionym płonąca nisko, jakby na podłodze, świecą, ukazała się chaotyczna ucieczka postaci pchających się do kątów, na czworakach wślazących pod krzywy stół, pod prycę - jeden z przebiegających zdmuchnął świecę i zapadła atramentowa ciemność, pełna swarliwych szepców i posapywań. W powietrzu, które wciągnąłem do płuc, stał zaduch nie mytego ludzkiego mrowia. Cofnąłem się pospiesznie. Stary zakonnik, kiedy go mijalem, podniósł oczy znad modlitewnika.

- Nie przyjął pustelnik, panie? - wychrypiał.

- Śpi - rzuciłem w przejściu. Dogoniły mnie jego słowa:

- Jak kto pierwszy raz przychodzi, to zawsze śpi, powiada, ale jak drugi raz, to zostanie już na dłużej, panie...

Musiałem wracać przez kaplicę. Egzekwie widać już odprawiono, bo trumna, sztandary i wieńce znikły. Było i po mszy. Na słabo oświetlonej ambonie stał ksiądz, wytrząsając rękami na cały kościół; pod brokatem na jego piersi występowało kwadratowe wzniesienie.

- ...albowiem powiedziane jest: „a skończywszy wszystko kuszenie, diabeł odszedł od niego aż do czasu”... - wibrował wysoki głos kaznodziei, sięgając mrocznego sklepienia - „aż do czasu”, powiedziane jest, a gdzie przebywa? Czy w morzu czerwonym, szumiącym pod skórą naszą? Czy w naturze? Ale, o, bracia, czyż nie jesteśmy sami naturą nieobjętną, czy szum jej drzew nie pobrzmiwa w trzeszczeniu kości naszych, a naszej krwi strumienie sąż mniej słone od strumieni, którymi ocean wnika w pieczary szkieletów swoich podmorskich wapienne?! Czy pustyni oczu naszych nie pali ogień nieustający?! I czyż nie jesteśmy w końcu hałaśliwą uwerturą spokoju, łóżem małżeńskim prochu, a kosmosem i wiecznością jeno dla mikrobów, które, w żyłach zgubione, świat nasz ze wszech sił okrażać się starają?! Nieodgadnieni jesteśmy jak to, co unfundowało nas, nieodgadnionym się dławimy, z nieodgadnionym komunikujemy...

- Słyszysz pan? - zaszepotała za mną. Kątem oka złowiłem świecącą, bladą twarz brata-oficera. - O tym dławieniu... i to ma być prowokacyjne kazanie! Nie przemycić nie potrafi. Ładna mi prowokacja!

- Nie szukajcie klucza tajemnicy, albowiem ten, który znajdziecie, wytrychem jest! Nie zgłębiajcie niezgłębitego! Ukorzcie się! - huczał w kamiennych załomach sklepienia głos z kazalnicy.

- To ksiądz Orfini. Już kończy, wezwę go zaraz... musi pan zrobić z tego użytek - najlepiej do raportu go!! - syczał błądzący brat, paląc mi zgnitym tchem kark i szyję. Co bliżsi z wiernych jęli się oglądać.

- Nie, nie! - rzuciłem, ale już pomykał bocznym przejściem ku ołtarzowi.

Ksiądz znikł. Poruszenie, jakie nagłym swym pośpiechem wywołał zakonnik, zwróciło na mnie uwagę obecnych. Chciałem ująć niepostrzeżenie, lecz u wyjścia zrobiło się tłoczno. Tymczasem zakonnik wracał już, prowadząc księdza rozebranego do munduru. Ujął go za rękaw, pchnął ku mnie, wyciął za jego plecami porozumiewawczy grymas i znikł w cieniu kolumny. Ostatni z wiernych opuszczali kaplicę. Zostaliśmy we dwóch.

- Pragnie się pan... wypowiedzieć? - melodyjnym, łagodnym głosem zagadnął mnie ten człowiek. Miał siwe skronie, wysoko podgołoną czuprynę, napiętą, nieruchliwą twarz ascety, w ustach - złoty ząb, którego błyskanie przypominało mi staruszkę.

- Nie, nic podobnego - powiedziałem szybko i, tknięty niespodzianą myślą, wypaliłem:

- Potrzebna jest mi tylko pewna... informacja. Spowiednik skinął głową.

- Proszę.

Ruszył pierwszy. Za ołtarzem, powleczone różem od rubinowej lampki jakiegoś obrazu, widniały niskie drzwi.

Korytarz za nimi był prawie ciemny. Odwrócone twarzami do ścian, zakryte płachtami bądź odsłonięte, stały po obu stronach figury świętych. Uderzyła mnie jasność pokoju, do któregośmy weszli. Ściany na wprost drzwi zajmowała ogromna kasa pancerna. Na oksydowanej stali czerniał wielki, emalią inkrustowany krzyż. Ksiądz wskazał mi fotel, a sam przeszedł na drugą stronę zarzuconego papierami i starymi księgami stołu. Choć w mundurze, nie przestał wyglądać jak ksiądz, z białymi, wymownymi rękami o ścięgniach pianisty, martwa siatka błękitnych żyłek znaczyła mu skronie, skóra zdawała się przylegać tam wprost do sucho sklepionej kości, wszystko było w nim bezbruchem i spokojem.

- Słucham pana...

- Ksiądz zna szefa Wydziału Instrukcyjnego? - spytałem. Uniósł nieznacznie brwi.

- Majora Ermsa? Znam. Znam.

- I numer jego pokoju?

Ksiądz stropił się. Dotknął guzików munduru, jakby to \ była sutanna.

- Czy zasza... - zaczął, ale przerwałem mu: \ - Więc jaki to jest numer według księdza?

- Dziewięć tysięcy sto dwadzieścia dziewięć... ale nie rozumiem, dlaczego ja...

- Dziewięć tysięcy sto dwadzieścia dziewięć - powtórzyłem powoli. Byłem pewien, że nie zapomnę tego numeru.

Ksiądz patrzył na mnie z rosnącym zdziwieniem.

- Pan, przepraszam... brat Perswazy dał mi do zrozumienia...

- Brat Perswazy?... Ten zakonnik, który zechciał przyprowadzić księdza? Co ksiądz o nim sądzi?

- Nie pojmuję doprawdy... - rzekł ksiądz. Wciąż stał

za biurkiem. - Brat Perswazy jest kierownikiem komórki zakonnego rękodziela.

{ - To pożyteczne - zauważyłem - a cóż ta komórka

wyrabia, można wiedzieć?

- W zasadzie przybory i szaty liturgiczne, dewocjonalia...

- Nic więcej?

- To znaczy, na specjalne zamówienie, na przykład dla Wydziału EsDe, sporządzono ostatnio, jak obilo mi się o uszy, partię podsłuchowych grzałek do herbaty, a Sekcja Gerontofilna wytwarza przydzievek i różne drobiazgi dla cierpiących starców: mitenki z pulsografami.

- Z pulsografami?

- Tak, dla rejestrowania tajnych podnieceń... poduszeczki magnetofonowe z myślą o mówiących przez sen i tak dalej. Ale co to... czy... czy brat Perswazy mówił panu o mnie?

- Mówił mi o różnych... Urwałem.

- Pracownikach naszego Wydziału?

- Rozmawialiśmy...

- Przepraszam pana...

Ksiądz zerwał się z fotela, podbiegł do kasy i trzema wprawnymi ruchami rąk nastawił cyfrowe tarcze. Stalowe odrzwia uchyliły się ze szczękiem, ukazując stosy różnobarwnych, opieczętowanych teczek. Ksiądz przerzucił je gorączkowo, chwycił jedną i ukazał swą bladą twarz z lśnącymi na czole i pod nosem, drobnymi jak ostrza szpilek kropelkami potu.

- Proszę rozgościć się, wróć za moment!

- Nie! - krzyknąłem, zrywając się z miejsca. - Proszę dać mi tę teczkę!!

Działalem w jakimś natchnieniu.

Przycisnął ją oburącz do piersi. Podszedłem do niego, wpiłem się wzrokiem w jego oczy, ująłem kartonowy brzeg. Nie chciał puścić.

- Dziewiętnaście... - powiedziałem powoli. Kropła potu, jak łza, ściekla mu po policzku. Teczka przeszła naraz sama w moje ręce. Otwarłem ją. Była pusta.

- Obowiązek... działałem... rozkaz z góry - bełkotał ksiądz.

- Szesnaście... - powiedziałem.

- Litości! Nie! Nie!!!

- Proszę usiąść. Ksiądz nie wyjdzie z tego pokoju, dopóki nie otrzyma telefonicznej wiadomości. Ksiądz rozumie?

- Tak jest! Tak jest!

- I do nikogo ksiądz nie będzie dzwonił!

- Nie! Przysięgam!

- Dobrze.

Wyszedłem, zamykając drzwi, przez korytarz, pustą pociemniałą kaplicę, krętymi schodkami w dół - na zewnątrz nie było już wartownika. Chcąc przywołać windę, zauważyłem, że trzymam w ręku odebraną księdzu żółtą teczkę.

Pokój 9129 znajdował się na ósmym piętrze. Wszedłem bez pukania.

Jedna sekretarka robiła na drutach, druga jadła chleb z szynką i mieszała herbatę. Poszukałem oczami następnych drzwi, do gabinetu szefa - ale nie było żadnych. To mnie zaszokowało.

- Do majora Ermsa, w Misji Specjalnej - powiedziałem. Sekretarki jak gdyby nie usłyszały. Robiąca na drutach liczyła półgłosem oczka.

- Może to jakieś hasło? - przemknęło mi. Jeszcze raz obrzuciłem spojrzeniem niewielki pokój. Pod ścianami stały wąskie półki pełne segregatorów. Nad jedną,

dziwnie wysoko, wisiał pomalowany w kwiatki mikrofon. Odezwać się jeszcze raz znaczyłoby przyjąć porażkę. Położyłem moją żółtą teczkę na biurku dziewczyny, która jadła. Spojrzała na nią. Żuła. Nad zębami różowiły się blade dziąsła. Małym palcem odsuwała serwetkę, w którą owinięty był chleb, regulując z wolna jego wysuwanie się spomiędzy papierowych brzegów. Podeszedłem do półki z segregatorami i w luce pomiędzy nimi zauważyłem coś białego – płaszczyznę drzwi. Były zastawione półką. Bez namysłu chwyciłem półkę i począłem ją odsuwać. Rząd segregatorów nad moją głową zachwiał się niebezpiecznie.

- Szesnaście... siedemnaście... dziewiętnaście... - liczyła przeraźliwym szeptem druga sekretarka. Jej głos narastał. Półka zahaczyła o coś. Drzwi były odsłonięte do połowy. Otwierały się na zewnątrz. Nacisnąłem kłamkę i przepchałem korpus bokiem pomiędzy framugą i ścianą półki.

- W końcu raczył się pan zjawić! - powitał mnie młodzieńczy głos. Zza mahoniowego biurka podniósł się oficer z konopiastą czupryną, w samej koszuli. W pokoju było bardzo gorąco. Wyciągnął z szuflady małą szczoteczkę.

- Powalał się pan ścianą...

Czyszcząc rękaw mego ubrania, mówił jednocześnie:

- Spodziewałem się pana od wczoraj. Mam nadzieję, że spędził pan możliwie noc? Robota nie pozwalała mi dziś wyjść, ale byłem temu nawet rad, bo w ten sposób miałem pewność, że się nie minimy - zaraz, tu jeszcze trochę wapna - ale, ale, tak już zaawansowałem się w pańskiej sprawie, że traktuję pana jak starego znajomego, a przecież właściwie jeszcześmy się nie widzieli. Jestem Erms, pan wie zresztą...

- Tak, wiem - powiedziałem - dziękuję, niech się pan nie trudzi, majorze, to głupstwo. Pan ma dla mnie instrukcję?

- Jasne, a po cóż bym tu był? Herbaty?

- Napiję się, owszem.

Podsunał mi szklankę, schował szczoteczkę do szuflady i usiadł. Uśmiechał się wciąż; miał ujmujący wygląd płowowłosego chłopaka, choć przyjrzawszy mu się z bliska odkryłem wokół jego roześmianych, niebieskich oczu zmarszczki - ale były to zmarszczki śmiechu. Zęby miał jak młody pies.

- No, do dzieła, mój drogi, do dzieła, instrukcja, gdzież ja ją mam - tę instrukcję...

- Niech pan tylko nie mówi, że musi po nią wyjść - zauważyłem z bladym uśmiechem. Wybuchnął wesołością tak hałaśliwą, że aż oczy zaszyły mu łzami. Poprawiał rozwiązany krawat, wołając:

- Kawalarz z pana! Nie potrzebuję nigdzie wychodzić, mam ją tu - pokazał ręką w bok. Z białobłękitnej ściany wysuwała się obudowa małego sejf. Podszedł do niego, zakręcił cyfrową tarczą, aż zafurczało, wydobyl z wnętrza gruby plik papierów przewiązanych sznurkiem, rzucił go na biurko i położywszy na nich mocne, duże dłonie rzekł:

- Dał panu nasz stary orzeszek, że szkoda mówić. Napoci się pan - to pierwszyna dla pana, co?

- W zasadzie tak - rzekłem i, że jego oczy tchnęły taką poczciwością, dodałem: - Gdybym dłużej tu był, zostałbym chyba pierwszorzędnym fachowcem, nie ruszając w żadne misje. U was nasiąka się mimo woli tym, tym... - zabrakło mi słowa.

- Tym kolorytem! - palnął i znowu się roześmiał. I ja się śmiałem. Było mi lekko i dobrze. Nie musiałem się nawet przezwyciężyć, aby zamieszać herbatę. Aż dziwiłem się na myśl, z czym mi się to do niedawna kojarzyło.

- Mogę zobaczyć to? - spytałem, wskazując na związany fascykuł.

- Wszystko, co pan tylko chce...

Podał mi pakiet przez biurko, porządnie ciężki. - Proszę pana...

Jego cichy, pełen łagodnego nacisku głos przeszkodził mi spojrzeć na papiery.

- Może uporządkujemy pierwszej pewne - zasłóści... Takim brzydkim urzędowym terminem określa się to u nas. Pan pomoże mi, prawda?

- Tak?... - powiedziałem ustami, które stały się nagle obce i niedołężne.

- Może trzeba zatelefonować gdzieś?... - podsunał mi, opuszczając dyskretnie oczy.

- A tak! Zapomniałem zupełnie! Do księdza w Wydziale Teologicznym, całkiem o nim zapomniałem! Czy mogę zadzwonić?

- Ach, już zrobiłem to za pana...

- Pan? Jak to - skąd?...?

- Głupstwo. Pozostałaby jeszcze drobnostka, hm?

- Nie wiem, co mam zrobić. Opowiedzieć panu?

- Nie nalegam...

- To było, majorze, to wszystko było próbą? Tak? Wystawiono mnie na próbę?

- Co pan rozumie przez próbę?

- No, bo ja wiem... rodzaj wstępnego badania. Rozumiem, że przydatność kogoś, kto jest poniekąd nowicjuszem, może być kwestionowana, więc podsuwa mu się...

- Ależ, proszę pana... Był zgorszony, zasmucony.

- Kwestionowanie? Badanie? Podsuwanie? Jak może pan przypuszczać coś podobnego! Miałem na myśli to, co pan... wziął tam - nieprawdaż? - zamierzając wręczyć mi... Ależ z pana zapominałski - uśmiechnął się na widok mej bezradności. - No, tam, w kaplicy. Ma pan to przy sobie, pewno w kieszeni, nie?

- Ach!

Sięgnąłem po pęcherzykowaty palec i podałem go majorowi.

- Dziękuję - powiedział. - Dołączę to do akt jego sprawy. Obciąży go porządnie.

- Tam coś jest w środku? - spytałem, patrząc na obmiękły palec, który położył przed sobą.

- Nie, skąd...

Podniósł różową kielbaskę i pokazał mi ją pod światło. Przeświecała - pusta.

- Po prostu dojdzie do akt. Dowód ostentacji - uczciwie go obciąży...

- Starego?

- Pewno.

- Ależ on nie żyje...

- No to co? Akt był wrogi! Widział pan przecież! Spod flagi, tego...

- To był przecież trup! Zaśmiał się cichutko.

- Drogi kolego - mogę tak chyba mówić, prawda? - ładnie byśmy wyglądali, gdyby tak śmiercią można się było od wszystkiego wykręcić. Mniejsza o niego. Dziękuję za współpracę. Wróćmy do rzeczy. Przed wyruszeniem czeka pana jeszcze to i owo...

- Co?

- Nic przykrego, zapewniam! Zwykle wprowadzenie. No, propedeutyka. Czy pan orientuje się choćby w wąziutkim zakresie szyfrów, które powinien opanować?

- Nie, rzeczywiście, nie orientuję się.

- A widzi pan. Są szyfry wywoławcze, dzienne, wydziałowe i specjalne, to coś dla pana - uśmiechnął się - co dzień się zmieniają, rzecz konieczna, ale ileż z nią kłopotu! Każdy wydział ma nadto swój własny, wewnętrzny, więc gdy wchodzisz i mówisz coś, to samo słowo czy nazwisko znaczy na różnych piętrach coś innego.

- I nazwisko?

- A jakże! Jak pan patrzy! Ha, ha, piękna by to była historia - jawne nazwisko głównodowodzącego, dajmy na to! Nie zauważył pan specyficznego brzmienia nazwisk jego sztabu?

- A rzeczywiście...

- No widzi pan. Spowaźniał.

- Szyfrowane są zatem stopnie, rangi, pozdrowienia...

- Pozdrowienia?

- A tak, ot, powiedzmy, rozmawiasz z kimś przez telefon, z kimś z zewnątrz, i mówisz, na przykład, „dobry wieczór” - z tego można by wywnioskować, że u nas i w nocy się pracuje, że są zmiany, a to już ważna informacja... dla kogoś - podkreślił to słowo. - *Każda* rozmowa zresztą...

- Jak to! A teraz, gdy my... Chrząknął z nieznacznym zakłopotaniem.

- Nieuniknione, mój drogi!

- Przepraszam, ale naprawdę nie rozumiem... Patrzył mi w oczy.

- O... i czemu pan tak mówi? - odezwał się zniżonym głosem, w którym był żal. - Rozumie pan, na pewno pan rozumie. „Zapomniałem”... „Nie wiem, o co chodzi”... „Próba”... „Wstępne badanie”... Rozumie pan już? O, widzę, widzę, że pan rozumie. No, skąd taka mina desperacka? Po co? Każdy używa szyfru, jak umie - i pan nauczy się podejścia specjalistycznego. Przecież wszystko jest w porządku, nie?

- Tak, skoro pan mówi...

- Więcej pewności siebie, mój drogi! Urzędowanie jest urzędowaniem, bieg spraw bezosobowy, są zawilości, zwroty, ale pan, przeznaczony do Misji tak trudnej, nie razi się przecież głupstwami, tym bardziej że są nieodzowne. Skieruję pana teraz do Wydziału Szyfrów - tam lepsi ode mnie fachowcy wyjaśnią panu wszystko, co niezbędne, nie w szkoleniu żadnym, rozumie się, tylko w rozmowie towarzyskiej... a instrukcja będzie czekała tymczasem tu.

- Nie przejrzałem jej nawet...

- A ktoś panu broni?

Otwarłem plik papierów. Wzrok mój błdził chwilę po rządach maszynowego pisma, aż, na chybił traf, chwyciłem:

„Umysł twój nie przyjmował w siebie niczego, odbijał tylko zewnętrzość, niby złana wodą, połyskliwa bryła ściągniętej gliny”...

Przeskoczyłem kilkanaście linijek pisma.

„Do tej pory nie myślałeś wcale o dalszych poczynaniach. Podnosząc rękę ku drzwiom, uzmysłowiłeś sobie po raz pierwszy, gdzie jesteś, poczułeś czekający za cienką przegrodą nieruchomy, biały labirynt”.

- Co to? - wybelkotałem, wznosząc oczy na majora. Strach płaskim gorącym rozlewał mi się w piersi. - Co to jest?

- Szyfr - powiedział obojętnie, szukając czegoś w papierach na biurku. - Instrukcja musi być przecież szyfrowana.

- Ale to... to brzmi, jak... - nie dokończyłem.

- Szyfr powinien przypominać wszystko z wyjątkiem szyfru - odparł.

Przechyliwszy się przez biurko, wyjął mi z rąk instrukcję. Palce ześliznęły mi się po okładkach.

- A czy... nie mógłbym wziąć z sobą?

- Po co? Będzie czekała tu na pana.

W głosie jego brzmiało nieklamane zdziwienie.

- No, mogą mi ją przetłumaczyć - w tym Wydziale Szyfrów.

Roześmiał się.

- Tak, widać, że nowicjusz z pana. To nic. Niezbędne nawyki wejdą panu w krew. Jakże byś pan mógł wydać z rąk swoją instrukcję? Przecież o tej Misji wie tylko, oprócz głównodowodzącego, szef sztabu i ja, raptem trzy osoby.

Milcząc, odprowadziłem oczami plik papierów, które włożył na powrót do sejfu i pokręcał tarczami cyfrowymi, jakby się nimi bawił.

- Ale może powie mi pan przynajmniej, jak przedstawia się moja Misja? Ot, w zarysie choćby, w paru słowach - podsuwałem.

- W zarysie, co? - rzucił. Zagryzł dolną wargę, niesforny, jasny kosmyk włosów opadał mu na lewe oko, lecz go nie odrzucił. Stał, końcami palców oparty o biurko, wypchnął po sztubacku policzek językiem, potem westchnął i uśmiechnął się. Miał doleczek na lewym policzku.

- No, co mam z panem zrobić, co ja mam z panem zrobić? - powtórzył.

Wrócił do kasy, wyjął z niej papiery i pokręcając cyfrową tarczką zatrzaśniętych drzwi, powiedział:

- Pan ma teczkę, co? Włożymy sobie do niej cały kram, ładnie...

Wziął pustą teczkę, którą położyłem przedtem na biurku, i wepchnął do niej papiery.

- Proszę - powiedział, wręczając mi ją z przymuszonymi wesoło oczami. - Teraz ma pan już ją, tę swoją instrukcję, i to jeszcze w jakiej teczce! Żółta... no, no!

- Czy ten kolor coś znaczy? - spytałem.

Moja naiwność rozbawiła go. Powściągnął uśmiech.

- Czy coś znaczy? Doskonale! Znaczy, jeszcze jak! A teraz pójdziemy razem, lepiej popilotuję pana, tak pójdzie prędzej, proszę bardzo, tędy...

Pospieszyłem za nim, ściskając pod pachą zgrubiałą teczkę. Przeszliśmy do następnego pokoju, długiego niemal jak sala szkolna. Na ścianach, ponad głowami urzędujących, wisiały plansze z rysunkami akweduktów i śluz wodnych; w kolejnym pomieszczeniu zastąpiły je sufitu sięgające mapy półkul czerwonej jakiejś planety. Przyjrzałem im się w przejściu i poznałem Marsowe kanały. Major otwierał przede mną drzwi. Szliśmy jeden za drugim wąskim przejściem między biurkami. Siedzący nie podnosili nawet oczu, gdyśmy ich mijali. Jeszcze jeden obszerny pokój. Wielka, kolorowa tablica ukazywała w powiększeniu ciało od głowy po ogon przekrojonego szczura. W szklanych pudłach bieleły schudne, niby z wyluskanych orzechów sklecone i powiązane drucikami szkielety gryzoniów. Był to pokój osobliwy przez to, że zakręcał. W jego kolanie siedziało przy pulpitych kilkunastu ludzi nad mikroskopami. Każdy miał rozłożone wokół siebie szklane tabliczki, pincetki, słoik z jakąś cieczą ciągliwą, przezrystą, zapewne klejem; nakładali na szybki strzępy papieru, pomazane jakieś i brudne, wyglądali je płaskimi grzałkami i zespinali z zegarmistrzowską precyzją. W powietrzu stał wyraźny, ostry zapach chloru.

Za plecami ludzi przy mikroskopach znajdowały się drzwi na korytarz.

- Żebym nie zapomniał - ściszone głosem rzekł poufale major, biorąc mnie za rękę, kiedyśmy znaleźli się sami pośród białych ścian - gdyby pan zamierzał coś wyrzucić lub zniszczyć, jakiś akt nieważny, zbędną notatkę, brulion - proszę nie korzystać z ustępu. Przysparza to tylko naszym ludziom niepotrzebnej roboty.

- Jak proszę? - spytałem. Uniósł niecierpliwie brwi.

- Racja, panu wszystko trzeba od „a” tłumaczyć - moja wina. To był Wydział Kanalizacyjny - sąsiaduje z moim, przeszliśmy tamtędy, bo krótsza droga... Więc ścieki są filtrowane i cedzone - to przecież drogi na zewnątrz, dla potencjalnego przecieku informacji... Otóż i nasza winda.

Zatrzymywała się właśnie, kiedyśmy do niej podeszli. Wsiadł z niej oficer w długim płaszczu, z futerałem skrzypcowym pod pachą, przeprosił nas, że musi wynieść z niej swoje pakunki, i wrócił po nie, gdy gdzieś, całkiem blisko, huknęło. Oficer wyskoczył z windy, zatrzasał jej drzwi nogą i cisnął w nas trzymanymi w objęciach paczkami, sam zaś pognął korytarzem, otwierając w biegu futerał. Ciężka paczka jak pocisk trafiła mnie w pierś, zatoczyłem się, oszołomiony, na drzwi windy, za zakrętem łomotał karabin maszynowy, coś trzasnęło nad moją głową i wszystko zamglili wapienny kurz.

- Padnij! Padnij!!! - krzyknął Erms, pociągając mnie za ramię, i sam rzucił się na podłogę. Leżałem obok niego między rozrzuconymi paczkami, od strzałów aż huczało, korytarz grzmiał z jednego końca w drugi, kule śpiewały nad nami, białe dymki rykoszetów buchały ze ścian. Biegący z zadartymi wysoko poalami płaszcza zwałił się na samym zakręcie, puszczzone skrzypcowe pudło otworło się w upadku, wyleciała zeń chmura papierowych strzępów, polatując jak śnieg. Woń spalonego prochu kasała w nozdrza. Major wcisnął mi do ręki małą ampulkę.

- Jak dam znak - • w zęby i rozgryźć!!! - krzyczał mi do ucha. Ktoś biegł.

Zagrzmiało tak strasznie, że omal nie ogłuchłem. Erms zaczął wyrwać z kieszeni zalakowane koperty, tkal je w usta, żuł z największym pośpiechem, wypływając

pieczęcie jak pestki. Nowy grzmot.

Oficer w głębi korytarza charczał w agonii. Jego lewa noga stukala o kamienną podłogę. Erms zliczył to stukanie, uniósł się na łokciach i z okrzykiem:

- Dwa i pięć, dobra nasza! - zerwał się na równe nogi. Było już cicho.

Otrzepał się z kurzu i podał mi teczkę, która leżała na podłodze, ze słowami:

- Idziemy. Postaram się załatwić panu jeszcze kartki obiadowe.

- Co... co to było? - wybelkotałem. Konający wciąż kopał podłogę, na przemian po dwa i pięć razy.

- Ach, nic. Demaskacja.

- I... jak to, i my... odejdziemy?

- Tak. Tam - wskazał w stronę charczącego - to już nie mój Wydział, wie pan.

- Ale ten człowiek...

- Siódemka się nim zajmie. O, już idą z Teologicznego, widzi pan?

W samej rzeczy korytarzem nadchodził oficer-ksiądz, poprzedzany przez malca z dzwonkiem. Wsiadając do windy, słyszałem jeszcze stukanie szyfrowej agonii. Winda stanęła na dziewiątym piętrze. Major nie otworzył drzwi.

- Czy mogę prosić pana o wytrych?

- Proszę? - nie pojąłem.

- O tę ampulkę, chciałem powiedzieć.

- A, prawda...

Ścisnąłem ją jeszcze w ręce. Schował ją do skórzanego futerału, przypominającego pugilares.

- Co to jest? - spytałem.

- Ach, nic. Wszystko w porządku.

Wypuścił mnie pierwszego z windy. Ruszyliśmy ku pobliskim drzwiom. W kwadratowym pokoju siedział przy stole nadzwyczaj otyły oficer i gryzł cukierki z papierowej torby, mieszając herbatę. Poza nim nie było tu nikogo. W tylnej ścianie widniały maleńkie drzwiczki, całkiem czarne. Dziecko ledwie by się zmieściło.

- Gdzie Prandtl? - spytał Erms. Gruby oficer, nie przestając młaskać, pokazał mu trzy palce. Mundur miał rozpięty. Zdawał się spływać z krzesła, na którym siedział. Miał nalaną twarz, kark nabiegły tłuszczem, pofalowany, oddychał głośno, świszcząc. Wyglądał, jakby się dusił.

- Dobrze - powiedział major - Prandtl zaraz przyjdzie. Proszę się tymczasem rozgościć. On się już panem zajmie. Kiedy pan będzie wolny, proszę wpaść do mnie po kartki. Dobrze?

Przyrzekłem mu, że nie omieszkam tego zrobić. Gdy odszedł, zwróciłem oczy na grubego. Cukierki zgrzytały mu w zębach. Usiadłem na krześle pod ścianą. Staralem się nie patrzeć na chorobliwie otyłego oficera, bo drażnił mnie swoim młaskaniem, a jeszcze bardziej tym, że wyglądał, jakby lada chwila miała go trafić apopleksja. Fałdy jego karku były aż sine pod szczotką krótko przystrzyżonych włosów. Jego tłuszcz był jego krzyżem, torturą. Oddychał z wysiłkiem, na jaki można się zdobyć chyba w ostateczności, przez chwilę, a on robił to ciągle i przy tym w ogóle jakby o tym nie wiedział. Walczył o powietrze i gryzł cukierki. Rosła we mnie chęć wyrwania mu papieru ze słodyczami; opychał się nimi, lykał, czerwieniał, siniał i sięgał lepkimi palcami po nowe. Przesunąłem krzesło i odwróciłem się do niego bokiem. Plecami jakoś nie mogłem - nie ze względu na niewłaściwość, ale bałem się, że mi się tam z tyłu zatchnie, a nie chciałem mieć za sobą trupa. Na kilkanaście sekund przymknąłem oczy.

Wiele dalałbym za wyjaśnienie, czy moja sytuacja się poprawiła. Wydawało mi się, że tak, ale aż nazbyt wiele zastrzeżeń się owemu „tak” przeciwstawiało. Tego, że Erms gotów był mnie otruć - bo byłem pewien zawartości fiołki - nie miałem mu bynajmniej za złe. Gorzej nieco wyglądała *rzecz* ze starszkiem w złotych okularach. Nie byłem wcale pewny, czy się od jego sprawy ostatecznie uwolniłem. W każdym razie nie wyglądała nazbyt groźnie na przyszłość. Miałem poważniejszy powód do trosk: instrukcję. Już nie o to mi nawet szło, że przypominała tak bardzo protokół moich poruszeń wewnątrz Gmachu - ba, moich myśli nawet. W końcu mogłem wciąż jeszcze być obiektem próby, choć Erms zaprzeczał temu kategorycznie, ale sam przyznał potem, że *nasza* rozmowa nie ma znaczenia dosłownego, ale jest szyfrem, a więc jakimś odniesieniem, apelacją do innych, nie nazwanych bezpośrednio znaczeń, które się nad nią niewidzialnie unosiły. Najgorsze było co innego. W głębi duszy poczynałem wątpić w samo istnienie instrukcji. Mówiłem sobie co prawda, że się mylę, że moja podejrzliwość nie ma sensu, bo bez zamiaru wysłania mnie na Misję znacznej doniosłości nikt nie interesowałby się mną i nie poddawałby żadnym próbom. Nie miałem przecież nic na sumieniu i nic tu właściwie nie znaczyłem, poza ową niespodziewaną kandydaturą, tym wciąż odraczanym, zawieszanym i znów połowicznie potwierdzanym awansem.

Gdybym mógł w owej chwili postawić jedno, tylko jedno pytanie, zabrzniałoby: czego ode mnie chcą? Czego chcą naprawdę?

Każdą odpowiedź przyjąłbym z ulgą, naprawdę każdą, prócz jednej...

Oficer za stołem chrapnął przeraźliwie. Drgnąłem. Wysiłek nos, zajrzał do chusteczki, potem schował ją, sapiąc, z nie domkniętymi, nabrzmiętymi wargami.

Drzwi otworzyły się. Wszedł wysoki, chudy, przygarbiony oficer. Było w nim coś - nie bardzo potrafiłbym to nazwać - co sprawiało, że był jakby cywilem przebrany w mundur. Trzymał w ręku okulary, którymi zamłynkował szybko, stając o krok przede mną.

- Pan do mnie?

- Do pana Prandtla z Wydziału Szyfrów - odparłem, z lekka unosząc się z miejsca.

- To ja. Jestem kapitanem. Proszę nie wstawać. Chodzi o szyfry, tak?

Ta sylaba zabrzmiała jak skierowany we mnie wystrzał.

- Tak, panie kapitanie...

- Proszę nie tytułować. Herbaty?

- Chętnie...

Podszedł do małych drzwiczek i z ręki, która się przez nie wysunęła, przyjął tackę z dwiema napełnionymi już szklankami. Postawił ją na stole i nałożył okulary. Twarz jego zebrala się wtedy w sobie, chuda, wyzywająca, wszystko ustawiło się w niej na wyjściowych pozycjach i znieruchomiło.

- Co to jest szyfr? - rzucił. - Proszę mówić, co pan wie.

Jak gdyby bił w coś twardego metalicznym głosem.

- To system znaków, który można przy pomocy klucza przełożyć na zwykły język.

- Tak? A zapach róży, na przykład, jest szyfrem czy nie?

- Nie, bo nie jest znakiem czegoś, a tylko sobą, zapachem. Gdyby oznaczał coś innego, wtedy mógłby, jako symbol, stać się znakiem szyfru...

Odpowiadałem ożywiony, bo mogłem wykazać umiejętność sprawnego myślenia. Otyły oficer pochylił się w moją stronę, aż mundur na brzuchu, wezbrany tłuszczem, pofalował się, grożąc wysadzeniem guzików. Nie zważałem nań, patrząc na Prandtla, który zdjął okulary, żeby nimi zakręcić, i twarz mu się rozproszyła.

- A jak pan sądzi - czy róża pachnie tak sobie, czy w określonym celu?

- No... może wabić zapachem pszczoły, które ją zaSkinał głową.

- Tak. Przejdźmy do uogólnień. Oko przekształca promień w nerwowy szyfr, który mózg odcyfrowuje jako światło. A sam promień? Nie zjawiał się przecież nigdzie. Wysłała go lampa albo gwiazda. Informacja o tym tkwi w jego strukturze. Można ją odczytać...

- Jakiż to szyfr? - przerwałem mu. - Gwiazda ani lampa nie usiłują niczego ukryć, podczas gdy szyfr ukrywa swą treść przed niepowołanymi.

- Tak?

- To chyba oczywiste! Cała rzecz w intencji wysyłającego wiadomość.

Urwalem, sięgając po herbatę. Pływała w niej mucha, której przed chwilą na pewno nie było. Czyżby wrzucił ją otyły oficer? Spojrzałem na niego. Dłubał w nosie. Wyłowilem muchę łyżeczką i rzuciłem na spodek. Stuknęła. Dotknąłem jej. Była z wydmuchanego metalu.

- W intencji? - powiedział Prandtl. Nałożył okulary. Gruby - - patrząc na mojego mentora, starałem się mieć go na oku - szperał, sapiąc, po kieszeniach, a twarz jego stawała się coraz bardziej roznamłana. Podgardle miał jak balon. Budził wprost obrzydzenie.

- Oto promień - ciągnął Prandtl. - Wysłała go jakaś gwiazda. Jaka? Wielka czy mała? Gorąca czy chłodna? Jaka jest jej historia, jaka przyszłość? Czy można dowiedzieć się tego z jej promienia?

- Można, posiadając odpowiednią wiedzę.

- A czym jest ta wiedza?

- Czym jest?

- Kluczem. Czy tak?

- No... - ociągałem się z odpowiedzią - promień nie jest szyfrem.

- Nie?

- Nie, bo nikt nie ukrył w nim tych wiadomości, a zresztą, idąc po tej linii, dojdziemy do wniosku, że wszystko jest szyfrem.

- I słusznie, mój panie. Wszystko, wszystko jest szyfrem - albo kamuflażem. Pan też.

- Czy to żart?

- Nie. To prawda.

- Ja jestem szyfrem?

- Tak. Albo kamuflażem. Mówiąc ściślej, relacja jest taka: każdy szyfr jest maską, kamuflażem, ale nie *każda* maska jest szyfrem.

- Na szyfr mógłbym się ostatecznie zgodzić... - powiedziałem, dobierając ostrożnie słów - chodzi panu zapewne o dziedziczość, o te maleńkie, własne wizerunki, które nosimy w każdej kropelce ciała, żeby pieczętować nimi potomków... ale kamuflaż? Co... co mam z nim wspólnego?

- Pan? Przepraszam - odparł Prandtl - ale to nie moja *rzecz*. Ja nie rozstrzygam pańskiej sprawy. To do mnie nie należy.

Podszedł do drzwiczek w ścianie. Z ręki, która się w nich ukazała - musiała to być ręka kobieca, bo zauważyłem lakierowane czerwono paznokcie - wyjął papierową wstążkę i podał mi ją.

„Zagrożenie manewrem oskrzydającym - stop” - czytałem - „kierować posiłki w sektor VII - 19431 - stop - za kwatermistrza siódmej grupy operacyjnej Ganzmirst plk dypl. - stop”.

- Podniosłem głowę, odkładając strzęp taśmy, i nieznacznie pochylilem się do przodu. W herbacie pływała druga mucha. Tłusty oficer musiał ją tam wrzucić,

kiedy czytałem. Popatrzyłem na niego. Ziewał. Wyglądało to, jakby konał z rozdziawionymi ustami.

- Co to jest? - spytał Prandtl. Głos jego dobiegł mnie z daleka. Otrząsnąłem się.

- Jakaś rozszyfrowana depesza.

- Nie. To szyfr, który trzeba dopiero rozłamać.

- Przecież to jakaś tajna wiadomość?

- Nie - ponownie zaprzeczył głową. - Kamuflowanie szyfrów pod postacią wiadomości niewinnych, w rodzaju jakichś tam prywatnych listów czy wierszy, należy do przeszłości, panie. Każda strona usiłuje dziś wywołać w drugiej wrażenie, że to, co wysyła, nie jest zaszyfrowane. Rozumie pan?

- Do pewnego stopnia...

- Pokażę panu teraz ten sam tekst, przepuszczony przez DESZ-a - tak nazywamy naszą maszynę.

Znów zbliżył się do drzwiczek, wyszarpnął z białych palców taśmę i wrócił z nią do stołu.

„Baremisozyturia inpekclancybilistyczna matetosi się by kancepudroliwać ambrendafigianturelię nieodkocywra-cipośmajną” - odczytałem i spojrzałem na niego, nie kryjąc zdumienia.

- To ma być rozszyfrowane? Uśmiechnął się pobłażliwie.

- To drugi etap - wyjaśnił. - Szyfr został skonstruowany tak, by rozłamanie go dało stek nonsensów. Miało to przekonać nas ostatecznie, że właściwa treść pierwotna depeszy nie była szyfrem, czyli że wiadomość leży na powierzchni i jest taka, jaką pan poprzednio odczytał.

- W istocie natomiast?... - poddałem. Skinął głową.

- Zaraz pan zobaczy. Przyniosę teraz tekst przepuszczony ponownie przez maszynę.

Papierowa taśma spłynęła z dłoni w kwadratowych drzwiczkach. W głębi poruszało się tam coś czerwonego. Prandtl zasłonił sobą otwór. Wziąłem taśmę, którą mi podał - była ciepła, nie wiem: od dotyku człowieka czy maszyny.

„Abruptywnie kancelerować derwiszów odnoszących barbimuchowe śniętopały przez turmańsk celeratywny wnikliwość wskazana”.

Taki był ów tekst. Potrząsnąłem głową.

- Cóż pan z tym pocnie? - spytałem.

- Tu ustaje już praca maszyny, a rozpoczyna się ludzka. Kruuh!! - krzyknął.

- Noooo? - zastękał wyrwany z odrętwienia otyły oficer. Zamglonymi, błoną jakby przesłoniętymi oczami wpatrzył się w Prandtla, który cisnął mu w twarz:

- Kancelerować!

- Neeee - zabeczal gruby fałsetem.

- Derwiszów!

- Beee! Deee!

- Odnoszących!

- Od... odp... - stękał. Ślina ciągnęła mu się między wargami.

- Barbimuchowe!

- Wie... mm... muuu... sztucz... sztuczne m...m! m!!! Ha, ha, ha! ha, ha, ha! - gruby zaniósł się niepowstrzymanym śmiechem, który przeszedł w rzężenie, okoloną tłuszczem twarz posiniała mu, ze łzami, nikiącymi w fałdach torbiastych policzków, lkał, łapiąc powietrze.

- Dość! Kruuh! Dość!!! - huknął kapitan. - Potknięcie - zwrócił się do mnie. - Falszywa asocjacja. Zresztą prawie cały tekst już pan usłyszał.

- Tekst? Jaki tekst?

- „Nie będzie odpowiedzi”. To wszystko. Kruuh!! - podniósł głos. Otyły całym w mundur opiętym cielskiem trząsł się na krześle, uczepony kielbaskowatymi palcami stołu. Na okrzyk Prandtla uciął, chwilę pojękiwał, aż począł się gładzić obu rękami po twarzy, jakby pragnął się w ten sposób pocieszyć.

- „Nie będzie odpowiedzi”? - powtórzyłem cicho. Zdawało mi się, że słowa te słyszałem niedawno, ale nie mogłem sobie przypomnieć, od kogo. - Treść raczej skąpa - podniosłem oczy na kapitana, którego usta, dotąd nieruchomo skrzywione, jak gdyby nieustannie smakował cienką gorycz, lekko się uśmiechnęły.

- Gdybym pokazał panu ustęp bogatszy w treść, obaj moglibyśmy tego potem żałować. Zresztą i tak...

- Co „i tak”? - spytałem gwałtownie, jakby te lekko rzucone słowa otarły się o rzecz niesłuchanie dla mnie ważną. Prandtl wzruszył ramionami.

- Nic. Pokazałem panu fragment nowożytnego szyfru, niezbyt skomplikowanego zresztą. Był to szyfr użytkowy. Jako taki miał wielowarstwowy kamuflaż.

Mówił szybko, jakby chciał odwrócić moją uwagę od nie dokończonej aluzji. Pragnąłem wrócić do niej, otwierałem już usta, ale powiedziałem tylko:

- Mówił pan, że wszystko jest szyfrem. To była tylko przenośnia?

- Nie.

- Więc każdy tekst?...

- Tak.

- A literacki?

- Też. Proszę, może pan podejdzie...

Zbliżyliśmy się do drzwiczek. Zamiast następnego pokoju, którego spodziewałem się, gdy je otworzył, ukazała się wypełniająca framugę ciemna płyta z małą klawiaturą; w środku widniał rodzaj obrzeżonej niklem szczeliny z wystającym jak języczek węża końcem papierowej taśmy.

- Proszę podać jakiś fragment utworu literackiego - zwrócił się do mnie Prandtl.

- Może być... Szekspir?

- Co pan chce.

- I pan twierdzi, że jego dramaty - to zbiór zaszyfrowanych depesz?

- To zależy od tego, co pan rozumie przez depeszę. Ale może zrobimy po prostu próbę? Słucham.

Spuściłem głowę. Przez dłuższą chwilę nie przychodziło mi na myśl nic poza okrzykiem Otella: „O, pupko ubóstwiana!” - ale cytat ten wydał mi się za krótki i niestosowny.

- Mam! - powiedziałem naraz, podnosząc oczy. - „Jeszcze me ucho stu słów nie wypilo z twych ust, a jednak głos ich tak mi znany, jesteś Romeo? Mów!”

- Dobrze.

Kapitan naciskał szybko tastry, wystukując podany cytat. Z podobnego do listownika otworu wychynął, poruszając się w powietrzu, papierowy wąż. Prandtl ujął go łagodnie i podał mi - trzymałem w palcach koniuszek, czekając cierpliwie; taśma wylaniała się po centymetrze ze

szpary i, napinając ją lekko, czułem wewnętrzne podrygiwanie mechanizmu, który ją przesuwiał. Delikatne mrowie, przenoszone przez napięty pasek papieru, ustało nagle. Rozwijał się dalej, już pusty. Podniosłem wydrukowany tekst do oczu.

„Łaj dak Mat hews Łaj dak ręce bym i nogi mu podrobił ze słó dy czą nie ziem ską Mat hews ma cio ry odrośl Mat hews Math”

- I cóż to jest? - spytałem, nie kryjąc zaskoczenia. Kapitan pokiwał głową.

- Przypuszczam, że pisząc tę scenę, Szekspir żywił nieprzyjemne uczucia do osobnika nazwiskiem Mathews - i zaszyfrował je w tekście dramatu.

- No, wie pan! Nigdy w to nie uwierzę! Innymi słowy, pakował umyślnie w ten cudny liryczny dialog karczemne wyzwiska pod adresem jakiegoś Mathewsa?

- Któż mówi, że umyślnie? Szyfr to szyfr, bez względu na intencję, jaka przyświecała jego autorowi.

- Czy pozwoli pan? - spytałem. Zbliżyłem się do klawiatury i sam wystukałem na niej tekst już rozszyfrowany. Taśma ruszyła, skręcając się w spirale. Zauważyłem osobiwy uśmiešek na wargach Prandtla, który się jednak nie odezwał.

„Gdy by mi dała faj ech faj faj gdy by mi ech faj da la faj bia la faj da la faj ech gdy” - widniały schludnie zgrupowane sylabami litery.

- Jakżeż to? - powiedziałem. - Co to jest?!

- Następna warstwa. A czego pan oczekiwał? Dokopaliśmy się głębszego jeszcze pokładu psychiki siedemnastowiecznego Anglika, nic nadto.

- To nie może być! - zawolałem. - Więc ten cudowny wiersz - to futerał chowający w swym wnętrzu jakieś maciory, daj i faj?! I jeżeli włoży pan do swojej maszyny najszczytniejsze pomniki literatury, plody geniuszu ludzkiego, nieśmiertelne poematy, sagi - wyjdzie z tego belkot?!

- Bo też to jest belkot, panie - odparł chłodno kapitan. - Dywersyjny belkot. Sztuka, literatura, czy pan wie, do czego ona służy? Do odwracania uwagi!

- Od czego?

- Pan nie wie?

- Nie...

- Bardzo źle. Powinien pan wiedzieć. Co pan tu, w takim razie, robi?!

Milczałem. Z nieruchomą twarzą, na której skóra napięła się jak namiot na ostrych głazach, rzekł cicho:

- Rozłamany szyfr jest dalej szyfrem. Pod okiem fachowca złuszczy z siebie osłonę po osłonie. Jest niewyczerpalny. Nie ma kresu ani dna. Można zagłębiać się w jego warstwach coraz trudniej dostępnych, coraz głębszych, ale to wędrówka nieskończona.

- Jakżeż? A... „nie będzie odpowiedzi”? - ucpiłem się jego poprzednich słów. - Pokazał mi pan to zdanie jako rezultat ostateczny.

- Nie. To etap. W ramach określonego przewodu - istotny, ale tylko etap. Zastanowiwszy się, dojdzie pan tego sam.

- Nie rozumiem.

- Zrozumie pan w swoim czasie, ale i to będzie tylko następnym krokiem.

- Czy nie może mi pan w tym pomóc?

- Nie. Musi pan dojść tego sam. Każdy musi. To wymaganie *znaczne*, ale pan, jako wyróżniony, wie przecież, czego się tu żąda... Nie mogę poświęcić panu więcej czasu. W przyszłości zrobię, co będę mógł, oczywiście na drodze służbowej.

- Ale... jak to... przecież ja dalej właściwie nie wiem - rzuciłem pośpiesznie, skonsternowany - pan miał przecież wprowadzić mnie w szyfry potrzebne mi w związku z Misją.

- Z pańską Misją?

- Tak.

- Proszę ją wymienić.

- Nnie... nie znani szczegółów, przypuszczani, że są zawarte w instrukcji, niani ją przy sobie, w teczce, ale nie mogę panu pokazać, zaraz... gdzież moja teczka?!

Zerwałem się z krzesła, zajrzałem pod stół - teczki nie było. Zwróciłem oczy na otyłego. Miał wzrok śniętej ryby. Powietrze poświszywało w jego na pół otwartych ustach.

- Gdzie moja teczka?! - podniosłem głos.

- Spokojnie - odezwał się zza moich pleców Prandtl - u nas nic nie może zginąć. Kruuh! Kruuh! - powtórzył karząco. - Oddaj! Słyszysz? Oddaj!

Gruby poruszył się i coś klasnęło o podłogę. Porwałem teczkę, sprawdzając dotykiem, czy jest pełna, i wyprostowałem się.

Czy siedział na niej? I kiedy ściągnął ją ze stołu - na moich oczach? Musiał być, wbrew pozorom, nader zręczny. Chciałem już otworzyć teczkę, gdy uświadomiłem sobie, że nie wyczytam potrzebnych informacji z szyfrowanego tekstu, a nie wiedząc, o co chodzi, kapitan nie będzie mi mógł dać właściwego klucza. Było to błędne koło. Powiedziałem mu o tym.

- To chyba przeoczenie majora Ermsa - zakończyłem.

- Nie wiem - odparł.

- Pójdę do niego! - rzuciłem niemal wyzywająco. Znaczyło to: pójdę i powiem, że umywasz od wszystkiego ręce, stając na przeszkodzie Misji, którą wyznaczył mi głównodowodzący. - Pójdę w tej chwili! - zapaliłem się.

- Zrobi pan, co uważa za właściwe - odpowiedział i dodał jakby z pewnym wahaniem: - Czy tylko orientuje się pan w toku obowiązującej pragmatyki?

- Pragmatyka ta sprawia, że odchodzę z niczym, tak? - spytałem chłodno.

Prandtl zdjął okulary jak maskę, i jego twarz, nagle obnażona, ukazała mi swą zmęczoną bezradność. Czulem, że chce mi coś powiedzieć i nie może - czy też nie wolno mu tego zrobić. Wrogość, jaka narastała między nami podczas rozmowy, rozwinęła się naraz. W całym pomieszczeniu jakie mną owładnęło, znalazłem coś na kształt niedowarzonej, może bezsensownej sympatii dla tego człowieka.

- Czy... wykonuje pan rozkazy? - spytał tak cicho, że ledwo go usłyszałem.

- Czy wykonuję? Tak...

- Ja też...

Otworzył przede mną drzwi i stał przy nich nieruchomy, czekając, aż wyjdę. Gdy przechodziłem, rozchylił wargi. Słowo, które miał wypowiedzieć, nie spłynęło z nich. Tehnął mi tylko z bliska samym oddechem w *twarz*, cofnął się i zatrzaskał za mną drzwi, nim pojąłem, co się dzieje. Znalazłem się na korytarzu, z teczką, mocno ścisną w rękę. Jeśli nawet wizyta w Wydziale Szyfrów nie przyniosła tego, czego się po niej spodziewałem, bo ani o włos nie przybliżyłem się do poznania Misji, to miałem przynajmniej dokąd iść, a to było nie do pogardzenia. 9129 - powtórzyłem w duchu. Wiedziałem, że nie zjawię się u Ermsa z pretensjami. Przyjdę po prostu po kartki obiadowe, które obiecał mi załatwić. Był to dobry pretekst do rozpoczęcia rozmowy.

Uszedłem już kawał drogi między szpalarami białych drzwi, gdy uświadomiłem sobie, co zawiera teczka. Jeśli cały szyfr - nawet w myślach nazywałem to szyfrem, bo czegoś musiałem się przecież trzymać - brzmi jak wrywyki poznane w gabinecie Ermsa, to dalsze ustępy mogą zawierać opis następnych moich poruszeń w Gmachu, także tych, jakich jeszcze nie doświadczyłem. Myśli tej nie uznałem wcale za szaloną. Skoro wszędzie, gdzie przybywałem, dawano mi w aluzyjny sposób do zrozumienia, że wie się o moich krokach więcej, niż sędzę, skoro - a na to wskazywał odczytany u Ermsa fragment - chwilami przestawały być tajemnicą nawet moje myśli, dlaczego teczka nie mogła zawierać dalszego planu mojej wędrówki wraz z tym, co czekało u jej końca?

Postanowiłem otworzyć teczkę, dziwiąc się już tylko temu, że przedtem nie przyszło mi to na myśl. Miałem w ręku własny los i mogłem doń zajrzeć.

Szereg drzwi po prawej stronie urwał się. Za ścianą znajdowała się zapewne jakaś długa sala. Nieco dalej odnalazłem boczną odnogę korytarza, która zaprowadziła mnie do toalety tego piętra. Drzwi przedśionka były uchylone. Zająrzałem do łazienki, a że była pusta, zaniknąłem się i, już siadając na brzegu wanny, zauważyłem niewielki ciemny przedmiot na półeczce pod lustrem. Była to na wpół otwarta w zapraszający sposób ułożona na czystej serwetce brzytwa. Nie wiem, czemu nastroiło mnie to nieufnie. Wziąłem ją do ręki; wyglądała na nową. Jeszcze raz rozejrzałem się po otoczeniu, lśniącem czystością chirurgicznego gabinetu. Odłożyłem brzytwę na poprzednie miejsce. Nie mogłem się jakoś zdobyć na otwarcie przy niej teczki. Opuściłem łazienkę, żeby zjechać windą na niższe piętro, do tej, która dała mi poprzedniej nocy schronienie.

I ta była pusta, dokładnie w takim samym stanie, w jakim ją opuściłem, tylko ręczniki zmieniono na świeże. Rozwiązałem na brzegu wanny tasemkę i spomiędzy tekturowych okładek wysunął się gruby plik białych arkuszy.

Ręce drżały mi trochę, bo pamiętałem, że wierzchni był zadrukowany. Papiery rozsunęły się - wszystkie puste. Kartkowałem je coraz szybciej. Rura wodociągowa wydała jeden z tych bezsensownych, dzikich odgłosów, jakie towarzyszą czasem otwarciu kurka na innym piętrze. Zajączła ludzkim prawie głosem, który przeszedł w belkotanie, coraz słabsze i dalsze, w miarę jak rozchodziło się po żelaznych trzewiach Gmachu. Wciąż przekładałem białe kartki, licząc je machinalnie, nie wiadomo po co, zarazem w myśli wracałem do Prandtla, rzucałem się na otyłego, biłem go, kopalem ohydnie napuchłe cielsko - gdybym go tylko miał przed sobą!

Wściekłość uszła ze mnie równie nagle, jak przyszła. Siedziałem na brzegu wanny, układając arkusze, aż na nowo, innymi oczami, zobaczyłem, co znaczyło to jego dziwne chuchnięcie. Rzecz została ukartowana z góry, żeby skraść mi instrukcję. Ale po co, jeśli Erms mógł mi jej od razu nie dać?

Ręce, przekładające arkusz po arkuszu, znieruchomiały. Stos pustych papierów ukrywał w sobie dwa odmienne. Na jednym był odręcznie naszkicowany plan Gmachu, wraz z mapką Góry Świętego Juana, w której wnętrzu się znajdował, na drugim, przyszytym do tamtego białą nitką, widniał wydrukowany w dwunastu punktach plan operacji dywersyjnej „Sztach”. Trzymając je przed oczami, odbywałem już dalszą wędrówkę. Oddam te papiery władzom. Przedstawię sposób, w jaki weszły w moje posiadanie. Może uda mi się zyskać wiarę. Jak jednak udowodnię, że się z tymi - tajnymi - aktami nie zapoznałem? Że nie zapamiętałem położenia Gmachu - sto osiemnaście mil na południe od szczytu Harvurda - ani jego planu, rozkładu pokoi, sztabów, że nie przeczytałem opisu dywersyjnej operacji? Sprawa była przegrana dokładnie. Widziałem, jak się moja dotychczasowa droga układa w coraz konsekwentniejszą całość, jak pozory bezmyślnego przypadku przekształcają się w pułapkę, w którą wchodziłem coraz głębiej, aż po chwilę obecną, o wymowie tak oczywistej.

Palce drgnęły mi, żeby podrzeć kompromitujące papiery i wrzucić strzępy do muszli - lecz momentalnie przypomniałem sobie ostrzeżenie Ermsa. A więc naprawdę nic nie działo się tak sobie? Każde wypowiedziane przez nich słowo, każdy ruch głowy, roztargnienie, uśmiech - wszystko było obliczone i cała ta olbrzymia machina pracowała z taką matematyczną precyzją wyłącznie dla mojej zguby? Poczułem się wewnątrz góry naszpikowanej błyszczącymi oczami i przez kilka sekund gotów byłem osunąć się na kamienną podłogę. Gdybym mógł ukryć się gdzieś przed nimi, zaszyć, rozplaszczyc w szparze, gdybym przestał istnieć... Brzytwa! Czy dlatego tam leżała? Wiedzieli, że będę chciał zostać sam, i podłożyli ją?

Ręce moje poruszały się rytmicznie. Układałem papiery. W miarę jak teczka się wypełniała, rojowisko pomysłów, z których każdy służyć miał memu ratunkowi, topniało, tak że szukając jeszcze jakiegos wyjscia, zuchwale finty, którą, jak szczwany gracz, odwróć zmienacka kartę, widziałem coraz wyraźniej własną, kornie spoconą twarz skazanego. Oczekiwała mnie za kilkoma nie dopełnionymi jeszcze formalnościami. - Trzeba to załatwić szybko i prosto - myślałem - teraz, skoro przepadłem, nie grozi mi już nic. - Musiałem sobie przygotować tę myśl wcześniej, bo wyloniła się z natłoku nierealnych wybiegów jak wyzwolenie.

W chwili kiedy gotów już byłem przywdziać majestat skazańca, spomiędzy ostatnich arkuszy wymknęła się niewielka, sztywna kartka z wypisanym dość niewyraźnie numerem 3883 i upadła mi do stóp. Podniosłem ją wolno. Jakby dla uniknięcia nieporozumienia inna ręka podała przed cyfrą malutkimi, starannymi literkami skrót „Pok.” - pokój.

Nakazywano mi tam pójść? Dobrze. Związałem tasemkę teczki i wstałem. Od drzwi raz jeszcze obrzuciłem wzrokiem porcelanowe wnętrza i z lustra, jak z ciemnego okna, spojrziała na mnie własna twarz, rozlanana w przepływające płaszczyzny - było to spowodowane falistością szkła, ale mnie się wydało, że widzę ją w lodowatych płomieniach strachu. Tak patrzyliśmy na siebie - ja i ja - i jak przedtem od środka niejako wczolgiwałem się w przyciasną skórę zdrajcy, tak teraz obserwowałem zmiany, jakie zaszły na zewnątrz. Myśl, że ta zeszecona trwoga, błyszcząca, jakby wodą zlaną twarz zniknie, nie była przykra. Właściwie od dawna podejrzewałem, że to się tak skończy.

Smakowałem rozniary kłeski z przewrotnym zadowoleniem, wynikłym ze słuszności mych przewidywań. Jednakowoż, gdyby tak podrzucić gdzieś te papiery? Wtedy zostałbym jednak bez czegoś; ani wyznaczony, ani nawet oszukany i zdradzony - nic zgola. Może dostałem się między młot i kowadło, wszedłem, nie wiedząc o tym, w obręb jakiejś wielkiej intrygi, i zniszczyć mnie usiłowały tryby sprzecznych interesów? W takim wypadku odwołanie się do instancji wyższej mogło okazać się zbawcze...

Pokój numer 3883 postanowiłem zostawić sobie jako ostateczność, a teraz iść do Prandtla. Jakkolwiek bądź - chuchnął. To musiało coś znaczyć. Chuchnął - a zatem sprzyjał mi. Był potencjalnym sojusznikiem. Co prawda sam odwrócił moją uwagę, żeby otyły mógł łatwiej zabrać mi teczke. Widocznie musiał. Pytał przecie, czy wykonuję rozkazy, i powiedział, że sam to robi.

Zdecydowałem się pójść. Korytarz był pusty. Biegłem prawie do windy, by się nie rozmyślić. Czekałem na nią dość długo. Na górze panował spory ruch. Od razu kilku oficerów zajęło windę, z której wysiadłem. Zmierzałem do Wydziału Szyfrów coraz wolniej. Jalość tego kroku stawała się krzyżącą. Mimo to wszedłem do środka. Na stole, przy którym siedział przedtem otyły, na stercie poplamionych papierów stały szklanki po herbacie. Poznałem moją po złożonych, jak pestki, sztucznych muchach na brzegu spodka. Czekałem chwilę, ale nikt nie nadchodził. Biurko pod ścianą zalegały liczne akta; zacząłem je przerzucać, w nikłej nadziei, że trafię na ślad chociażby mojej instrukcji. Jakoż leżała tam, pośród innych, żółta teczka, ale zawierała tylko listę płac, którą przejrzałem. W innych okolicznościach poświęciłbym jej pewno więcej uwagi, zawierała bowiem wyliczenie takich specjalności, jak Infernator Tajny, Demaskator I rangi, Macerator, Fekalista, Inwigilator, Cedzacz, Dementysta Pokątny, Kremator, Osteofag - ale teraz porzuciłem ją obojętnie. Telefon, stojący tuż pod moją ręką, zadzwonił, aż drgnąłem. Spojrzałem nań. Dzwonił natarczywie. Podniosłem słuchawkę.

- Halo? - rozległ się męski głos. - Halo?

Nie odpowiedziałem. W tym momencie stało się to, co się czasem zdarza - ktoś jeszcze włączył się w linię, tak że mogłem słyszeć głosy obu mówiących.

- To ja - odezwał się głos, który wołał przedtem „halo” - nie wiemy, co robić, kapitanie!

- A co? Tak z nim źle?

- Coraz gorzej. Obawiamy się, żeby sobie czegoś nie zrobił.

- Nie nadaje się? Od razu tak myślałem. Nie nadaje się, co?

- Tego nie mówię. Był dobry, ale pan wie, jak to jest. Tę sprawę trzeba głaskać.

- To jest dla szóstki, nie dla mnie. Czego pan chce?

- Nie może pan nic zrobić?

- Dla niego? Nie widzę, co mógłbym zrobić. Zupełnie nie widzę...

Sluchałem bez tchu. Narastające wrażenie, że mówią o mnie, zmieniało się w pewność. Przez chwilę w słuchawce panowała cisza.

- Naprawdę nie może pan?

- Nie. To przypadek dla szóstki.

- Ale to oznaczałoby zdjęcie ze stanowiska.

- No tak.

- Więc mamy z niego zrezygnować?

- Widzę, że pan nie chce.

- Nie chodzi o to, czego ja chcę, ale - widzi pan - on się już trochę przyzwyczail...

- No więc co właściwie?... Macie tam własnych specjalistów. Co mówi Prandtl?

- Prandtl? Od czasu jak dmuchnął - nic. Jest na konferencji.

- To niech go pan wywoła. A w ogóle nie mam zamiaru zajmować się tą sprawą. Nie należy do mnie.

- Poślę mu konfidentów z lekarskiego.

- Jak pan chce. Przepraszam, ale nie mam czasu. Czołem.

- Czołem.

Obie słuchawki dzwinkły, odłożone, i zostałem z szumiącą, jak muszla, ciszą przy uchu. Wahałem się. Nie byłem już taki pewny, że mówili o mnie.

Dowiedziałem się w każdym razie, że Prandtla nie ma. Odłożyłem słuchawkę i na odgłos kroków - ktoś nadchodził z drugiego pokoju - wybiegłem na korytarz. Pożalowałem tego zaraz, ale nie zdobyłem się już na to, by wrócić. Miałem teraz do wyboru Ermsa albo pokój 3883. Szedłem prosto, wciąż przed siebie. 3883 to musi być gdzieś na czwartym piętrze. Wydział Śledczy? Zapewne. Nie wyjdę już stamtąd. Chodzenie korytarzami nie jest w końcu takie złe. Można *odpocząć* w windzie, przystanąć, zażyć do łazienki...

Przypomniałem sobie brzytwę. Dziwne, że dotychczas o niej nie pomyślałem. Czy była dla mnie? Może. Nie rozstrzygnę tego. Zanim jestem podniecony. Szedłem schodami w dół. Kręciło mi się trochę w głowie. Piąte piętro. Czwarte. Korytarz, biały, nadzwyczaj schludny, jak wszystkie, prowadził prosto. 3887, 3886, 3885, 3884, 3883.

Serce uderzało mi gwałtownie. Trudno by w takim stanie mówić. Zatrzymałem się, aby nabrać tchu. - Ostatecznie mogę zajrzeć tylko do środka - pomyślałem. Gdyby mnie spytano, powiem, że szukałem majora Ermsa i że się pomyliłem. Teczki nikt chyba nie będzie mi wrywał siłą z rąk. W końcu to jest mój a instrukcja, w razie potrzeby zażadam, aby zatelefonowali do Wydziału Instrukcyjnego, do Ermsa. Zapewne, to wszystko bzdura, bo oni i tak wiedzą. Jeśli wiedzą, nie mam co bić się z myślami. Usiłowałem zrekapitulować wszystkie dotychczasowe przejścia, które będę musiał podać do protokołu. Jeśli przychwycą

mnie na jakimś przeinaczeniu, będzie dodatkowo świadczyło przeciw mnie. Tyle tego jednak było, że jałem gubić się w przypadkach, niepewny, czy najpierw wydarzyła się historia ze starszkiem, czy też aresztowanie na korytarzu mego pierwszego instrukcyjnego? Oczywiście, że najpierw go aresztowano. Zaniknąłem oczy i nacisnąłem klamkę.

Dobrze, że w tym wielkim, ciemnym, pełnym kartotek i segregatorów pokoju nikogo nie było, bo przez dobrą chwilę nie wydobyłbym głosu z piersi. Olbrzymie książki, sterty przewiązanych sznurkami papierzyśk, słoiki białego kleju kancelaryjnego, nożyczki, poduszki pieczętek i przybory do pisania zawaływały wielkie biurka pod ścianami. Ktoś nadchodził. Słyszałem, jak powłóczy nogami. W uchylonych, bocznych drzwiach, wiodących w nieprzeniknioną ciemność, ukazał się niechlujnie wyglądający staruch w poplamionym mundurze.

- Pan do nas? - zaskrzeczał. - Do nas? Rzadki, rzadki gość! Czym można służyć? Coś do wglądu zapewne?

- Ja... e... - zacząłem, lecz antypatyczne indywiduum, pociągając nosem, u którego dyndała lśniąca kapka, ciągnęło:

- Szanowny pan po cywilnemu - znaczy, że z katalogu coś... bardzo proszę, tutaj...

Przekuszywał obok mebla, który wzięłem za wielką szafę, i wprawnymi ruchami powyciągał, jedną za drugą, wąskie, długie szufladki biblioteczne. Jeszcze raz rozejrzałem się po zastawionym pokoju: olbrzymie stosy szpargałów spoczywały i na podłodze, w kątach, pod krzesłami, powietrze wypełniała duszna woń prochu i zleżałych papierów. Przechwyciwszy mój wzrok, staruch zachrypiał:

- Pana archiwariusza Gloubła nie ma. Konferencja, proszę pana, co robić! Pana archiwariusza-subdependenta generalnego także, niestety, nie ma, za pozwoleniem - wyszedł. I w ogóle ja jeden, niech mi wolno będzie, na gospodarstwie się ostałem, Kappril Anteusz do usług, jani-tor w dziewiątym stopniu służbowym, z wysługą, po latach

czterdziestu i ośmiu. Żebym się do stanu spoczynkowego szykował - mówią panowie oficerowie, atoli ja - szanowny pan sam widzi! - niezastąpiony poniekąd jestem. Ale, ale, ja tu gadu-gadu, a pan szanowny zapewne służbowo spieszy się? Zamówionko proszę łaskawie do tej oto skrzy-neczki-szkatułki i dzwonek proszę usilnie pociągnąć - zjawię się, odszukam w mig, stare oczy, hę hę, za pozwoleniem, nie gorsze od młodych, przyniosę i, jeśli na miejscu, uprzejmie proszę, a jeśli poza obręb, to łaskawie tylko cyferkę swoją zechce pan na karcie, w rubryce „czwórka rzymska łamane przez Be” umieścić - i to już wszystko...

Zakończył tę ochryplą orację przeciągłym szastnięciem - nie wiem, czy to był ukłon, czy też nogi miał tknięte paraliżem - i wskazał zapraszająco rząd wysuniętych szuflad ogromnego katalogu.

Zarazem wprawnie podsunął sobie stalowe okulary z nosa na czoło i z nieodłącznym przyśmiałym uśmiechem jął się cofać ku drzwiom, którymi przyszedł.

- Panie Kappril - rzuciłem zniecacka, nie patrząc nań - czy na tym piętrze jest Prokuratura?

- Jak proszę? - otoczył gorliwie ucho złożoną w trąbkę dłonią. - Pro...? Nie słyszałem. Nie, proszę pana. Nie słyszałem.

- A... Wydział Śledczy? - brnąłem, nie zważając na możliwe skutki takiej otwartości.

- Wydział...? Uśmiech jego rzedniał, przerażał się w zdziwienie. - Nie ma i Wydziału, proszę pana, nie może być, bo tu my jesteśmy, tylko my - nic więcej...

- Archiwum?

- Tak jest, Archiwum, Katalog Główny, Biblioteka, siedziba, jak miałem możliwość zauważyć, tak jest. Czy mogę jeszcze czymś służyć?

- Nie... na razie dziękuję panu.

- Nie ma za co - służba. Dzwoneczek tu szykuję dla szanownego pana, na podstawce, tu, proszę, poręczniej będzie.

Wyszedł, człapiąc. Tuż za drzwiami rozkaszał się starczo, przerażliwie, i ten odgłos, nie zwracający uwagi a okrutny, jakby go ktoś dusił, oddalał się, aż zostałem sam w nagranej ciszy, przed szeregiem szuflad o mosiężnych tabliczkach.

- Co to może *znaczyć*? - rozmyślałem, sadowiąc się na krześle, które mi przygotował. - Czyżby chcieli wysondować moje zainteresowania? Ale po co? Co im z tego przyjdzie? - Od niechcenia błdziłem wzrokiem po wygrawerowanych hasłach. Katalog był działowy, nie alfabetyczny, o nazwach: SERWILISTYKA, ESCHATOSKOPIA, TEOLOGIA, FONTY- I MISTYFIKATORYKA, KADAWERYSTYKA STOSOWANA. Zająrzałem do przegródek teologii. Ktoś poprzestawiał sztywne kartki, tak że leżały pomieszane bez ładu i skladu.

ANIOLY - patrz: Komunik. Powietrzna. Tamże: Rozkazyienne.

MIŁOŚĆ - patrz: Dywersja. Tamże: Łaska. ZMARTWYCHWSTANIE - patrz: Kadawerystyka. ŚWIĘTYCH OBCOWANIE - patrz: Łączność.

Ostatecznie, cóż mi to szkodzi? - pomyślałem, wypisując na formularzu numer jednego z rozkazów dziennych w sprawie aniołów. Wiele było hasel niezrozumiałych, na przykład: INFERNALISTYKA, CEBERNAUTYKA, INCE-REBRACJA, LEJBGWARDYSTYKA, DEKARNACJA, ale nie chciało mi się nawet grzebać pod tymi rubrykami - katalog był zbyt wielki, podparty drewnianymi kolumnkami, wznosił się pod strop, szeleścił jak morze, nawet pobieżne jego studium zajęłoby tygodnie, wyjmowane z szufladek zielone, różowe i białe kartki zalewały mnie z wolna, spływały, trzepocąc, na podłogę, odkładałem po dwie, po trzy, na koniec obejrzałem się i widząc, że wciąż jestem sam, byle jak, nie patrząc, powtórzyłem je na powrót do szufladek.

Czyżby panujący w katalogu balagan brał się stąd, że czasem i inni trafiają tu podobnie jak ja? - zarysowało mi się w wyobraźni mętne podejrzenie. Wprostowałem się. Na biurku obok katalogowych szaf spoczywały, zwałone pokotem, olbrzymie, *czarne* tomy encyklopedii. Podniosłem pierwszy z brzegu. Jak to tam było? CEBERNAUTYKA? Poszukałem pod C. „CEBULA - rodzaj operacji wielowarstwowej”. Nie, nie to... „CEBERNAUTYKA - nauka zastępcza o pływaniu w cebrze. Por. Pseudognozja, także: Nauki Fikcyjne i Kamuflujące”.

Chciałem zatrzasnąć tom, ale otworzył mi się na literze A, u samego początku. Uderzyła mnie kolumna tłusto wydrukowanych hasel, zaczynających się od „Aj” - AJENT... AJENTOWY... AJENCYJNY... u dołu był większy artykuł pod tytułem AJENCI i AJENCJE W PRZEKROJU DZIEJÓW.

Obok leżał inny toni, otwarty, z zakreślonym czerwono hasłem GRZECH PIERWORODNY - podział świata na informację i dezinformację. - Co za encyklopedia - pomyślałem, przerzucając grubymi skibami całe pokłady szeleszczących kartek, biegałem po nich oczami, coraz natrafiając na nową definicję: DEKARNACJA - odcieśnienie, zbec-cieśnienie, także wycieśnienie (por. wysiedlenie), patrz: APARATY INWESTYGACYJNE. Poszukałem tych aparatów i znalazłem cały spis, zaczynający się od wylcienia dziwnych jakichś maszyn, jak ćwiartolet, łamignatnica, zaskó-rzacz, wmoźdzacz, inaczej INCEREBRATOR PRAWDY OSTATECZNEJ, nareszcie odstąpiłem od biurka z palcami powalanymi kurzem, odechciało mi się tego czytania i grzebania, reszta ciekawości ulotniła się - wyjść, wyjść jak najszybciej, do Ermsa, Erms pomoże mi, powiem mu wszystko! Szukałem mojej teczki, gdy rozległo się człapanie. Stary wrócił. Spojrzał na mnie od progu, zarzucając okulary aż na łysinę, z uwagą, która przemieniła się natychmiast w służalczy uśmiech. Dziwne - teraz dopiero zauważyłem, że ma zęza. Gdy celował we mnie jednym okiem, drugie podlatywało w górę, jakby tę część twarzy chwytalo naraz światłobliwe zapatrzenie.

- Znalazł pan?

Zmrużył oczy, zaświstał cichutko, ni to z szacunku, ni to z zastanowienia, a kiedy zobaczył inną, odłożoną przeze mnie do szkatułki kartkę, której nawet nie odczytałem, ukłonił mi się.

- Aa... i to też? - powiedział, cmokając delikatnie zwiotczalnymi wargami. Wydał mi się jeszcze bardziej niechlujny, zakurzony, z tymi rękami, twarzą, odstającymi uszami, tylko łysina świeciła mu mosiężnie, jakby naszmał-cowana.

- Jeśli tak, to może... pozwoli pan ze mną? To są, przeważnie... trudno by mi, bądź co bądź staremu, przy-dźwigać takie folianty. Nie wszystkie, ale... jeśli pan jest fachowcem... brygandier Mlassgrack zapewne nad panem? Nie, nie, o nic nie pytam. Tajemnica służbowa, regulamin zabrania, hi, hi! Proszę ze mną, tylko ostrożnie, żeby się pan nie ubrudził, kurzu moc...

Gderając tak, prowadził mnie wąskim, krętym przejściem między zatłoczonymi półkami następnych pokoiów. Mimo woli ocierałem się o postrzępione grzbiety atlan-tów i książek, coraz głębiej zanurzając się w półmrocznym labiryncie.

- Tu! - wyrzucił na koniec triumfalnie mój przewodnik. Silna, niczym nie osłonięta żarówka oświećlała rozległy zaułek księgozbioru. Pomiędzy drabinami, uczepionymi wysoko metalowej szyny, wznosiły się na wygiętych półkach szeregi tomów oprawnych w spopielała jakby skórę.

- Tort! - zachrapał ekstatycznie, wymachując mi przed oczami nieszczęsną kartą katalogu. Istotnie, to jedno słowo czerniało na niej, wywiedzione kaligraficznie tuszem.

- Tort! - powtórzył, a ciągliwa kapka u nosa roz-chygotała mu się ze wzruszenia, świecąc jak brylant pod żarówką.

- Tort, torcik, proszę bardzo, he, he, tu, od góry, ekstrakcja zeznań, tu splachnologia, inaczej wnętrzarstwo lub wywnętrzanie, he, he, tu dział wisceratorów i dewis ceratorów, mamy tam bardzo oryginalną pozycję - *De crucificatione modo primario divino*, drugi wiek, ostatni, doskonale zachowany egzemplarz z rycinami, proszę zwrócić uwagę na klanmy, tak, tutaj jest skórowanie, nawłóczy-ny, badania wytrzymałości osobniczej, nie, nie, proszę pana, tam już nie - tortury fizyczne sięgają dotąd! Te dwa skrzydła, od góry do dołu - z lewej strony wyciągi, z prawej - naciągi...

- Jak? - wyrwało mi się.

- A jakże, naciąg, to będzie, na ten przykład, pał, palik-słup, to te dwie półki. Stylityka - tu tępe, tu wyostrzone - mahoń, brzoza, dąb, jesion, tak! - a wyciągi, to tego... różne takie tam - ej, co ja będę panu mówił, hi, hi, pan lepiej przecież wie... do tego działu nikt już prawie nie zachodzi, od lat nie pamiętam. Prawdziwą przyjemność mi pan sprawił, ośmielię się wyznać, prawdziwą! Panowie powiadają, że to przestarzałe, anachroniczne.

- Przestarzałe? - spytałem głucho. Kiwnął głową. Oczu nie mogłem oderwać od rozuhananej kapki u jego nosa, ale trzymała się uporczywie.

- A tak. Tak mówią. Pozostawiamy rzeźnikom - powiadają. Rozbratel śledczy... flaki... - to pan porucznik Pirpitschek, tak, lubi pożartować. Teraz to bardziej w modzie te, ten dział, tutaj się zaczyna właśnie, gdzie pan łaskawie stoi - poddziały są numerowane, proszę, bo tak łatwiej się rozeznac, tylko ten kurz, ten kurz przekłety!

Otarł go szybko rękawem i czytał w głos:

- Tort aluzji... Tort predestynacji... Tort oczekiwania... spory dział, nieprawdaż? Samego oczekiwania dziewięćdziesiąt sztuk jak obszył, he, he, ma się tę pamięć... tort - zupełnie jak u cukiernika jakiegoś - powiada nasz brygandier, bardzo ludzki, bardzo bezpośredni człowiek, bardzo, a przecie szef nie byle jakiego wydziału, kiedy przychodzi, ja mu - janitor Kappril do usług - a on nie, żeby od razu, numer, sucho, nie jest biurokrata, nie! Ale tak zanuci „tiutiu”, „tiurrr” - zagruha, a ja w lot wiem, o co chodzi, nieprawdaż... Pan doktor Mraynorl opiekuje się tym działem. Co to? *De strangulatione systematica occulta* - ktoś musiał przestawić, przecież to fizyczna, przepraszam bardzo, oj, i muniifikacja tu, skąd się wzięła? Ależ nie. Proszę tu! Tam, gdzie pan zaszedł, to już krypto-logia, ale jeśli pan sobie życzy przejrzyć, z przyjemnością, też ciekawe bardzo pozycje. To, co zechciał pan wziąć do ręki, proszę pozwolić, obetrę tylko kurz tu wszędzie, zaraz zaraza - powiada nasz archiwariusz-generał, homonimika to jego konik, hi, hi, więc to, co pan trzyma, to jest *Kosmos jako skrzynia*, takie Chownanna, Chowanej ana, opracowanie trochę przestarzałe, ale ujdzie, pan archiwariusz-subdepen-dent wyrażał się pozytywnie, a to specjalista, jakich mało, proszę pana... To? *Zywoty laziebne*? Nie, to takie tam, nieciekawe, niestare...

Odłożyłem tę książkę i podjąłem inną: *O ukrywaniu w przedmiotach kultu*. Szumiało mi trochę w głowie. Nadto prześladowała mnie trudno uchwytna, nieżnośna woń, bijąca wszechobecnym czadem ze stosów otaczających ksiąg - nie była to woń wyraźna, pleśni na przykład czy piaszczys-to-papierowa kurzu, ale ciężki, mdły opar wiekowego but-wienia, który zdawał się lepić niewidzialnie do wszystkiego. Powinienem się był właściwie zdecydować na byle co, wziąć pierwszy lepszy tom i odejść, lecz wciąż przebierałem, jakbym naprawdę czegoś szukał. Odstawiłem *Deon-tologię zdrady* i małe, pękate *Nasładowanie nicości* z oślimi uszami, i czarno oprawny, poręczny tomik *Jak udocześniać transcendentność*, stojący, nie wiem czemu, w dziale szpiegostwa; za nim stały rzędem grube tomiska o okładkach skamieniałych ze starości, papier, nadmurszały, żółty, ukazywał na wstępnych paginach drzeworytową techniką odcisnięte tytuły: *O szpiegarzy fortunie*, czyli *Przybocznik wysmienitego szpiegostwa*, w *Xiggach trzech z parergą i parali-pomeną*, przez *nugatora Jonabieriego O. Paupę*. Między te wolumina wcisnięto stary druczek, bez okładki, z inkunabulami, ledwo czytelny: *Jak suspektować namacalnie*. Pełno tego było; ledwo nadażyłem odczytywać tytuły: *O nierządzie zdalnym*, *Przekupnia*, *aparat przyboczny śpiega*, *Teoria podglądania*, krótki rys z wykazem literatury skoptologicznej i skoptognostycznej, skoptofilia i skoptomania na usługach wywiadu, *Machina speculatrbc.*, czyli *Śpiegowania taktyka*, czarny atlas zatytułowany *O lubieży zwiadowczej*, podręczniki taktu szpiegowskiego, i *Sztuka wydawania*, czyli *Wydawca doskonały*, i *Mały zarys denuncjatoryki*, i *Wyspy i spalenia*, album rozkładane z figurami, *Zasadzki i podstawki*, nawet coś ze sztuki było - rozlatujący się plik nut, z wypisanym ręcznie, lilowym tytułem *Matę prowokatorium na cztery ręce wraz ze zbiorem sonetów Igielki*.

Za przepierzeniem jęczał ktoś okropnie, coraz głośniejsze. Nasłuchiwałem chwilę, wkładając książki na półkę, z której je wyjąłem, z sercem ściśniętym piekielnymi skowytami, aż chwyciłem za rękaw krztążącego się pospiesznie starca:

- Co to jest?!

- To? A, to panowie aspiranci przegrywają sobie z płyty, tam jest seminarium agonalistyki, symultanazji, to są tacy młodzi zgonowcy, jak to się u nas mówi - zamamrotali.

W samej rzeczy słyhać było, raz jeszcze puszczane od początku, chrapliwe rzeży agonalne. Miałem dosyć, po dziesięć, po sto razy miałem dosyć, ale przeklęty staruch, któremu nie zamykały się usta, *zapadł* jakby w trans chorobliwego podniecenia; czapiąc podbiegał do półek, wspinał się na palce, przyciągał z piekielnym zgrzytaniem zardzewiałych kółek drabiny, dął się po nich w górę, grzmiął okładkami, pudrując otoczenie chmurami mialkiego kurzu, a wszystko, aby uraczyć mnie jeszcze jednym strupieszalym okazem, rozlatującym się białym krukiem. Nie przestając unosić się, przekrzykując powtarzane w kółko za ścianką skowity, od czasu do czasu strzelał ku mnie sponad chybotającej opętanczo brylantowej kapki kosym, ostrym jak nóż spojrzeniem, ten zez stawał się coraz bardziej wymowny, panował nad całą jego, z prochu jakby ulepną twarzą, uchodzącą w głąb, w tło, spojrzenia owe przyszpilały mnie do półek, utrudniały i tak już skape i wymuszone ruchy, obawiałem się, że zdradzę czynną fikcyjność sytuacji, że odkryję we mnie ignoranta i intruza. On jednak, w starczym ferworze, dysząc, krztusząc się, otrzepując foliały z kurzu, dźwigał je, podtykał mi pod nos i rzucał się do następnych. Czarny tom *Kryptologii*, który wcisnął mi w ręce, otworzył się na stanowiących początek rozdziału słowach: „Ciała człowieka składa się z następujących schowków”...

- To... to jest *Homo sapiens jako corpus delicti* - wyborna, panie, wyborna rzecz... kompendium... to *Ogień dawniej i dziś*, a tu są spisy teoretyków przedmiotu, proszę: Meern, Birdhoove, Fishmi, Cantovo, Karck i nasi też, a jakże: profesor Barbeliese, Klauderlaut, Grumpf - kompletna bibliografia przedmiotu! Rzadkość, panie! To? To *Morbitron* Glaubla. Mało kto wie, że on jest także autorem, hi, hi, tej broszury...

Wyciągał jakiś stos ledwo trzymających się kartek, pociemniałych, o szorstkich od wytarcia brzegach.

- *Umbilico - Murologia*... tak, tak... hodowla nutrii... czego tylko nie mamy... na pępku, a jakże, niemodne - mówią panowie oficerowie... he, he! Ach, to, co pan wyjął, to już moda. Zwyczajna moda. No, krój kaftanów bezpieczeństwa gustownych, takie rzeczy, i te tam... *Kosmos jako skrzynia* zainteresował pana? Pewno! Sepet... tam jest dodatek: *Pomoc dla zbieracza dowodów własnej winy* - zauważył pan? He, he! „Samokształcenie w samosądzie” - to jest ten dział.

Odwrócony do niego plecami, żeby choć w ten sposób odgrodzić się od jego gadaniny, tak - przemóżne wrażenie! - okrywała mnie jakąś, zmieszana z prochem, skorupą nieczystości - kartkowałem na oślep, z wściekłością, ów tom małego formatu, jakby otyły, trafiając wciąż na dziwne terminy, jakieś zapadnie-double, szyfrokłódki, więcierze i apertury ryglowe, superchwały wielokrotne, wniki zam-czyste, cielesne nadzienia - autorem *Kryptologii* był docent Privat Pinntsher.

Skorzystałem z krótkiej przerwy, którą zrobił Kappril, gdy, grożąc przywaleniem, prosto w objęcia obsunęła mu się sterta poruszonych nieostroźnie tomów, i powiedziałem, że muszę już, niestety, odejść. Zerknął na zegarek. Spytałem, czy mogę nastawić mój, bo mi stanął. Miał wielką, srebrną cebulę, z której nic nie mogłem odczytać.

- Co... tajny zegarek? - wyrwało mi się.

- A co? - zagadał. - No tak. Tajny. Tajny zegarek. No co? Proszę?

I schował go, zamykając starannie pokrywkę szyfrowanego cyferblatu. Oddałem mu trzymaną książkę, bąkając, że przyjdę innym razem, kiedy będę miał więcej czasu, a póki co zastanowię się nad wyborem potrzebnej lektury. Prawie mnie nie słuchał, tak go wzięło - pokazywał mi drogę do innych działów, nagie żarówki, jak nisko opuszczone gwiazdy, rozświetlały obsypane mialkim pyłem, papierami zapchane wnętrzości ciężko przysiadłych, rozdziawionych półek i szaf; już u wyjścia dogonił mnie z podręcznikiem *Sztuki demobilizowania* i przewracał przede mną sztywne karty, zachwalając dzieło, zupełnie jakbym był potencjalnym jego nabywcą, a on na poły oszalałym zbieraczem i zarazem handlarzem bibliotekarskiej starzyny.

- Ale pan nic nie wziął, nic pan nie wziął! - uczył się mnie w pokoju katalogowym, więc kazałem sobie na odczepne dać tę rzecz o aniołach i, sam nie wiem czemu, podręcznik astronomii. Podpisałem nieczytelnie cyrograf i ścisnąc pod pachą plik papierów (tak przedstawiała się owa praca angelologiczna - manuskrypt, nie druk, Kappril podkreślił to z zachwytem), wyszedłem, aby z niewypowiedzianą ulgą wciągnąć w płuca czyste powietrze korytarza. Długo jeszcze potem całe moje ubranie wydzielało coraz niklejszy, lecz wyraźny smród, mieszaninę woni tęchnących skór cięłych, introligatorskiego kleju i sparzonego płótna. Nie mogłem się opędzić ohydnyemu wrażeniu, że zalatuje jakąś rzeźnię.

Oddaliłem się o parędziesiąt kroków od archiwum, gdy, tknięty niespodzianym przecuciem, wróciłem, by porównać numer drzwi z tym, który widniał na mojej kartce, i stwierdziłem, że mogła zajść pomyłka. Numer mój nagryzmołono, jak powiedziałem, bardzo niewyraźnie - druga ósemka mogła ująć za trójkę; w takim razie winieniem być udać się do pokoju 3383.

W moim myśleniu zasza dosyć ciekawa przemiana - to, że pomyliłem się, że odczytawszy numer, przyniosło mi niespodzianą ulgę. Nie wiedziałem zrazu czemu, aż ułożyłem to sobie, jak należało. Wszystko, co robiłem dotąd, pozornie tylko było rezultatem przypadków - działając jakby z własnej woli, postępowałem w istocie tak, jak się tego spodziewano. Wizyta w archiwum nie była jednak objęta owym wszechogarniającym moje poczynania planem i chociaż to ja się pomyliłem, winą za tę pomyłkę obarczyłem Gmach. Wypisując niewyraźnie numer pokoju, dopuszczono się względem mnie przeoczenia, jakże ludzkiego, i to utwierdziło mnie w przekonaniu, że mimo wszystko działa wokół czynnik omylności, która dopuszcza istnienie tajemnicy i swobody.

Tak więc to w pokoju 3383 należało się wytłumaczyć; skoro ja, przedmiot próby, byłem omylny, był nim i sędzia śledczy; w przeświadczeniu, iż obaj będziemy się jeszcze śmiali z tego nieporozumienia, przyspieszyłem kroku i udałem się na następne piętro.

Pokój 3383 był, sądząc choćby z samej ilości telefonów na biurkach, sekretariatem wysoko postawionej osobistości. Poszedłem prosto do obitych skórą drzwi, lecz nie miały klamki. Zaskoczony, zatrzymałem się przed nimi, a sekretarka spytała, czego sobie życzę. Moich wyjaśnień, dość zawikłanych, bo nie chciałem powiedzieć prawdy, zdawała się nie słyszeć.

- Pan nie jest zameldowany - powtarzała uporczywie. Po daremnych naleganiach zażądałem, aby wciągnęła mnie na listę i wyznaczyła termin stawieństwa, lecz i tego mi odmówiła, powołując się na jakieś zarządzenia. Miałem przedstawić sprawę piśmiennie, na drodze służbowej, to jest przez szefa mego Wydziału. Podniosłem głos, powoływałem się na doniosłość mojej Misji, na konieczność rozmowy w cztery oczy, ale nawet nie odpowiadała, bezustannie przyjmując telefony. Rzuciła do mikrofonu trzy, cztery lakoniczne słowa, naciskała guziki, przełączała linie i tylko między jednym a drugim podniesieniem słuchawki muskała mnie prawie nie widzącym wzrokiem, pod którym stopniowo przestawałem istnieć, niczym jeden ze sprzętów pokoju.

Po kwadransie takiego wystawiania doszedłem do błagań i prób, a gdy nie odniosły najmniejszego skutku, pokazałem całą zawartość teczek, obnażyłem przed nią tajny plan Gmachu i szkielet operacji dywersyjnej - z równym skutkiem mógłbym jej pokazywać stare gazety. Była to sekretarka absolutna: nie dostrzegła niczego, co wykraczało poza jej kompetencje. Na pół szalony, drżący, wyrzucałem z siebie rzeczy coraz straszliwsze - powiedziałem o błymym szpiegu z kasy, o moim uzurpatorstwie, które spowodowało samobójczą śmierć staruszka i kapitana, a gdy najokropniejsze czyny nie wywierały wrażenia, jałem klamać, oskarżając się o zdradę główną, byle tylko mnie wpuściła; gotowy na skandaliczne aresztowanie, na ostateczną hańbę, prowokowałem ją krzykiem, ona zaś z obojętnością głazu przełączała wciąż telefony, chwilami tylko łokciem ręki trzymającej słuchawkę albo kosmykiem włosów opuszczonej nisko głowy odganiała moje słowa jak uprzykrzone owady. Nie wskórałem nic - i zły potem, wyżęty z ostatka sił, opadłem na puste krzesło w kącie. Nie wiem nawet, czy to zauważyła. Jakkolwiek bądź, postanowiłem nie ruszać się z tego miejsca - sędzia śledczy, oskarżyciel czy ktokolwiek inny, kryjący się za obitymi skórą drzwiami, musiał przecież, prędzej czy później, wyjść. Zamierzyłem, że go wówczas dopadnę, a na razie usiłowałem skrócić sobie czas oczekiwania, wertując przyniesioną książkę i papiery. Naprawdę nie wiem, co zawierały - w takim stanie upadku i kompletnego pomieszczenia znajdował się mój umysł. Manuskrypt zawierał szereg rozkazów dziennych w sprawie widzenia aniołów, podręcznik astronomii zaś dzielił się na liczne, trudno zrozumiałe paragrafy - było tam bodajże coś o kamuflowaniu galaktyk czy też ukrywaniu ich wewnątrz ciemnych mgławic, o wyprowadzeniu gwiazd ze składu konstelacji, o podstawianiu i drażnieniu planet, o dywersji kosmicznej - wszelako z treści tych ustępów nie pamiętam ani słowa, chociaż kartkowałem je zapamiętałe, czytając, nie pojmując niczego i po dziesięci razach wracając do początku. To, że przestałem się w tym pokoju tak zupełnie liczyć, osaczało mnie z upływem godzin coraz okrutniejszym koszmarem, gorszym chyba od kaźni, jakie poprzednio malowała moja wyobraźnia. Z wyschłym gardłem, zgarbiony, wyczerpany, wstawałem wielokrotnie i słabym, chrypliwym głosem, jakając się z lekka, prosiłem sekretarkę o informacje - czy może podać mi godziny urzędowania swego szefa albo czas, w którym udaje się na obiad, na koniec - to była już zupełna rejterada - gdzie urzęduje inny jakiś organ śledczy lub prokuratorski czy inni wreszcie przedstawiciele prawa; ona wszakże, zajęta telefonami, przerzucaniem wtyczek, notowaniem cyfr i stawianiem ptaszków na marginesach arkuszy, powtarzała mi zawsze jedno i to samo - ażebym zwrócił się do Informacji. Pytałem z kolei o siedzibę owej Informacji - podała mi numer jej pokoju, 1593, na ulamek sekundy zakrywając ręką mikrofon, do którego właśnie mówiła. Zebrałem wszystkie swoje papiery, teczkę, książkę i wyszedłem jak nieprzytomny, usiłując po drodze choć w malej części odzyskać równowagę i pewność, jakie żywiłem z rana, ale o tym nie było nawet co myśleć. Rzut oka na zegarek (wskazywał on czas względny, nie uregulowałem go bowiem dotąd według innego, a także, nawiasem mówiąc, żadnego kalendarza jeszcze nie spotkałem w Gmachu i straciłem całkiem rachubę dni) wskazał mi, że w sekretariacie spędziłem bez mała cztery godziny. Ostatni pokój w korytarzu drugiego piętra nosił numer 1591. Szukałem wskazanego przez sekretarkę na następnym piętrze, ale tam numeracja zaczynała się od dwójki. Wchodziłem do rozmaitych pokoiów z tabliczkami „Tajne”, „Nadtajne” i „Ścisłe tajne - Dowództwo”, usiłowałem potem odnaleźć drzwi, które zawiadły mnie na samym początku do głównodowodzącego, lecz widać zmieniono tabliczki albo numery, bo nie było po nich ani śladu. Papiery rozmiękły mi wstrętnie w spoconych dloniach, osłabiony głodem - nie jadłem nic od dnia poprzedniego - wałęsałem się po korytarzach, czując, jak kluje mnie wysypujący się zarost, na koniec jałem pytać o feralny pokój nawet windziarzy. Ten, który miał aparat podsłuchowy w protezie, powiedział mi, że jest to pokój „nie na liście” i trzeba się doń pierwszej zgłosić telefonicznie. Po dalszych czterech godzinach (dwa razy udało mi się przez ten czas skorzystać z telefonu w pustych chwilowo pokojach, ale numery Informacji były zajęte) ruch na korytarzach zmógł się wydatnie. Urzędujący zjeżdżali tłumnie do kantyny. Udałem się tam z nimi, nie tyle nawet za popędem głodu, ile wciągnięty bezwolnie w tłum przy jedne z wind. Posilek - kluski z makiem, rozgotowane i polane roztopionym masłem, czego nie znoszę - spożyłem pospiesznie, nie wiedząc nawet, czy to obiad, czy kolacja. Kluski, choć ohydne, były w każdym razie odroczeniem łazęgi, która mnie czekała. Od dawna parło mię, by pójść do Ermsa, ale odkładałem to ciągle, bo gdyby zawiódł, nie zostawało już nic. Wychodząc z kantyny, z tłustymi wargami i chłodnym potem skrapiającym obficie czoło po nagłym napaleniu żołądka, myślałem o tym, że nie chciało przyjąć moich wyznań, samooskarżeń nawet; nie zdziwiło mię to wcale. Nic mnie już nie dziwiło. Zrobiłem się senny i było mi jakoś wszystko jedno. Pojechałem na górę, prosto do mojej łazienki, sprawdziłem, że jest pusta, pościeliłem sobie obok wanny, pod głowę położyłem świeży ręcznik i spróbowałem zasnąć. Natychmiast zjawił się lek. Nie bałem się niczego konkretnego, ale po prostu bałem się, i to tak bardzo, że znów zacząłem się pocić. Kamienna podłoga ziębiła całe ciało, przewracałem się z boku na bok, nareszcie wstałem, obolały, usiadłem na brzegu wanny i próbowałem myśleć o wszystkim, co się stało i co jeszcze mnie czeka. Teczka, książka i postrzępiony manuskrypt rozkazu w sprawie aniołów leżały tuż przy mojej nodze. Mogłem to kopnąć. Nie zrobiłem tego. Namyślałem się tylko - a im intensywniej to robiłem, tym wyrazista stawała się pustka mego myślenia. Wstawałem, chodziłem trochę po łazience, puszczałem z kurków wodę, zakręcałem je i badałem, kiedy pokręcanie wywołuje wycie rur; robiłem miny do lustra i nawet trochę przy tym plakałem. Potem znowu siadłem na wannie i, oparłszy głowę na rękach, siedziałem tak jakiś czas. Sennosc przeszła. Być może, wciąż jeszcze poddawano mnie próbie. Omyłka w odczytaniu numeru mogła być zamierzona. Niechlujny janitor prawie że prosto zaprowadził mnie do Działu Tortur. Jego zachwyty, uniesienia, podskoki z kapką u nosa wydawały mi się coraz oczywistej sztuczką, wysłone, zagrane. Dlaczego podkreślił anachroniczność nauk fizycznych? Tak sobie? Ba! Tortura oczekiwania - czy nie wspominał o takiej? Być może sżo o to, abym skruszał należycie, wymacerował się, w ten sposób miała zostać zbadana moja odporność, niezbędna w Misji, trudnej, nadzwyczaj trudnej, to powtarzał przecież po kolei wszyscy - byłbyhym więc nadal wybranym i przeznaczonym? W takim razie nie miałem się czym martwić - najlepszą taktyką była służbista obojętność, pewien umiarkowany stopień bierności. Sekretarka umyślnie odparowała mnie z niczym, umyślnie też zajęte były numery Informacji. Przewiny moje były w rzeczywistości egzaminami - jednym słowem, wszystko było w porządku. Tak pokrępiwszy się na duchu, umyłem twarz i wyszedłem, aby udać się wreszcie do Ermsa. Kilkadziesiąt kroków przed Wydziałem Instrukcyjnym natrafiłem na sprzątaczy. Pucowali podłogę. Było ich jakoś bardzo dużo. Wszyscy na czworakach, mieli świeżo wyfasowane jesionki, kieszenie nadzwyczaj wypchane. Nie bardzo jakoś pucowali, lypali raczej spode łba, z ukosa, bo na czworakach niewygodnie. Ktoś zakaszał - wstali, podobni do siebie jak bracia, przysadzisci, pleczyści, z kapelusami wciśniętymi na czoło. Przystanąłem, zdziwiony; tręcali się, mówiąc półgębkiem: - Kolego Merdas, chawa... chawa, kolego Brandzl, kolego Szlips, chawa...

Pojawiło się kilkunastu oficerów w gali, przy szablach. Wylegitymowali cywilnych, cywilni sprawdzili oficerów, mnie jakoś w zamieszaniu pominęto. - Aha - pomyślałem - obstawa... - Sterczałem koło windy, nie tyle z ciekawości, co dlatego, że nie spieszyło mi się specjalnie do Ermsa. Naraz rozległa się pobudka, winda przybiła do piętra, zrobił się tłok, bieganina, ale wszystko na baczność, szable dzwoniły na rapciach, obstawa wsadziła ręce głęboko do kieszeni, repetowali, wszystkie ronda kapeluszy poszły w dół, głowy w górę, oświetlona kabina otworzyła się, dwaj adiutanci w srebrnych sznurach dopadli klamki.

Od ust do ust przeleciała wieść: - Admiradier! Ad-miradier - już! - Zrobił się oficerski szpaler, domyśliłem się, że przybył jakiś dostojnik, i serce zaczęło mi walić w podnieceniu. Z windy, specjalnej jakiejś, windy-salon-ki, obitej czerwonym adamaszkiem, obwieszonej mapami i herbami, wysiadł mały staruszek w kapiącym od złota mundurze, powłócząc odrobinę lewą nogą. Obrzucił bystrym spojrzeniem wyprężonych oficerów i, siwy, suchy, nakrapiany, krzyknął bez wyteżenia, samą długolętną wprawą, jakby od niechcenia biczem strzelił:

- Czołem, chłopcy!

- Czom-Pa-Dierze!!! - zagrzmiał cały umundurowany korytarz. Starzec skrzywił się, jakby ułowił fałszywą nutę, ale nic nie powiedział, zadzwonił tylko dukatowym płaszczem orderów, który spowijał mu pierś, i ruszył wzdłuż szeregu. Sam nie wiem, jak to się stało, dość, że tkwiłem w nim, jedyny cywil pośród szarż. Może, uderzony szarą plamą mego ubrania, przystanął zniecacka.

- Teraz! - błysło mi. - Przypaść mu do nóg, wyznać, prosić!

Stałem jednak, z oddaniem, jak jeszcze nigdy. Spojrzał marsowo, zastanowił się, dźwięknął i z nagle rzucił:

- Cywilny?

- Tak jest, cywilny, pa...

- Służysz?

- Tak je...

- Żona, dzieci?

- Meld...

- Nna! - rzekł z dobrocią. Namyslał się siwo, krzaczasto, poruszając pulchną brodawką międzywąsia. Rzeczywiście był nakrapiany, widziałem z bliska.

- Tajniak - chrypnął z cicha. - Tajniak... widać. Z miejsca widać. Bywały... otrząskany tajniak... Do mnie!

Przyzwał mnie palcem śnieżyście urękawiczonej dłoni, która spoczywała na armiraklachs portupei, zaplątana w jej sznury i gwiazdy. Z sercem w gardle wystąpiłem przed szereg. Obstawa zaszurała w głębi, lecz najbarczystszy ze sprzątaczy zakaszał na odrąbiono. Ruszyłem za starcem w elektryzujących jak laskotki szeptach święty, czekając tylko chwili, żeby przypaść. Maszerowaliśmy korytarzem. U białych drzwi sprężali się oficerowie, tak jak którego razilo nasze zbliżanie, i głowy nadrywali, oddając cześć. Przed Wydziałem Nadawania i Odbierania Odnaczeń oczekiwał nas jego szef, wiekowy pułkownik przy szpadzie. Minęliśmy kolejno Sale Dyplomacji, Ekshumacji, Laktancji, Tolerancji i Rehabilitacji, aż u dwojga ostatnich drzwi, wiodących do sal Degradancji i Dekorancji, admirał dźwięknął i zatrzymał się. Stałem z boku. Jak fryga przyskoczył szef Wydziału.

- Nna? - dopuścił go admirał do poufnego szeptu. - Jaka uroczystość?

- Kontruroczystość, panie ad...

Jał wyszeptywać w woskowe ucho dostojnika porządek ceremonii; dolatywało mnie jakieś „pięciu - rwać - amać - czkować”.

- Nna! - cisnął przed siebie dostojnik. Wolnym krokiem zbliżył się do drzwi Sali Degradancji i znieuchomił u progu.

- Tajniak! Do mnie!

Podskoczyłem. Nie ruszał się z miejsca. Posągowy - posępniał; poprawił białym palcem order, czako wcisnął i wszedł ostro, bezwzględnie do środka. Ja za nim.

Była to sala iście tronowa, ale i żałobna zarazem - ściany okrywał kunsztownie sfaldowany kir, na czarnych sznurach zwisały z wysoka lustra najcięższego kalibru - ciężkie owale weneckiego szkła, półsłpe, ponure zwierciadła z rozproszanej ołowiem rtęci, spijającej całe światło otoczenia; po kątach - rozstawione, do lustrzanych katafalków podobne, oprawne w heban tafle zimnego szklawa, pomiędzy nimi - jak oczy w obłądnym strachu - ziały dyski srebrzonego brązu. Wę wkleśłych wszystko rozdy-mało się, grożąc pęknięciem, w wypukłych cała sala malala, ściągnięta w szwach perspektywy. Między tymi martwymi świadkami nastąpić mającej kontruroczystości stało, na wspaniałym, w węże i judasze kobiercu, pięciu oficerów na baczność, z akselbantami, galonami i szlifami, przy szablach, w odświętnej gali. Śmiertelnie bladzi, zamarli na widok admirała, tylko orderowe gwiazdy iskrzyły im się na piersiach i kołysały się u barków srebrne sznury i kutasy.

Wspaniałość ich postawy zdawała się kłam zadawać temu, co usłyszałem przed chwilą, lecz zaraz pojąłem swój błąd. Admirał przeszedł przed szeregiem w jedną stronę, w drugą, aż, przy skrajnym, charknął:

- Hańba?!

Urwał, jakby niezadowolony, i dał mi znak wygaszenia górnych światel. Centrum sali osaczył półmrok, z którego wylaniały się widmowo ku środkowi pochylone lustra. Cofnął się poza granicę światła, lecz tak było całkiem źle. Wrócił i gdy rozsrebrzyło mu siwiznę, wciągnął łapczywie powietrze.

- Hańba!!! - cisnął im w twarz i jeszcze raz: - Hańba!!! - po czym znowu się zatrzymał, niepewny, czy liczyć się ma pierwszy, w pewnym sensie próbny okrzyk, a tym samym, czy został już wyrzucony trzykrotnie, lecz już zagrała mu siwizna srebrną aureolą, ordery ponagliły dźwiękiem, więc: - Plama!! - zagrmiał: - Munduru!! Łaydaki!! Błoto!! Stoczyliście się!! Zdraycy!!

Rozgrzewał się, a hamował jeszcze gniew. - Wara!! - zaniósł się starczo, czcigodnie. - Górze! W imieniu! Niniejszym! - i: - Degraduję!!!

Myślałem, gdy strzelił tym ostatnim strasznym słowem, że to już koniec, ale dopiero zaczął. Przypadł milczkiem do pierwszego, wspiął się i capnął obsypaną brylantami gwiazdę, dekorującą* pierś. Pociągnął zrazu słabo, jakby gruszkę dojrzałą chciał zerwać, a może żal mu się zrobiło, że tak wysokiego odnaczenia defamacja, lecz już trachła i została mu w ręce, brzydko trachła, nie było odwrotu, więc bez pamięci jał zrywać, jak na pobojuwisku, jak z trupa, szlify, sznury, kutasy, co się dało, do drugiego skoczył, by *zdzierać*, a szwy, widać uprzednio już nadwątlone umiętnie *przez* znających fach krawców, puszczały nadzwyczaj łatwo i hulaśliwie; ciskał odznaki odwołanych zasług brylantowymi błyskawicami na kobierce, deptał precjoza, tłamsił, a oni, chwiejąc się nieznacznie od upiornego orderobrania, bladzi śmiertelnie, podawali pierś, w widmowych lustrach ukazywały się wielokrotne powtórzenia szlachetnej, gniewem prawowitym rozjarzonej siwizny, czasem ze szklatego mroku wypływało wzgardą tryskające oko, wielkie jak galka głębinowej ryby, lustra podawały sobie i mnożyły fragmenty z mięsem sukna wyrwanych epoletów i naszywek, a w najwiękzych, skrajnych, w nieskończoność zmierzała aleja hańby - spracowany starzec dyszał jakiś czas, aż, wsparłszy się na mym ramieniu, jał policzkować. Potem szablę, kolejno dobywane z pochw, złamać miałem na kolanie, a czyniąc to, jako cywil, pogłębiłem jeszcze ich upadek. Były nadzwyczaj twarde i spocilem się jak mysz. Gdy i to się stało, opuściliśmy pociemniałą Salę Degradancji i przez Salę Odnaczeń, także pełną luster, dotarliśmy do obitych skórą jelonka rzeźbionych drzwi, które na oścież rozepchnął przed nami adiutant.

Wszedłem za admirałem i zostaliśmy sami w olbrzymim gabinecie.

Pośrodku stało iście forteczne biurko z kolumnkami, za nim, dogodnie odsunięty, głęboki fotel, na ścianach ze złotych ram walczo i mądrze patrzyły oczy admirała, przyodżanego w mundur pełne przepychu, a w kącie stał jego konny, marmurowy posąg. On sam zdjął czako, odpiął szablę, podał mi, nie *patrzac*, jedno i drugie, a kiedy rozglądałem się, gdzie złożyć złotem inkrustowane ciężary, rozpiął haftkę kołnierza, pas delikatnie odpuścił, podlubał przy guziku pod szyją, wydając przy każdej z tych czynności słaby ogłos ulgi, na koniec, rozejrzawszy się z niepewnym uśmiechem, odpiął guzik spodni. Dopuszczony tak do konfidencji, zawałęm się, czy odpowiedzieć uśmiechem, ale byłoby to jednak zuchwalstwo. Starzec osunął się z nadzwyczajną ostrożnością w głąb fotela i czas jakiś oddychał pracowicie. Pomyślałem, że dobrze byłoby zdjąć mu orderów złoty łań, co w nich jasne płomię łśni, albowiem dźwigał nazbyt wielki trud, ale to było, rozumie się, niemożliwe. Ogromnie postarzały od chwili, kiedy pozbawił się broni i nakrycia głowy, zaszeptał:

- Tajniak... he, he... tajniak... - jak gdyby rozweselony myślą o mojej rzekomej profesji, a może, przy całej swej potędze, był już odrobinę zdziecinniały? Wołałem jednak przypuszczać, że, skazany na żywot w mundurze pośród

I innych mundurów, żywi ukrywaną starannie sympatię dla

cywilności, mającej dlań posmak zakazanego owocu. Gotów byłem rzucić mu się do kolan i wypowiedzieć wszystko, co mnie spotkało, gdy znowu się odezwał:

- Tajniak... ehe, ehe... - tajniak?...

Inaczej mi to zabrzmiało - jak gdyby usiłował załagodzić to słowo: „hm, tajniak” - pochrząkiwał unieszkodliwiające, poklaskiwał z lekka językiem, strzelał z cicha stawami, niby tak sobie, ale krył się w tym wewnętrzny dreszcz. Uspokajał siebie kaszelkiem, lecz oczy na dobre mu się rozbiegały, czyżby mi nie ufał?... Zauważyłem, że i na nogi patrzy mi już podejrzliwie.

Dlaczego na nogi? Czy miało to coś wspólnego z zamierzonym padnięciem na kolana?

- Tajniak! - chrząknął. Przyskoczyłem. Podniósł ręce:

- Nie! Nie! Nie za blisko, za blisko niedobrze, nie trzeba... Śpiewaj, tajniak! Śpiewaj! Śpiewaj, co myślisz!!! - krzyknął nagle. Pojąłem: pamiętny wszechobecności zdrady, doświadczony starzec nakazywał mi w głos nucić moje myśli, aby nic nie mogło się przed nim ukryć.

- Jakaż niezwykła metoda! - podjąłem, bo to pierwsze wpadło mi na język, a dalej już poszło. Wskazał oczami boczną szufladę biurka, wysunąłem ją ze śpiewem na ustach, pełna była słoiczków i buteleczek, z wnętrza buchnął oszalamiający zapach staroświeckiej apteki. Starzec oddychał nieco ciszej, a ja nuciłem dziarsko, krzątając się, jego oczy ostrożnie, trwożliwie nawet odprowadzały jedną po drugiej buteleczki, które stawiałem, jak podszeptając mi domysł, tuż przed nim. Kazał wyrównać ich szereg liniałem i prostując się na fotelu - słyszałem potrzaskiwanie wyschłych jego kości - podwinąwszy rękaw munduru, delikatnie, jak tylko mógł, ściągnął rękawiczkę. Gdy spod zamszu wylonił się wyschły, płamiasty grzbiet dłoni, z żyłkami, groszkami i bożą jakąś krówką, odwołał nagle śpiew i wycedził szeptem, abym podał mu nasamprzód pigułkę ze złocistego słoiczka. Przełknął ją z widocznym trudem, długo obracając wprzód na zniedołężniałym języku, po czym kazał przynieść karafkę z wodą i odmierzyć do niej inne lekarstwo.

- Mocne jest, tajniak... - szepnął konfidencko. - Uważaj! Nie przelej! Nie przelejesz, co?!

- Na pewno nie, panie admirałdierze!!! - wybuchnąłem, poruszony takim zaufaniem. Starcza dłoń, płamista, w brodawkach, zatrzęsła mu się mocniej, gdy z fioletowej buteleczki o dotartym korku jąłem, kroplę po kropli, opuszczać aromatyczne lekarstwo.

- Jeden... dwa... trzy... cztery... - liczył wraz ze mną; przy szesnastu - na dźwięk tej liczby drgnęły mi palce, a jednak nie uroniłem chwiejącej się już na szklanym dziobku następnej kropli - skrzeknął: - Dość!

Dlaczego przy szesnastu? Strwożyłem się. On też. Podałem mu szklankę.

- Hę, hę... godziwy... godziwy tajniak... - rzucił nerwowo - ty, ty... hę, hę... no, tego... tego... spróbuj... spróbuj najpierw...

Upilem nieco lekarstwa; dopiero odczekawszy, z chronometrem w drżącej dłoni, dziesięć minut, sam je z kolei przyjął. Nie szło mu to jakoś - zęby dzwoniły o szkło, przyniosłem drugą szklankę, do której wpuścił je, jak białą, na dwoje rozłamaną bransoletę, po czym, z trudem i poświęceniem, wychylił zbawczy płyn. Przytrzymałem mu pomocnie rękę - kostki chodziły w niej jak zesypaane luźno do skórzanego woreczka. Drżałem, żeby mi tylko nie zasłabł.

- Panie admirałdierze... - zaszeptalem - czy pozwoli pan, że przedstawię mu moją sprawę?

Zasłonił powiekami przymglone źrenice i, nieruchomy za wielkim biurkiem, mała nadzwyczaj powoli, zesuwał się po trochu w siebie. Tak, w milczeniu, słuchał mych gorączkowych słów - tymczasem jego ręka, nie biorąc jakby w tym udziału, podpełzła do szyi, odpięła z wysiłkiem kołnierzyk, potem nadstawił ją, domyśliłem się, że mam z niej ściągnąć rękawiczkę. Obnażoną, chrupką, złożył na drugiej ręce, tej z bożą krówką, zakaszał cichutko, nadzwyczaj delikatnie, z bliskiem niepokoju w oczach łowił to, co rzeziło mu w piersi, a ja nie przestawałem mówić, rozwijając przed nim poplątany korowód mej udręki; jego słabości, spowodowanej podeszłym wiekiem, nieobca była na pewno życzliwość dla wszelkiej innej słabości, a przynajmniej dogłębne jej zrozumienie; z jaką troskliwością dbał o biedny swój oddech, który wciąż zdawał się go zawodzić... Twarz jego, pokryta wątrobianymi zaciekami, plamami, zdobniała wobec woskowo rozchylonych uszu, kojarzących się w niewybrednym umyśle z pokracznym jakimś lotem, właśnie swoim steraniem, cierpiętniczym urządzeniem budziła mój respekt, nawet litość, pokrewną synowskiej, bo miał i narośle - jedna zwłaszcza na łysinie, ledwo omglona siwym puchem, była jak duże jajo. Ale to były przecież blizny i szramy, odniesione w walce z nieubлагanym czasem, który zarazem nadał mu najwyższe z możliwych godności.

Pragnąc uczynić spowiedź moją aktem dalekim od wszelkiej służalczości, przysiadłem się z boku do biurka i opowiadałem dzieje mych pomyłek, gaf i klęsk tak szczerze, jak jeszcze nikomu. Potakiwał mi miarowo samym oddechem, jego kojącą regularnością, brał w obronę porozumiewawczym opuszczeniem powiek, nikłym uśmiechem, który przełotnie nawiedzał jego nie domknięte w zasluchaniu wargi. Kończyłem już, pochylony do przodu, wsparty o biurko, ale i tego wykroczenia przeciw regulaminowi nie miał mi widać za złe - pelen najlepszych nadziei, choć przejęty zarazem do głębi własnymi słowami, zamykając długą, końcową frazę, rzekłem głosem, w którym drgała namiętna prośba:

- Czy pomoże mi pan? Co mam robić, panie ad-mirałdierze?

Po dłuższej chwili, której użyzyłem mu, aby tym lepiej mógł zgłębić w milczeniu powiedziane, powtórzyłem ciszej a dobitniej:

- Co mam robić?

Urwalem, a on dalej kiwał głową, jakby wciąż i wciąż bardziej mnie ośmielał. Twarzy jego, pochylonej w bok (czyżby przetrwał cały wstyd odpowiedzialności za wsze-tęczęństwa Gmachu, które firmować musiał swym imieniem?), nie widziałem, tylko miarowe migotanie maleńkich binokli, sporządzonych ze złotego drutu, nader cienkiego, aby nie obciążały jego tak bardzo zmęczonej, a tak jeszcze potrzebnej starości.

Tając dech, jeszcze bardziej przysunąłem się do niego - i struchlałem. Spał. Spał przez cały czas, zdrzemnął się posilnie, widać dobrze mu zrobiło odmierzone przeze mnie lekarstwo, i pykał, jakby mu w gardle chodziła jakaś klapka. Zamilknięciem pogłębiłem jego sen, bo ścichapek świsnął, urwał, jakby wylekły, ale zaraz wrócił do wzmożonego poświstywania, grania, i tak, dmuchając ostrożnie, lecz stanowczo, *coraz* skoczniej stroił sen, coraz śmielej z nim sobie poczynął, wśród stłumionych odgłosów kniei odzywały się echa dawnych polowań, dawnych rogów, chrapanie, bek, od czasu do czasu strzał padał, niesiony wiatrem, stłumiony, daleki, po którym wszystkim na jakiś czas zamierało - aż przerwał ciszę, aby otrąbić zwierza - ja tymczasem, wpół powstawszy, przechyliłem się przez biurko, chcąc spędzić zeń żuczka, bożą krówkę przysiadła na dłoni, która nieco mnie przedtem rozproszyła - ale to nie była krówka...

Przy okazji obejrzałem go sobie z bliska - ómawe sinionka, narostki bulwiaste, zatrząsienie brodawek pulchnych i bardziej oschłych, płaskich, parę miało nawet kogucie jakieś grzebiczki - włoski w uszach, inne, sroższe, w nosie, chwacki porost, tak sprzeczny ze starczą delikatnością, tak nachalny...

Już przedtem zauważyłem, w jakiej mierze mundur był dlań oparciem i jak, rozpiąwszy go niebacznie, nadwężył związki swej osoby. Z bliska było jeszcze gorzej... Nie przez przypadek domagał się odległości, dystansu! Tam - świsty niewinne, sapanie, klapka, a tu - peryferyjny rozrost bez pamięci, bez liku, milczkiem, cichcem, zalatujący krecią jakąś robotą. Miałaby to być obłęd skóry, jej rojenia o późnym renesansie? Samorodna twórczość nad wapnie-jącymi żyłami? Ejże! Toż to

był raczej bunt, rokosz, panika na prowincjach organizmu, próba wymknięcia się, pierzchanie, tajona zręcznie ucieczka we wszystkie strony - wszak skrycie bujały brodawki, wydłużały się narośle, paznokcie, pragnąc za wszelką cenę oddalić się jak najbardziej od steranej macierzy! Po co? Aby na własną rękę, w rozsypce, ująć nieublaganemu?

Ładna historia! Admiradier - i nie uzgodnione wybryki, zmierzające do tajnej kontynuacji, do rozmnożenia się w płaskich, ordynarnych kurzajkach!

Zastanowiłem się. Starzec - to było jasne - nie mógł mi pomóc. Sam nazbyt potrzebował pomocy. Jednakże> jeśli nie mógł wskazać mi wyjścia, dać znaku - być może rzeczy miały się inaczej? Może był posłaniem? Może to nim właśnie dawano mi znak?

Zdziwiłem się mocno i jeszcze raz, teraz na dobre już uniósłszy się z krzesła, dokładnie go przepatrzyłem.

Ani chybi - guzkami, kaszaczkami, dzikim mięskiem wychodził poza obręb przyzwoitości, obradzał pokątnie, brodawczał, powielał się, ubarwiał oryginalnymi plamkami, drobnostkowo kopyciał, owadział - mięsiste znamię pod okiem różowiło się oszukańczo, udając, że przebłyskuje w nim świt nowych sił... Skandal! Wstyd!

Awanturnicze i samozwańcze uroszczenia, całe to hochsztaplerstwo poszukiwania nowego wyrazu, nowych, nie znanych dotąd form, kończyło się wobec braku inwencji, przy kompletnej jałowości, sromotnym bulwieniem, kalafiorowatością, tu splagiował formę roślinną, coś z grzyba wziął, tam się u drobiu zapożyczył - po imieniu należałoby to nazwać kradzieżą.

Żeby tylko! To było zejście z posterunków, dezercja - zdrada!!! Dech zatykało wprost to bezrozumne napieranie się, maniacka uporczywość, karłowaty urodzaj, użyźniony śmiertelnym potem starca! Miałem przed sobą - o, hańbo! - bezwstydne naigrawanie się z czcigodności przyszłych zwłok, tak dobrze zasłużonych!

Czy mogłem jeszcze wątpić? To nie było napomknięcie ani *aluzja*, *lecz* zwiędła, odpychająca odpowiedź na moje tłumaczenia, na próbę wykręcenia się ze wszystkich sianem - wyrażona przy drwiącym akompaniamencie poświstywania i klapki...

Usiadłem - zdruzgotany. Bezprzedmiotowe było rozważanie, kto mówił: on - sobą, czy tamci - nim, bo to było jedno i to samo. Zwierzchnik przedstawiał Gmach, Gmach - zwierzchnika. Cóż to była za misterność, co za precyzja, która nawet поближе grobu, jego zwiastuny - czyniła literą urzędowania, zgłoską prawa!

Nie stać mię jednak było na podziw, tym bardziej że, wbrew pierwszemu wrażeniu, pojąłem, przychodząc do siebie, jak daleko jeszcze znajduję się od końcowego rozstrzygnięcia. Owszem, dano mi do zrozumienia, że zna się moje grzeszki, wykręty, samozwańcze uzurpacje, a nawet myśli o zdradzie, *lecz* admiradier, śpiąc, wyraził to przymknięciem oczu, i zaszyfrowana w nim wiadomość była odroczeniem raczej aniżeli bezwzględny odtrąceniem - powiadała, iż czas mój jeszcze nie nadszedł.

Glupiec - sądziłem, że albo przetnę ten węzeł gordyjski, albo się nim udławię, oczyszczony do białości śniegu lub skazany, jak gdyby moim przeznaczeniem mógł być tylko pomnik, wystawiony przed tym czy przed tamtym Gmachem... Gdybyż to lada chwila wpaść miały do gabinetu strażę, żeby mnie chwycić, wtrącić, zamknąć, określić - aż nazbyt dobrze wiedziałem, że nie przyjdą; zakucie w dyby - byłby to anachronizm... A oni znów wiedzieli, że nie zostanę u boku śpiącego starca, *lecz*, odczytawszy to, co głosił, jak pies z przetrąconą łapą ruszę na dalszą tułaczkę...

Gniew począł we mnie wzbierać. Wstałem. Zrazu wolno, potem *coraz* spieszej chodziłem po wspianym kobiercu. Admiradier, skurczony w głębi fotela, tak niepodobny do krępkich swych wizerunków, które potężnie patrzyły ze wszystkich naraz ścian, nic mi nie przeszkadzał. Oczami wędrowałem po otoczeniu, przeskakując złodziejsko z pysznych mebli na brokaty, portiery, landszafty - aż zeszył na biurko. Wciąż byłem letni. Żadnych zasług, a i przewiny nikłe, nieledwie cień jakiś, ach, zwrócić na siebie uwagę, wzbąć się wysoko lub okropnie spaść, zwyciężyć klęską, występkiem strasznym, nie do wiary...

Podszedłem z wolna do biurka. Było nad wyraz zam-czyste. Hebanowe czeluście musiały zawierać akta najse-kretniejsze, tajności najwyższe... Ukląknę przed szufladami, ująłem miedziany uchwyt i cicho pociągnąłem. Pełno pudełek, tekturowych i kartonowych, gumkami ściągniętych... pliki kartek... „trzy razy dnia połyżeczce”... podniosłem pancerną szkatułkę - zagrzechotała pigułkami. Druga szuflada - to samo. Z tej strony miał starzec leki. Czy nie położył przedtem na biurku czegoś, co zadźwięczało metalem? A jakże! Pęk kluczy. Już przymierzałem je do zamków, kłęcząc zanurzyłem głowę w mroku - tego chyba nie przewidzieli! Nie mogli mieć mnie za tak perfidnego, zdolnego po lajdarku przetrząsać schowki pod bokiem uspionego dowódcy! - Pograżam się - łyskało mi - ależ się pograżam, głęboko, z kretesem, gardłowo, już ja się z tego nie wymigam, nie wykręcę - dygocącymi dłońmi dobywałem z ciemności pudło za pudłem, sznurkami przewiązane pakiety, darłem opakowania, papier szeleścił zdradziecko. To nic, ale cóż za rozczarowanie! Znowu buteleczki, flaszeczki, słoiczki z kojącymi maściami, kropelki uspokajające, przewiązki, opaski, wkładki płafusowe, przepuklinowe, sterty opłatków, proszki kręciły w nosie, poduszeczki, szpilki, wata, metalowe puzdro pełne było kroplomierzy, zagadkowy błysk w najciemniejszym wnętrzu okazał się hegarem. Jak to - nie?! Nic więcej?! To nie mogło być prawdą! Kamuflaż! Kamuflaż!!! Rzuciłem się na następne szuflady jak tygrys węszący łup, opukiwałem listwy - a! zdrada! jedna poddała się!!! Z zamierającym sercem przyjąłem trzask tajnej sprężyny. W środku - w szufladce zamaskowanej - czapeczka żółdna, patyczek, nakrapiany kamyczek, listek zasuszony i - wreszcie! - opieczętowana paczuszka. Zaniepokoiło mnie, że paczuszka - nie paczka, ale rozerwałem papier. Wysypały się barwne naklejanki, jak z tabliczek czekolady. Co jeszcze? Co więcej? Nic...

Przyjrzałem im się, w kukki, między jednym a drugim świśnięciem starca. Zwierzęta: osioł, zebra, bawół, pawian, hiena i jakieś jajeczko. Cóż to - osioł? Że... ośle? Nie może być... No - a słoń? Niezgrabny, gruboskórny. Hiena? Hiena żeruje, padlina, trup, niedoszły trup, pustynia, starców zwłoki - możliweż to? A pawian? Pawian - małpa, małpa udaje, blażeńsko małpuje, naturalnie! A więc i tego... i tego oczekiwali? I wiedząc, że nie *zważając*, wędruję się - podłożyli. Ale jajko? Co oznaczało jajko?

Odwrociłem kartkę. Ach! Kukulki! Kukulcze jajo - podstęp, zdrada, fałsz! Więc co? Więc co? Rzucić się? Mord? Ale jak, przy buteleczkach, patyczkach, zadławić bezbronnego starca? I co z brodawkami? A zresztą...

- Pi pi... - pisnął spod nosa, zafukał, jęknął i poprawił trelem całkiem słowiczym, jakby ptaszynę w sobie miał, starczą, maleńką...

To był koniec. Po cichu, byle jak, powrzucałem wszystkie pudła i papiery do szuflad, otrzepałem kolana i, przestąpiwszy kaluże porozlewanych aromatycznie lekarstw, siadłem na krzesło, nie - żeby rozmyślać nad dalszymi krokami, ale po prostu w rozpacz, w nagłym odpływie sił.

Nie wiem, jak długo tak siedziałem - starzec w rozpiętym mundurze poruszał się kiedy niekiedy przez sen, ale to nie wyrwało mnie z odrętwienia. Wielokrotnie wstawiałem i szedłem do Ermsa, ale tylko w myśli - naprawdę nie ruszyłem się z miejsca. Przemknęło mi nawet, żeby tak dalej siedzieć, nic, tylko siedzieć - coś w końcu będą musieli ze mną począć - ale przypomniały mi się długie, koszarne godziny wysiadki w sekretariacie i zrozumiałem, że ani mnie dotkną.

Z pośpiechem, jakby się paliło, zebrałem papiery i poszedłem do Ermsa. Siedział przy biurku, robiąc notatki na aktach. Lewą ręką, nie patrząc, mieszał nieporęcznie herbatę. Podniósł na mnie błękitne oczy - było w nich coś niespożytego, rozbłyśły wesoło, gdy wargi jego kończyły jeszcze czytać z akt - zdawało się, że raduje go byle rzecz, zupełnie jak młodego psa... psa... pies - czyżby przez to, w ten sposób? - ale przerwał moją myśl, wołając:

- Pan?! Dopiero teraz?! No, myślałem już, że pan zginął! Tak przepaść! Gdzie się pan podziewał?!

- Byłem u admirałdiera - mruknąłem, siadając naprzeciw niego. Nie zamierzałem nic przez to powiedzieć, ale widać pojął mnie - opacznie, bo przekrzywił głowę z odcieniem żartobliwego szacunku.

- Proszę - rzekł z zadowoleniem - no, proszę. A więc nie zmarnował pan czasu. Mogłem się tego spodziewać.

- Nie, nie, majorze! - krzyknąłem prawie, unosząc się z krzesła. - Niech pan da temu spokój!

- Czemu? - wtrącił zdziwiony, ale nie dałem mu dojść do słowa. Otworzyły się we mnie wezbrane upusty, mówiłem szybko, trochę niewyraźnie, bez żadnych przerw, o pierwszych moich krokach w Gmachu, o głównodowodzącym i jego kabelku, o podejrzeniach, które już wtedy leżały się we mnie, choć o tym nie wiedziałem, i noszone jak *zarazki* zatrwały następne moje poczynania, jak wypias-towałem to w sobie, uczyniłem swoim przeznaczeniem i jak już gotowy byłem przyjąć koszmarną postać, tyleż wydetą lękiem, co narzuconą okolicznościami, niewinnie oskarżonego, skazańca bez zmy, ale i tego mi odmówiono, pozostawiając mnie samemu sobie - wciąż i wciąż sobie! - oczywiście, pozornie tylko - i jak od drzwi do drzwi, od drzwi do drzwi lałem z całym tym, nikomu niepotrzebnym bezsensu... Mówiłem już tak długo, tak wiele, że powinno to być coś dać, lecz nie dawało nic... Ja - powtarzałem - sobą, sobie, mnie, kołowałem, czując płaskość podkreśleń, czegoś temu brakowało, nazbyt już nie kleiło się wszystko, aż w ośnieniu, które użyzione zostało bodaj wprawdzie językowi, aniżeli myślowi, pozostającym wyraźnie w tyle, wdałem się w ogólny rozbiór sprawy: że skoro mam się na cośkolwiek przydać, na cośkolwiek, powtarzam, nie żywiąc najmniejszych nadziei ani uroszczeń, to nie należy do tego stopnia marnować mnie; cóż w końcu przyjdzie Gmachowi z tego, że się rozlece, rozplynie jak kałuża, jaka będzie z tego korzyść? - żadna! - więc po co to wszystko, czy nie nadszedł doprawdy czas, aby wręczyć mi, to jest zwrócić instrukcję, przedstawić całokształt Misji, jakkolwiek ona jest, ja, ze swej strony, zapewniam: będę się starał lojalnie, usilnie, ponad siły, ręką...

Niestety, przemówienie to, chaotyczne w początkach, nie stało się lepsze pod koniec i, zadyszany, roztrzęsiony, umilkłem nieoczekiwanie, w środku zdania, pod skonfundowanymi, błękitnymi oczami Ermsa, który wolno je opuścił, zamieszał herbatę, pobawił się - zbyt długo - łyżeczką, nie wiedział, co z nią począć - ależ on wstydził się, po prostu wstydził się za mnie!

- Doprawdy, nie wiem - zaczął miękko, serdecznie, choć w następnych słowach dały się wyczuć nutki powściągniętej surowości - nie wiem, co z panem począć. Tak się... tak się obciążać... takie wybryki jakieś... przetrząsanie lekarstw... wprost mi głupio... ależ to nonsens jest! Absurd!!! Pan uroił sobie Bóg wie co! - zapalał się, a już *przez* tę zapalczywość prześwitywał nieodparty jego, pogodny nastrój.

Ja jednak, postanowiwszy twardo, że więcej nie dam się omamić, szybko wyrzuciłem:

- A instrukcja? Czemu mi pan jej nie objaśnił?! Prandtł w ogóle nie chciał o niej ze mną mówić! Zresztą... zresztą wykradł mi ją i...

- Co pan tu opowiada?!

- Nie mówię, że on sam - taki gruby oficer u niego - nie mógł o tym nie wiedzieć, jestem przekonany!

- Przekonany! Dobry sobie! A dowód?! Dowody pan ma?!

- Nie mam - przyznałem, ale natychmiast wróciłem do ataku: - Więc proszę, jeśli pan jest szczerzy i dobrze mi życzy - tak! - proszę powiedzieć mi natychmiast, co w niej było, ja ani słowa nie znam, nie wiem, co w niej było... ani jednego słowa!!

I patrzyłem mu z bliska w oczy, żeby nie mógł ich opuścić ani odwieść na bok, a on patrzył na mnie, patrzył, wargi odęły mu się, zadrgały niebezpiecznie, aż wybuchnął głośnym śmiechem.

- To o to chodzi?! - zawołał. - Kochany! Instrukcja... Ależ ja nie pamiętam! Co będę panu oczy mydlił... Ja nie pamiętam po prostu, całkiem zwyczajnie - tyle ich mam, proszę spojrzeć! - i, jakby bawiąc się, jał podnosić grube pokłady spiętych arkuszy z biurka, trzepał nimi w powietrzu, miętosił w garściach, nie przestając mówić:

- Czy byłby pan w stanie to zapamiętać? Wszystko? No, niechże pan sam powie... no... proszę...

- Nie! - powiedziałem cicho, lecz mocno. - Nie wierzę panu! Więc pan twierdzi, że nie pamięta nic? Ani jednego słowa? Ani zarysu ogólnego? Niczego? Więc... ja... panu... nie wierzę!!

Cisnąwszy mu to w oczy, zamilkłem, przerażony, bez tchu, bo to był ostatni człowiek, na którego ciągle jeszcze, nie wiem już sam dlaczego ani jak, do ostatka liczyłem. Gdyby, pod naciskiem, przyznał mi się, że działa z wyższego rozkazu, że jest nie sobą, Ermsem, jasnowłosym chłopcem o dobrych oczach, lecz miejscem Gmachu - wtedy tak, wtedy pozostawała mi już tylko górna łazienka... Erms nie odzywał się dłuższą chwilę. Potarł ręką czoło, podrapał się za uchem, westchnął.

- Pan zgubił instrukcję - rzekł wreszcie - no, tak. To, owszem, to jest coś. Z tego będzie dyscyplinarka. Choćbym nie chciał, muszę wdrożyć postępowanie. Ale to nie takiego, o ile - zerknął na mnie bystro - nie opuszczał pan Gmachu. Nie opuszczał pan, co?

- Nie.

- Chwała Bogu! - odetchnął. - W takim razie będzie to raczej formalność. Załatwimy to później. Co do pańskich ostatnich słów, to - ja nie słyszałem ich, wie pan. Byłoby bardzo niedobrze, gdyby każde podenerwowanie cennego pracownika miało... mogło mnie dotknąć. To by świadczyło jak najgorzej - po prostu, że nie nadaję się na to miejsce! - stuknął garścią w biurko. - Pan nie wierzy w moją serdeczność. No bo, niby - dlaczego miałbym pana lubić? Za co? Nie znamy się prawie i w ogóle - rozłożył ręce - ale to nie tak. Proszę tylko zważać na to, co powiem: jestem nie tylko urzędnikiem, wertykującym te nieszczęsne papiery, biurokratą zakazanym - wyrznął w nie pięścią, aż zafalowały z szelestem - ale, i to przede wszystkim, końcową stacją, jestem portem, z którego wychodzą nasi najlepsi ludzie - tam. No, a nie będę mówił panu, wyróżnionemu Misją Specjalną, co tam czeka... Więc, choć ja pana naturalnie nie znam, chociażżeśmy się prywatnie nie stykali, to jednak wiem, wierzę, w oparciu o to wyróżnienie (Misja nie jest przecie dla byle kogo), że pan zasługuje na szacunek, zaufanie, na serdeczność, tym bardziej że nie dla osobistych względów będzie pan

tego przez niewiadomy czas pozbawiony, co tam - narażony na srogie niebezpieczeństwa... Toż ja bym ostatnią kanalią był, gdybym w takiej sytuacji nie starał się, wedle sił, pomóc panu, nie tylko w zakresie urzędowych, służbowych obowiązków, ale w każdym względzie i w każdej sprawie! Że nie pamiętam treści tej instrukcji? Pan się o to gniewa. Może i słusznie. Ja rzeczywiście (niezależnie od masy spraw, które mam na głowie) marną posiadam pamięć. Ale przełożeni nie mają mi tego chyba za złe - bo w naszym zawodzie nie jest dobrze pamiętać zbyt wiele. Ot, dajmy na to, wyjdzie pan z Misją, a ja, najzupełniej niechcący, przez sen, przez roztargnienie, przez pomyłkę, wypaplam jakiś szczegół, pozornie drobny, który może doprowadzić, przekazany tam kanałami, do pańskiej zguby. Do zguby, rozumie pan?! Więc czy nie lepiej, żebym, zamiast pilnować się nieustannie (co i tak robię), naprawdę, od razu i gruntownie wszystko zapominał?! Przecież - pan wybaczy chyba - nie każdy w końcu gubi tak ważną, tak zasadniczą rzecz jak instrukcja, i trudno wymagać, żebym był na to specjalnie przygotowany... Tak więc proszę nie mieć do mnie żalu. Postępowanie wdrożymy, to swoją drogą, a pan musi się przede wszystkim wyżyć nieuzasadnionych podejrzeń...

- Dobrze - powiedziałem - rozumiem pana. Przynajmniej staram się rozumieć. Ale co z instrukcją? Muszą przecież być gdzieś oryginały!

- Naturalnie! - odparł, odrzucając charakterystycznym ruchem jasne kosmyki z czoła. - Naturalnie, że są, w sejfie, u głównodowodzącego. Ale żeby do nich dotrzeć, *trzeba* specjalnego zezwolenia, pan chyba rozumie. Od ręki się tego nie załatwi. To nie potrwa długo - dorzucił pośpiesznie, jakby chcąc rozwiać mój niepokój.

- A czy będę mógł zostawić to - to znaczy, złożyć u pana? - spytałem, kładąc na biurku teczkę, którą wyluskałem spośród mych papierów.

- Co to jest?

- Nie mówiłem panu? Teczka, którą mi podłożono.

- Pan znowu swoje! Potrząsnął głową.

- Kto wie - mruknął na poły do siebie - czy nie powinienem skierować pana do Wydziału Lekarskiego...

Z tymi słowy rozwiązał tasemki i rzucił okiem na oba leżące z wierzchu, białą nitką zeszyte arkusze. Przypatrywał im się chwilę ze szczególnym wyrazem twarzy.

- Pi... pi... - mruknął. Podniósł na mnie jasne oczy.

- Pozwoli pan, że wyjdę na chwilę? Kilkanaście sekund, dosłownie...

Nie protestowałem, tym bardziej że zabierał kompromitujący mnie dokument. Wyszedł do bocznego pokoju, nie zamykając nawet drzwi; słyszałem, jak suwa krzesłem, po czym nastała cisza, przerywana tylko leciutkim poskrzypywaniem. Wstałem i podszedłem wolno do uchylonych drzwi.

Erms siedział plecami do mnie, przy małym biurku, pod reflektorem, i z największą uwagą wodził ołówkiem po karcie czystego papieru - odrysowując z leżącego pod ręką mojego arkusza plan Gmachu. Nie wierząc własnym oczom, przestąpiłem próg. Podłoga trzasnęła. Erms odwrócił się, dojrzał mnie stojącego w drzwiach - i drgnienie, które przeszło jego twarz, rozlało się w pocziwy uśmiech.

- Już - powiedział wstając - nie chciałem być niegrzeczny i robić coś przy panu - to dlatego...

Odrysowany plan odrzucił z ostentacyjną jakąś nie-dbałością na biurko, tak że, prześliznąwszy się po jego tafli, spoczął na samym jej krańcu, zwisając nad podłogą, i ruszył do mnie z oryginałem w ręku.

- Ależ to miało zostać u pana - wybąkałem, bo mi go podawał, wciąż jeszcze nie wiedząc, co mam myśleć

0 całej tej scenie.

- A cóż ja bym z tym robił? Proszę złożyć to w Sekcji Zdawczej Dziennika Podawczego - i tak musi pan tam pójść, żeby zaprotokolować zgubę instrukcji. Gdyby nie to, że takie rzeczy musi się załatwiać osobiście, zrobiłbym to naturalnie za pana...

Wróciliśmy do gabinetu i zasiedli, każdy po swojej stronie biurka.

- Więc jakże będzie z oryginałem instrukcji? Czy muszę czekać na koniec postępowania dyscyplinarnego? - odezwałem się pierwszy, lecz, nie czekając jego odpowiedzi, tym samym tonem, niespodziewanie dla siebie, dodałem:

- Cemu pan odrysował ten plan?

- Odrysował? - Erms potrząsnął głową z uśmiechem. - Przywidziało się panu. Pragnąłem tylko, porównując go z prawdziwym, sprawdzić jego autentyczność. Krąży mnóstwo falsyfikatów, wie pan...

Nieprawda! Dobrze widziałem! Odrysował pan! - chciałem krzyknąć, ale zauważyłem jedynie:

- Ach, tak? I co - czy jest dobry?

- Właściwie nie powinienem panu tego powiedzieć, ale niech tam... - przechylił się z szelmowskim uśmieszkiem przez biurko. - Ma miejsca prawdziwe, ale drugie 1 trzecie skrzydło nie *zgadza* się... tylko proszę zachować to dla siebie, dobrze?

- Naturalnie! - odparłem, gotując się do wyjścia, gdy przypomniał sobie, że ma dla mnie kartki obiadowe. Zaczął ich szukać, poklepując się szybko po kieszeniach i mrucząc kąśliwe słowa pod własnym adresem.

- Gdzież ja to, u pioruna... Co za głowa, co za głowa! - • powtarzał cicho a zaciekle, wyrzucając z kieszeni na biurko osobiste drobiazgi: zauważyłem, że i on miał maleńki, z plaży pewno, nakrapiany kamyczek...

Patrzałem na niego, z dłońmi na oparciu krzesła, za którym stałem. Czy powiedział przed chwilą prawdę? Ale widziałem przecież na własne oczy, że nie porównywał planu z innym, lecz kalkował go! Mogłem na to przysiąc! Cóż miałem o nim sądzić? Dlaczego odrysował sobie tajny plan?

Szef Wydziału Instrukcyjnego, który pracuje zarazem dla... idiotyzm! Nonsens! I tak już nazbyt wiele razy przekroczyłem granice zdrowej podejrzliwości: czy nie otarła się o rozstrój jakiś komedia, którą odegrałem przed sobą u admirałdiera, biorąc zwykły sen zmożonego trudami starca, sędziwością wywołane oszpeccenia, kartki z czekolady wreszcie - za wyciągające się ku mnie szpony wszechwiedzącej, wbrew rozsądkowi, mafii? Wszelako on naprawdę odrysował ów plan, który, sam to powiedział, nie miał z jego Wydziałem nic wspólnego, którego przyjąć nawet z moich rąk nie było mu wolno... Ale w takim razie czemu nie zamknął drzwi? Czyżby,

wydając się w moje ręce, był tak pewny, że się nie zorientuję, że nic nie grozi mu z mojej strony, bo jestem naiwnym głupcem? To byłoby ryzykowne, chyba że...

Chyba że ma mnie za współnika - powiedziało coś obcym głosem w mojej głowie, aż drgnąłem, że on to usłyszy - ale z okrzykiem zadowolenia odkrył właśnie we czworu złożone kartki obiadowe między przegródkami pugilaresu.

- Proszę, oto są! - podał mi je przez biurko. - Więc teraz pójdzie pan do tysięstoszesnastki - to jest Podawczy - odda papiery i zarazem złoży zeznanie do protokołu - ja już zadzwonię, uprzedzę ich, tylko proszę iść prosto, nie zgubić się znów po drodze - mówił z uśmiechem, odprowadzając mnie do drzwi, biernego, do tego stopnia oszołomionego myślami, które rozsądzały mi wprost czaszkę, że nie zdołałem wybąkać jednego choćby słowa na pożegnanie. Szedłem już korytarzem, gdy wytknął głowę przez drzwi i krzyknął za mną:

- Proszę później wpaść!

Szedłem dalej. Gdyby mnie miał za współnika... nie lękałby się, że go wydam. Nie orientowałem się w mechanizmach wywiadu, wiedziałem jednak, że agenci działający na ościennym terytorium z reguły nie znają się nawzajem, dzięki czemu możliwość masowej wyspy, zdemaskowania całej organizacji, zmniejsza się do minimum. Mając wgląd w moją sprawę, Erms mógł - w oparciu o gromadzony przeciwko mnie materiał obciążający - uważać mnie za takiego właśnie agenta, choć zarazem z podanych wyżej powodów nie spieszył się sam ze zdjęciem maski. Jedno mi się tylko nie zgadzało w tym rachunku: gdyby naprawdę był wysłannikiem wroga, wtyczką na wysokim stanowisku pierwszego oficera instrukcyjnego, ostrzegłby mnie przecież, mając za swego, za niezależnie działającego protagomistę, tej samej sprawy, a nie wprowadzał w błąd, w pomieszanie...

- Ejże! - przystanąłem *naraz*, tak pogrążony w myślach, że ledwo widziałem bielejące w perspektywie korytarza dwa szeregi drzwi - czy to takie oczywiste? Alboż to istnieje jakaś solidarność agentów, płatnych w zasadzie kreatur, i czy Erms nie poświęciłby mnie bez wahania, nawet rozpoznawszy jako bojownika tej samej sprawy, jeśli by mogło mu to rokować osobisty sukces czy chociażby krok tylko naprzód w zadaniu, któremu sam się poświęcił?

Tak więc to było możliwe. Co miałem robić? Do kogo iść? Gdzie się odwołać? Poczulem *naraz* pustkę w rękach: zapomniałem u Ermsa książkę i papiery. To był niezły pretekst. Zawróciłem pośpiesznie. Ostatnie kroki przed jego Wydziałem oddałem staraniu, by przywdziać wyraz twarzy możliwie roztargniony i lekki; przeszedłem przez sekretariat i bez pukania otworłem drzwi.

Gdybym sto lat wyteżał wyobraźnię, nie odgadłbym, na czym go przylapię!

Siedział wygodnie na odchylonym do tyłu krześle, tak że bujało dwiema nogami w powietrzu, i podzwaniając do taktu łyżeczką o szklankę herbaty - śpiewał! Musiał być bardzo z siebie zadowolony! - Przyda mu się widać ten plan - przeleciało mi błyskawicznie przez głowę. Erms urwał śpiew w pół zgłoski i, ani trochę nie zmieszany, mówił ze śmiechem:

- Przylapał mnie pan! Co robić?! Próbowaliśmy - fakt! Człowiek robi, co może, żeby się nie dać papierkom! Po książkę - co? Proszę - tam leży... Pan to jest godny podziwu - nawet w poczekalniach tego... samokształcenie... o, tu są jeszcze papiery - wstając, podał mi jedno i drugie. Podziękowałem skinieniem głowy i miałem już wyjść, gdy, odwracając się, trochę bokiem, tak że widziałem go przez ramię, rzuciłem:

- Proszę pana...

Pierwszy raz tak się do niego odezwałem - dotąd nazywałem go zawsze majorem. Przestał się uśmiechać.

- Słucham.

- Ta nasza rozmowa cała - to był szyfr, co?

- Ależ...

- To był szyfr... - powtórzyłem uparcie i mam wrażenie, że udało mi się nawet uśmiechnąć. - Prawda? Wszystko, wszystko - szyfr!!

Stał za biurkiem, z na wpół otwartymi ustami, i tak go zostawiłem, zamykając za sobą drzwi.

Oddalałem się stamtąd prawie biegiem, jakby w obawie, że będzie mnie gonili. I po co mi to było? Czy chciałem napędzić mu strachu? Mogłem sobie oszczędzić fatygi - na pewno się mnie nie bał, uwikłanego bezsilnie w sieć, której końca on i jemu podobni trzymali swobodnie w rękach. W każdym razie byłem znowu podniesiony na duchu - dlaczego? Zastanowiwszy się nad tym, doszedłem do wniosku, że sprawił to Erms - nie swoją czczą gadaniną, naturalnie, tymi pozorami serdeczności i uwagi, w które uwierzyłem na chwilę tylko dlatego, że tak bardzo tego chciałem, ale podpatrzoną przez drzwi sceną. Jeśli bowiem - tak chyba brzmiało moje rozumowanie - on jest, na takim stanowisku, agentem tamtych, to znaczy, że można wprowadzić w błąd, oszukać i przechytryć Gmach w ośrodkach jego, w jego najwrażliwszych węzłach, a więc daleko mu do nieomyślności, a jego wszechwiedza stanowi tylko moje urojenie. To samo w sobie ponure raczej odkrycie otwierało więc przede mną furtkę w sposób najbardziej nieoczekiwany.

W połowie drogi do Dziennika Podawczego rozmyśliłem się raptownie. Erms wysłał mnie tam. Życzono sobie, żebym tam poszedł, należało zatem postąpić inaczej, wyrwać się z zakłętego kręgu działań z góry dla mnie upatrzonych. Dokąd mogłem jednak pójść? Nigdzie - i on wiedział o tym. Pozostawała tylko łazienka. Nie była w końcu taka zła - mogłem się tam, w ciszy i samotności, zastanowić, przetrwać wydarzenia, tak już liczne, spróbować powiązania ich, przepatrzenia pod nowym kątem, nareszcie po prostu - ogolić się. Tą moją klującą szczeciną zanadto już wyróżniałem się spośród pracowników Gmachu i kto wie, czy nie za sprawą umyślnego rozkazu udawali, że wcale tego nie dostrzegają.

Pojechałem windą na górę, do łazienki, w której odkryłem niedawno brzytwę, zabrałem ją stamtąd i wróciłem na dół - do siebie, jak nazywałem to miejsce w myślach. Przed samymi drzwiami mojej łazienki wydało mi się, że gdy, zamyślony, opuszczałem go po raz pierwszy, Erms wspominał coś o potrzebie ogolenia się. Czyżby przewidział także i tę możliwość? Dobrą minutę stałem na korytarzu, tępo wpatrzony w białe drzwi. Więc nie wchodzić? Ale, w końcu, od tego naprawdę nic nie zależało! Mogłem zresztą, po ogoleniu, siedzieć, jak długo tylko chciałem w tej mojej samotni - już to tego nie mógł mi na pewno dyktować!

Wszedłem więc cicho, choć przywykłem do pustki, jaka tu zawsze panowała. Przedsionek, z bocznym wejściem do toalet, był oświetlony inną, mocniejszą jakby żarówką, ale może mi się to tylko wydawało. Otwieram drzwi łazienki i niemal natychmiast je zamknąłem: ktoś w niej był. Jakiś człowiek leżał prawie dokładnie w tym samym miejscu, co ja przedtem, obok wanny, z podłożonym pod głowę ręcznikiem. Pierwsza była myśl o odwrocie, lecz porzuciłem ją. - Spodziewają się, że ucieknę - pomyślałem - to byłoby najnaturalniejsze; wobec tego wejść i zostać.

Uczyniłem to. Podeszedłem do śpiącego na palcach, ale choć potknąłem się przy progu z hałasem, nie drgnął nawet. Spał jak zabity. Patrzałem nań od strony głowy, która spoczywała o jakiś metr od moich nóg, więc nawet gdybym go już widział, nie mógłbym go poznać. Wyglądał zresztą na obcego. Był w cywilnym ubraniu, bez marynarki, którą okrył się do pasa - żutte trzewiki stały pod wanną. Na przybrudzonej z lekka u mankietów koszuli w paski-nośił cienki sweter; pięść, owiniętą ręcznikiem, wsadził sobie pod głowę, i z kolanami, podkurczonymi ku brodzie, poruszał się bezgłośnie miarowym rytmem spokojnego oddechu.

Cóż mnie obchodzi? - pomyślałem. - Są inne łazienki. Mogę się przenieść, dokąd zechcę. - Tak sobie mówiłem, aby się uspokoić, pomysł z przenosinami był właściwie śmieszny, bo cóż miałem do przeprowadzki oprócz samego siebie?

Postanowiłem skorzystać z jego snu i ogolić się. W tej czynności nic nie było podejrzanego ani niedozwolonego. Położyłem przyniesioną brzytwę na półeczce pod lustrem. Musiałem jeszcze sięgnąć przez śpiącego, aby wziąć mydło z siatki nad wanną, a puszczając nikłym strumykiem ciepłą wodę z kurka umywalki, zerknąłem w jego stronę, czy go ten szmer nie zbudzi. Widząc, że ani drgnie, odwróciłem się do lustra. Moja twarz wyglądała doprawdy nieprzyjemnie, jak u galebnika. Zarost przyciemnił ją i zarazem uczynił jakby chudsza, chyba nie więcej niż trzy, cztery dni wystarczyłoby, aby wyżej ust znikła w brodzie. Namydliłem się nieco moźlnie, bo bez pędzla, brzytwą za to okazała się nad wyraz ostra. Człowiek na podłodze doprawdy mi nie przeszkadzał, gdyż zacząłem rozmyślać - przy goleniu zawsze dobrze mi się myślało - nad moim tak nieskładnym losem.

Co mi się zatem przydarzyło? Bytność u komenderała Kashenblade zakończyło przyznanie Misji, po odwiedzinach zbiorów aresztowano pierwszego oficera instrukcyjnego, potem znikł drugi, zostawiając mnie sam na sam z otwartą kasą, zjawił się szpieg, uciekłem, trafiłem na staruszkę w złotych okularach, po jego śmierci nastąpiło samobójstwo innego, trzeciego z rzędu oficera, po czym wizyta w kaplicy z ciałem, wymusiłem na księdzu Orfinim numer pokoju Ermsa, potem był Prandtl, muchy w herbie, zniknięcie instrukcji, rozpacz, omyłkowa (nie - wtrąciłem w tok własnych myśli - nie będę się sugerował), nie omyłkowa, ale po prostu: bytność w archiwum, następnie sekretariat tego jakiegoś śledczego, do którego mnie nie dopuszczono, scena u admirałiera, poprzedzona degradacją i policzkami i, na koniec, druga rozmowa z Ermem. To chyba wszystko. Od wylczenia wypadków przeszedłem do ludzi, którzy w nich występowali - jeśli moja *analiza* nie miała od razu pograżyć się w interpretacyjnym trzęsawisku, należało wyjść od zupełnej jakiejś pewności, od czegoś niewzruszonego, w co niepodobna wątpić. Wybrałem jako opokę śmierć - i zacząłem od staruszka w złotych okularach. Powiedziano mi - uczynił to kapitan-samobójca - że otrul się, bo wziął mnie za kogoś innego. Przedstawiłem mu się jako pracownik Gmachu, a on sądził, że jestem wysłannikiem tamtych, a na szyfrowe hasła nie odpowiadał umówionym odzewem, bo przybyłem, aby ukarać go za zdradę. Co prawda nie był on w rzeczywistości staruszką. Aż nadto dobrze pamiętałem czarne włosy, które w agonii wypełzyły mu spod peruki. A jednak kapitan w rozmowie nazywał go wciąż „starym” - ten „stary” nie schodził mu z ust. Czy kapitan kłamał? To było prawdopodobne, tym bardziej że sam się zaraz potem zastrzelił, czyż to niespodziewane samobójstwo nie podkopywało wiarygodności jego słów? Być może - pomyślałem - wydarzyła się historia w jakiejś mierze podobna do stosunku między mną a Ermem. Kapitan zabił się, bo się mnie bał. Samo tylko wykrycie błędnego stosunkowo przekroczenia nie mogło go skłonić do tak rozpaczliwego kroku - a zatem i on był agentem tamtych. Staruszek (nazywałem go tak dalej, tym bardziej że z tą fałszywą starością poszedł do trumny) też musiał być ich agentem. Gdyby nim nie był, gdyby przypuszczał, że to ja nim jestem, oddałby mnie, jako lojalny pracownik, w ręce władz. Ale on się otrul. Śmierci, której w obu wydarzeniach byłem świadkiem, należało chyba wierzyć. Zdecydowałem, że tak. A więc staruszek i oficer byli agentami tamtych, ten pierwszy jednak drobnym, plotką zapewne, a drugi - choćby przez zajmowane stanowisko szefa czy też zastępcę szefa Wydziału - bardzo ważnym. Biorąc mnie za superwidenta z ramienia Sztabu, bez wahania poświęcił zatem część staruszka (który i tak nie żył już podczas naszej rozmowy), demaskując go przede mną, ukrywanie zaś swej wiedzy o podwójnej roli zmarłego usiłował wytłumaczyć nadmierną swą ambicją i gorliwością służbową. Gdy ujrzał, że tłumaczenia tego nie przyjmuję (w istocie po prostu nie rozumiałem go, gdyż wypowiedział je szyfrem) - zastrzelił się.

Tak więc ów, dwie śmierci obejmujący, epizod wydarzeń był zrozumiały, jaka wszelako była w nich moja rola - ta przeznaczona mi, a nie uzurpowana dla wyjścia z zaciskającej się sytuacji? To pozostawało ciemne.

Idźmy dalej - pomyślałem - być może rozjaśni coś analiza dalszych wypadków.

Tymczasem skończyłem się golić. Przyjemnie było odświeżyć się chłodną wodą, zmywając zaschniętą pianę z policzków. Nie bardzo zważałem nawet na hałas, jaki wywołać musiało pluskanie. Rezultat, do jakiego doszedłem, choć może nikły, napelnił mnie jednak otuchą. Nie wszystko w Gmachu jest niezrozumiałe - rzekłem sobie - udało mi się ułożyć część bodaj rozsypanej mozaiki. Wycierając twarz szorstkim ręcznikiem, zauważyłem na nowo leżącego - pochłonięty myślami, niemal o nim zapomniałem. Popatrzyłem nań uważnie. Spał. Nie miałem najmniejszej chęci iść do Dziennika Podawczego, kręcić się po korytarzach też nie. Siadłem na brzegu wanny, u drugiego jej końca, oparłem się o kafelkami wykładaną ścianę, podciągnąłem kolana do brody i podjąłem tok rozważań.

Erms, serdeczny Erms. Z tym sprawa była gorsza. Gdybym nie podejrzewał go nawet o podwójną grę wobec Gmachu, i tak bym mu nie ufał. Przy całej wylewności, jaką okazywał, nie pisał nawet o mojej Misji, nie zająknał się o niej - wszystko, co mówił, obracało się między komplementami, na które nie zasłużyłem, i ogólnikami, które nie nie znaczyły. Molestowany, wydał mi w końcu instrukcję, którą skradziono mi u Prandtla. Mniejsza na razie.

U instrukcyjnego - pomyślałem - daleko ważniejsza jest sprawa samej instrukcji. Jeżeli Erms dał mi ją, wiedząc, że niedługo będę się cieszył jej posiadaniem, to chyba po to, żebym mógł do niej zajrzeć...

Zaraz. Czy to w ogóle była instrukcja? Powinna była przecież opiewać na mnie, przedstawiać plan mých rzekomo tak ważnych i odpowiedzialnych działań, zasięg,

istotę całej Misji, więc coś to znowu znaczyło, że brzmiała niczym mój pamiętnik - jak jakaś opowieść o losach zagubionego w Gmachu człowieka? Czy tak wygląda (bo przekonywano mnie o tym) szyfr?

Owszem, może tak wyglądać, sądząc według słów Prandtla, który demonstrował mi, jak można rozszyfrować nawet dramaty Szekspira. Ale czy naprawdę można? Na to miałem właściwie tylko jego słowa. Maszyna - deszyfra-tor... ależ nie było żadnej, była tylko kobieca ręka, która przez otwór w ścianie podawała spreparowane odpowiednio taśmy.

Zabrałem już kwas sceptycyzmu zżerał wszystko; trzeba się było ze stanowiska tak radykalnego wycofać. Pozostała jedna właściwie rzecz - to chuchnięcie Prandtla w drzwiach, jakby chciał mi coś powiedzieć, wyznać,

I wziął to słowo na powrót, nim wymknęło mu się na dobre z ust - chuchnięcie i wyraz jego oczu w owej chwili.

Odruchu tego nie należało lekceważyć - nie tylko dla jego ludzkiej wymowy, ale ponieważ skrywać musiał coś więcej oprócz litości: wiedzę o moim losie, o tym, co czeka mnie w Gmachu. Prandtl był jedynym człowiekiem ze wszystkich, jakich spotkałem, który prawie że przekroczył krąg anonimowego rozkazu, powoławszy się zresztą przedtem na jego ciężar:

Co dalej? Czy to, że Prandtl znał rolę, jaką mi przeznaczono, było takie znów ważne? I bez jego odruchu wiedziałem, że wezwano mnie do Gmachu, wpuszczono, wyróżniono Misją - w jakimś konkretnym celu. A to mi odkrycie! - pomyślałem nie bez zniecierpliwienia, nawet zawstydzony trochę takim pseudorewelacyjnym rezultatem wytężonych rozważań.

Przerwało je poruszenie śpiącego, który, postępując, przewrócił się na drugi bok, zakrył całą niemal twarz skrajem marynarki i znieruchomiał, oddychając miarowo.

Patrzyłem na jego zabrudzone snem czoło, na kąt skóry między ciemnymi, przyprószonymi siwizną włosami na skroni i, z wolna przestając go widzieć, wróciłem do koncepcji, jaka nasunęła mi się już dawno. Jak dawno - nie umiałem nawet powiedzieć. Czy wszystko to było - wciąż jeszcze - coraz dalej i szerzej rozciągającą się próbą?

W tym świetle wytłumaczalne, konieczne stawały się posunięcia skądinąd zagadkowe - więc bezustanne odwlekanie wręczenia mi instrukcji, zapoznania z Misją, nie kwapiono się z tym, pragnąc wprzód zbadać wszechstronnie, jak zachowam się w zaskakujących, sprzecznych sytuacjach. Było to zarazem badanie osobniczej wytrzymałości (skądś znalazłem jakby ten termin) i rodzaj suchej zaprawy, hartowania czy treningu przed właściwą Misją. Naturalnie musiano czynić wszystko, aby ukryć przede mną istotę doświadczenia - to był podstawowy warunek, inaczej działałbym w sytuacjach sztucznych, niegroźnych, i tym samym rzecz straciłaby wszelką wartość.

A przecież domyśliłem się fikcji! Czyżby moja dociekliwość leżała ponad przeciętną? Aż drgnąłem, skulony na brzegu wanny, wyżej podciągając kolana, bo wydało mi się, że odkryłem w wypadkach ich wspólną, nader istotną cechę.

Oto w przeciągu kilkunastu zaledwie godzin, na samym nieomal wstępie mej obecności w Gmachu, natknąłem się na pracujących w nim agentów wroga. Był więc porucznik ujęty na korytarzu, kiedy wyprowadzał mnie z Wydziału Zbiorów, pierwszy mój instrukcyjny, był błąd szpieg z aparatem fotograficznym, dalej: starszek w złotych okularach i kapitan-samobójca, nie wspominając już o godnym podejrzenia Ermsie - w sumie pięciu agentów, ujawnionych lub na poły ujawnionych w czasie tak krótkim - to było więcej niż nieprawdopodobne - niemożliwe wręcz! Gmach nie mógł się przecież znajdować w stanie podobnego rozkładu, tak masowej, powszechnej infiltracji. Jedno już odkrycie dawało do myślenia, a cztery czy pięć - przekraczały wszelkie granice prawdopodobieństwa. Tu musiał skrywać się klucz. A więc próba. Udanie. Koncepcja ta nie zadowoliła mnie na długo. Ten rój wrażliwych agentów, te kasy otwarte, pełne tajnych akt, ci szpicle, o których potykałem się co krok - tak, to mógł być teatr, ale te śmierci? Byłyby i one wynikiem rozkazu? Zbyt dobrze pamiętałem jeszcze ostatnie ruchy tych ciał, ich drgawki, ziębnięcie, abym miał wątpić w prawdziwość zgonów. To nie mogło być nakazane ani wyreżyserowane, aby mnie omamić, i nie dlatego, że motywem Gmachu nieobce było miłosierdzie - nic podobnego! - na ciąg tak ostateczny nie pozwalała właśnie zimna rachuba, coś przyszkolony bowiem z zabijania wysoko stojących, wartościowych pracowników na oczach trzeciego, potencjalnego dopiero - przecież nie kalkulował się, nie mógł się opłacić werbunek nowicjusza, okupiony podwójną utratą!

A zatem - hipoteza roztawionych dekoracji musiała, wobec tych śmierci, upaść. Musiała?... Ileż już razy, idąc nieprzypadkiem zygakiem, jak pyłek w prądzie powietrza, dzidło w strumieniu, nie wiedząc, co pocznę w następnej chwili, to poddając się wypadkom, to wstając przeciw nim, przekonywałem się poniewczasie, że tak czy tak trafiałem zawsze w miejsca dla mnie upatrzone jak bila na suknie, jak punkt przyłożenia matematycznie wyliczonych sił - każdy mój ruch był przewidziany z góry wraz z myślami tej oto chwili, z jej nagłą czczością, zawrotem głowy, wszędzie tkwiło, obrócone na mnie, olbrzymie niewidzialne oko, to wszystkie drzwi czekały na mnie, to zamykały się, głuchły telefony, nie odpowiadano mi na pytania, cały Gmach przenikała w ułamku sekundy wycelowana we mnie zmowa, a gdy zbliżałem się do wybuchu, szaleństwa, uspokajano mnie, otaczano życzliwością, aby, znienacka, jakąś sceną, jakąś aluzją dać mi do zrozumienia, że zna się nawet moje myśli. Czy Erms, wysyłając mnie do Dziennika Po-dawczego, nie wiedział, że będę usiłował postąpić mu na przekór; że pójdę do łazienki - i dlatego znalazłem w niej tego człowieka, a teraz skracam sobie po prostu czas, czekając na jego przebudzenie?

Tak było - a jednocześnie wszechwiedza Gmachu dopuszczała, że cały był wydrażony, *przeżarty* przez tamtych, i ta zabójcza dlań infiltracja nie zatrzymywała się na żadnym progu. Byłby ów rak zdrady moim przywidzeniem? Urojeniem?

Podjąłem nową próbę - przesłedzenia samego siebie. Na początku - choć nigdy z pełną ufnością - sądziłem, że mnie wybrano. Napotkane przeszkody traktowałem jako potknięcia organizacyjne, raczej zdziwiony i zniecierpliwiony aniżeli niespokojny, brałem je za przywarę nieodłączną od wszelkiej biurokracji. Gdy instrukcja wciąż mi się wymykała, przeszedłem do wybiegów coraz śmielszych, w miarę jak uchodziły mi bezkarnie, coraz mniej czystych, przeświadczony, iż uczciwość nie jest tu na miejscu; to przedstawiałem się jako przybyły z najwyższego rozkazu, to, żeby uzyskać niezbędne informacje, używałem, jak skradzionej broni, zasłyszanych od samobójcy-kapitana czymś strasznym brzemiennych cyfr; kłamstwa te, rosnące w miarę, jak moje posunięcia zmieniały się w gonitwę, gonitwa - w kluczenie, wreszcie w ucieczkę - przychodziły mi coraz łatwiej i beznamiętniej.

Wszystko zawodziło, rozwiewało się, zmieniałoby znaczenie, a ja, udając, że tego nie dostrzegam, dalej usiłowałem dostać w ręce widomy znak, dowód mojej Misji, choć świtało mi już, że to rzekome wywyższenie jest poniżeniem, że zostałem wprowadzony w kręta, w chowanie się pod biurkiem, w obecność przy nagłych a okropnych śmierciach, aby włożyć się potem za mną, wzięły w matnię, uwikłały w konieczność składania nieprawdopodobnie brzmiących wyjaśnień!

Okłamany, okradziony z instrukcji, z nadziei jej istnienia, usiłowałem wytłumaczyć się, usprawiedliwić - a że nikt nie chciał mnie wysłuchać, choćby po to tylko, aby zadać mi kłam, brzemień mych nie popełnionych win rozrastało się coraz bardziej, aż ogarnęła mnie szaleńcza chęć przyjęcia tego losu skażenia bez zmyślenia, uczynienia go pełnym i dokładnym, pośpiesznego doprowadzenia do własnej zguby - i szukałem dalej sędziów, już nie aby się zrehabilitować, ale żeby zeznać, co tylko będą chcieli. I znowu fiasko: jałem zatem u admirałdiera fabrykować z siebie zdrajcę, lepić go na podobieństwo własnych wyobrażeń, dorabiać okoliczności obciążające, ryjąc po szufladach - i jeszcze raz uderzyłem w próżnię!

Czy urastając w głąb zdradzonych oczekiwań, w potworny lęk odwróconym pomnikiem własnej zagłady, czy przerzucając się w chwilową ufność, momentalną wiarę w Misję Specjalną, instrukcję - chciałem, tak lub owak, odnaleźć, choćby przewrotny, sens mojej tu obecności. Ale nie wywyższano mnie, nawet by poniżyć; laski nie służyły niczemu, tak samo jak oznaki zdrady, wciąż na nowo okazywało się, że jak gdyby nie oczekują ode mnie nic. Na to jedno nie mogłem się zgodzić.

Więc jeszcze raz, od nowa zacząłem: może to, co nazwałem przedtem udaniem, teatrem, doświadczeniem, nie jest próbą, lecz właściwą, przeznaczoną dla mnie

Misja?

Ta myśl wydała mi się na mgnienie furtką - i nie śmiać jeszcze naruszyć jej badaniem, trwałem chwilę z zamkniętymi oczami i bijącym gwałtownie sercem.

Misja? Ale po cóż by miano ją przede mną ukrywać? Dlaczego, zamiast powiedzieć, że żąda się ode mnie pracy w samym Gmachu, pewnego rodzaju kontroli, zamiast uzbudzić w niezbędne wiadomości, miano wysłać mnie w nieznanym kierunku, na oślep, domagając się w milczeniu, abym zrobił to, o czym nie wiem, a jeśli nawet zrobiłem coś - to niechający tylko, a nawet mimo własnej woli?

- Tak to wygląda na pierwszy rzut oka - powiedziałem sobie - wszelako Gmach wdrożył mnie już do pewnego stopnia w swój tryb postępowania, ciemny, ale nie pozbawiony cech wyrazistych, były tu więc Wydziały, Sekcje, Archiwa, Sztaby, z regulaminem, rangami, telefonami, żelaznym posłuszeństwem scementowane w monolitową, hierarchiczną konstrukcję. Była ona sztywna, uporządkowana, wiecznie czuwająca, jak białe korytarze z regularnymi szeregiem drzwi, jak sekretariaty pełne skrupulatnie prowadzonych kartotek, wraz z trzewiami swych komunikacyjnych przewodów, pancernymi sercami kas, rurami poczty pneumatycznej, która podtrzymywała nieustający obieg tajemności, tu nic nie było pominięte, nawet sieć kanalizacyjna, poddana ciągłemu nadzorowi - lecz ta zegarowa dokładna powierzchnia okazywała się z bliska rojowiskiem intryg, wykradzeń, podstępów, omamień. Czym był ten rozgardiasz? Pozorem? Maską uniemożliwiającą profanowi dojrzenie prawdy innego jakiegoś, wyższego planu?

Być może takiego właśnie, pogmatwanego - przy powierzchownym osądzu - postępowania ode mnie oczekiwano? Może ono właśnie było orężem wymierzonym przez Gmach w jego przeciwników? Istotnie, choć nie wiedziałem jak, choć za każdym razem sprawił to jak gdyby ślepy przypadek, przyniosłem przecież niemałe korzyści! Unieszkodliwiłem wszak krecią robotę staruszka i kapitana, a w innych sytuacjach mogłem stanowić czynnik katalizujący, przynaglenie kulminacji bądź przeciwwagę nie znanych mi napięć - tu myśl moja znowu zboczyła z drogi, przyciągnięta powszechną dwulicowością ludzi, jakich spotkałem. Można by sądzić, że podwójna gra stanowi tu najwyższy, obowiązujący kanon - tylko dwu ludzi nie dotknęła dotąd moja podejrzliwość: szpiega z kasy i Prandtla.

Najpewniejszy byłem szpiega. Kiedy zawiodła mnie nawet śmierć - bo czyż postępowanie trupa pod flagą nie traciło wyraźnie dwuznaczności? - on jeden tylko mi pozostał, on jeden. Nie parął się zdradą, nie udawał, nie ludził, lecz, zakradłszy się sumiennie do kasy, błady i przerażony fotografował plany, a czegoś innego należało się spodziewać po uczciwym szpiegu?

Gorsza nieco była sprawa z Prandtlm. W gruncie rzeczy moja wiara w niego opierała się na chuchnięciu. Erms zapowiedział, że przejdę u niego związane z Misją przeszkolenie. Rozmowa z Prandtlm okazała się oczywiście czymś zupełnie innym - chociaż w tej chwili nie byłem już tego taki pewny. Powiedział mi sporo rzeczy niejasnych, *zaczynając, że* rozumiem je później. Czyżby już teraz?

Być może Prandtl wcale nie wiedział, co się ze mną stanie, i nawet się tym nie interesował, a litość, jaką mi okazał, spowodowała nie znajomość przyszłych wydarzeń, lecz to, co się stało, a stało się, bo, nie poprzestając na ukazaniu mi nieskończoności zagrzebanej w szyfrach, pokazał mi końcowy sens jednego, na małym skrawku papieru. Były to trzy słowa.

Układały się w parę z pytaniem, jakie zadałem w myślach, mając za jedynego towarzysza owego obleśnego oficera, którego zadaniem było podejść mnie i okraść.

Jeżeli wszystko, cokolwiek działo się w Gmachu, posiadało, oprócz powierzchownego i pozornego, sens głębszy, ważniejszy, to Prandtl na pewno nie postąpił tak sobie.

Zapytałem: „Czego ode mnie chcą? Co mi przeznaczono?”

I Prandtl dał mi papier zawierający jedno zdanie: „Odpowiedzi nie będzie”.

Brak odpowiedzi na to pytanie, odnoszące się przecież, w istocie, do Gmachu - obracał przyrzeczenia głównodowodzącego, wypadek w kasie, szantaż na księdzu Orfinim, walki na korytarzu, nagłe zgony, misje, instrukcje, same szyfry nawet - w kasze przypadkowych głupstw i okropieństw, wszystko to szło w rozsypkę, nie układało się w *ładną* całość, i sam Gmach, w świetle tego zdania, zmierzał do zaludnionej izolatkami szaleńców próżni, a jego wszechmoc i wszechwiedza okazywały się tylko moją halucynacją.

Skoro jednak wydarzenia szły luzem, do góry nogami, byle jak, skoro nie stanowiły całości ani nie miały odniesienia do innych, to nic nie znaczyły, a w takim razie pozbawiona znaczenia była także moja wizyta u Prandtla, jego wykład, a wraz z nim - i owe trzy przeraźliwe słowa...

Słowa te traciły zatem moc uogólniającą i odnosiły się na powrót jedynie do przykładowo zademonstrowanego szyfru. Gdy więc nie oprócz siebie nie znaczyły, gdy - przy nieobecności wszechwiedzy - nie były odpowiedzią na moje pomyślane pytanie, w takim razie nie obalały tajemnicy Gmachu. I oto wieloznaczność wydarzeń, uratowana, powracała, aby wtrącić moje myśli w ten błędny krąg zamkniętego szczelnie, zjadającego siebie rozumowania.

Spojrzałem na śpiącego. Oddychał regularnie, a tak cicho, że gdyby nie miarowe ruchy jego wzniesionego barku, mógłbym sądzić, że nie żyje. Zdaje mi się, że i ja zasypiam - rzekłem sobie, aby usprawiedliwić kolejną porażkę myślową, byłem jednak zupełnie przeżyty.

Spróbujmy - postanowiłem - dla eksperymentu, chwilowo, wziąć słowa szyfru za dobrą monetę, wbrew tej logicznej sprzeczności, jaką wykryłem. Zobaczmy, co z tego wyjdzie, niczym mi to przecież nie grozi, a jakoś muszę w końcu spędzić czas. Rozważmy zatem użyteczność chaosu, który wprowadzają na scenę te słowa, powiedzmy - chaosu utrzymanego dowcipnymi zabiegami w ryzach, oswojonego niejako. Czy mógł być przydatny?

Oto ja, kiedy przyobiecano mi Specjalną Misję, poczułem się wybrany; potem, z równą skwapliwością, jałem przygotowywać się, aby zostać prymusem kaźni, celerem ławy oskarżonych, w całym bogactwie tego losu, z ornamentacjami *zeznań*, szlochów, próśb o łaskę; naciągnąłem na siebie skórę niewinnego męczennika, miotalem się w poszukiwaniu śledczego, prokuratora, to widząc się zrehabilitowanym, to zgubionym, raz rylem po szufladach, aby zdobyć obciążające mnie dowody, raz z maniackalnym uporem pieniacza, wołającego sprawiedliwości, wysiadywałem po sekretariatach - wszystko to robiłem z przejęciem, starannie, malowniczo, bo wydawało mi się, że tego po mnie oczekują. Gmach wszelako, jako przeznaczony do wykrywania i dowiercania się istoty rzeczy przez wyluskiwanie jej z pozorów, kolejnych masek, lupin, musiał, rzecz jasna, działać właśnie dysonansami. Wytrącał mnie więc z harmonii zguby czy bohaterstwa, ogłupiał, zaskakiwał, abym nie zdołał wyczytać niczego z gradu wymierzanych łask i ciosów; dopiero cisnąwszy mnie w tak bezwzględny, wszystko *zderający* chaos, oczekiwał ze spokojem, co wynurzy się z jego oczyszczającego kotła.

Dlatego właśnie, nie dając mi ani instrukcji, ani aktu oskarżenia, odmawiając wyróżnień i zguby, całym majestatem swego ogromu, golgotami korytarzy i armiami biurów wręczając mi nic - chciał Gmach dopiąć swego...

O, chaos mógł być użyteczny, bardzo nawet...

A staruszek w złotych okularach - czy nie mówił mi czegoś o nadzwyczajnej, nieskończonej wręcz wielości tajnych planów, strategicznych rozwiązań?

Stąd jeden już tylko krok myślowy prowadził do tezy, że nieład wydarzeń nie jest w Gmachu czymś niewłaściwym, lecz jego stanem normalnym, więcej: produktem zapobiegliwości i wytrwałej działalności - syntetyczny chaos wraz z bratnią nieskończonością jak pancerz osłaniał Tajemnicę.

To możliwe... - pomyślałem z pewnym znużeniem, poprawiając się na wannie, nadzwyczaj twardej - ale i tamte, inne moje hipotezy przystawały do wielu faktów. Coś dziwnego jest, doprawdy, w tym, iż każda, byle dość złożona idea daje się narzucić Gmachowi i przyjąć jako jego zasada - to niepokojące jakieś...

Śpiący odwrócił się na wznak, odsłaniając twarz. Widziałem drgające powieki. Śledził coś we śnie, może czytał tani, bo gałki oczne poruszały mu się to w lewo, to w prawo. Na czole lśnił pot, policzki okrywał ciemny zarost - ponieważ leżał głową w moją stronę, twarz jego nie mówiła mi nic oprócz tego, że jest chorobliwie blada. Jak gdyby kurczowo uśmiechał się, ale to, co w twarzy widzianej do góry nogami bierzemy za uśmiech, bywa wyrazem znękania.

Czekam, aż się zbudzi i przemówi - pomyślałem - a gdzieś, w jednym z pokoiów, znudzona sekretarka, pomieszawszy herbatę, odkłada teraz na półkę teczkę z instrukcją, w której spisane jest, co powie mi, gdy otworzy oczy, i ja jemu - aż do końca...

I że zrobiło mi się trochę chłodniej - nie wiem, czy w związku z niemiłą ową myślą, czy dlatego, że ciągnęło z wanny - podkurczyłem jeszcze bardziej nogi i zapiałem ostatni guzik marynarki.

Dlaczego miałbym się właściwie tego bać - rezonowa-łem jałowo - przecież i tak na pewno mi tego nie pokażą, choćby dlatego, że mógłbym wówczas postąpić wbrew instrukcji, a tak, skoro jej nie znam, nie wiem, co mnie czeka, i przyszłość jest nieznana - jak gdyby w ogóle nie istniała w aktach...

Śpiący zaczął pochrapywać, nie z onomatopeiczną wirtuozerią admiraiera, lecz monotennie. Po chwili rzęził już z natarczywością godną lepszej sprawy, jak gdyby uparł się, że będzie udawał konającego. Przedśmierne te odgłosy wytrącały mnie z równowagi, nie mogłem już oddać się swobodnie myśleniu - czy chciał w ten sposób zwrócić moją uwagę? Byłem zmęczony. Poruszyłem się. Bolały mnie wszystkie kości. Postanowiłem, któryś tam raz z rzędu, że teraz naprawdę sobie pójdę, choćby do anachorety; odstraszała mnie jedynie myśl o natłoku panującym w pustelni. Przeciagnałem się, opuściłem nogi na kafele i podszedłem do umywalki. Chowając brzytwę do kieszeni, zobaczyłem w lustrze tego człowieka niecałego, od piersi w górę, i było to, jakbym zobaczył naraz samego siebie, obezwładnionego martwym snem po nużącej wędrówce.

Czyżby to nie było uzgodnione? Czy miałem w nim towarzysza, zagubionego w Gmachu, goniącego za mirażem, którym poświęcono mu w oczy?

Zaczął się budzić. Poznałem to po tym, że uciął. Nie otwierając oczu, kłopotliwie, z trudem, poruszał się w sobie, jakby chował, upychał gdzieś mozolnie ową fałszywą agonię, którą przedtem straszyl. Błysnął *naraz* oczami, objął mnie, widzianego do góry nogami, jednym spojrzeniem, przymknął powieki i trwał tak chwilę, skupiając się, po czym pomału, przechylony, uniósł się na łokciu.

Nim się jeszcze odezwał, jego ocknięta twarz trąciła coś we mnie. Musiałem go już kiedyś widzieć. Z zamkniętymi oczami mruknął:

- Szpuncel...

- Proszę? - powiedziałem odruchowo. Na dźwięk mego głosu usiadł. Był okropnie zarośnięty. Patrzył na mnie, mrugając. Z wolna wyraz jego oczu zmieniał się - zeszyły ze mnie na podłogę, odkaszlnął i rozcierając przeguby rąk rzekł:

- Ta kalarepa... nie ugotują, cholery, jak należy, i ma człowiek sny...

Skierował wzrok ku umywalce. Zasłaniałem ją. Pochylił się w bok, oczy rozszerzyły mu się na mgnienie.

- Gdzie brzytwa? - powiedział.

- Tu - pokazałem na kieszeń.

- Połóż.

- Dlaczego? - zaoponowałem. Rosła we mnie antypatia do tego człowieka. Tykał mnie nachalnie, poza tym znałem go skądś - i nie było to wspomnienie przyjemne.

- Przyniosłem ją z góry - zauważyłem, żeby podkreślić swoje prawa. Czekalem zaczepnie, co odpowie, ale wstał, odwrócony tyłem, wyprostował się, przeciągnął wszystkie kości i zaczął drapać się słodko, z wyrafinowaną rozwekłością, w plecy. Potem wziął szczotkę znad wanny i zabrał się do oczyszczania spodni.

- Wio! - burknął, nie *patrząc* na mnie.

- Co? - spytałem.

- Nie zwracaj głowy, gadaj - albo idź.

- Co mam gadać?

Zastanowił go jakby dźwięk mego głosu, bo przestał wykrobywać klaczki z mankietów spodni i popatrzał na mnie spode łba.

- Dawaj - rzekł, podchodząc do mnie z nadstawioną ręką. - No? Co tak patrzysz? Dawaj, nie bój się.

- Wcale się pana nie boję - odparłem, kładąc mu na dłoni brzytwę. Podrzucił ją i przyjrzał mi się z zastanowieniem.

- Mnie? - powiedział. - • Myślę...

Powiesił marynarkę na klamce, owinał się ręcznikiem i wziął się do mydlenia twarzy. Stałem jakiś czas za nim, zrobiłem parę kroków, w końcu usiadłem na brzegu wanny. Ani się odzywał, zupełnie jakby był sam. Jego plecy znałem jakby lepiej jeszcze od twarzy, może dlatego, że zmieniał ją zarost. Pochyliłem się i zauważyłem wówczas cienki, w pętlę złożony rzezyk, który wysunął się spod wanny. Poderwało mnie. Ależ tak - to był szpieg z aparatem fotograficznym! Rozluźniłem z trudem mięśnie, usiadłem i czekałem jakiś czas, by przemówił. - Naślany - myślałem. - Naślali go, żeby... żeby co? Zobaczmy: zaraz się do mnie weźmie. Milczenie przeciągało się. Dręczyło. Chciałem puścić wodę do wanny, pożałowałem tego hałasu, ale mogło to *zdradzić* moją słabość. Dotykałem podłogi tylko końcami stóp i, jak nieraz w tak niewygodnej pozycji, lewa noga zaczęła mi się trząść, coraz szybciej, aż wpadła we właściwy sobie rytm.

- Pan... dawno? - spytałem, niby to od niechcenia, patrząc w jego plecy.

Z lustra wyglądały namydlone policzki. Oczu nie widziałem. Odpowie, jak dojdzie do ucha - oceniłem. Od ucha przeszedł jednak do podbródka - jakby nic nie usłyszał.

- Pan dawno tu? - spytałem jeszcze raz.

- Dalej - powiedział, nie przestając skrobać podgardla.

- Co dalej? - odparłem, zbity z tropu. Ale on nie raczył nawet odpowiedzieć. Pochylony nad umywalką, byle jak oplukiwał twarz. Bryzgi wody leciały aż do mnie.

- Proszę uważać, pan chłapie - powiedziałem.

- Nie podoba ci się? To możesz iść.

- Ja tu byłem pierwszy.

Wyjrzał jednym okiem spod między fałd ręcznika.

- O? - powiedział. - Naprawdę?

- Tak.

Cisnął ręcznik na podłogę i sięgając po marynarkę, rzucił w przejściu:

- Obiad był?

- Nie wiem.

- Dziś beznamięsny - mruknął jakby do siebie, porządkując ubranie. Między otrzepaniem rękawa a podciągnięciem spodni dodał:

- Żeby choć frytki jakieś. Na pewno kasza. Wiecznie ta kasza. Smażonego by coś, psiakrew, na ząb...

Zerknął przelotnie w moją stronę.

- Zaczynasz, czy jak? Bo zaraz pójdę.

- Co mam zaczynać?

- Nie udawaj. Stare.

- Nie udaję. To pan udaje.

- Ja? - zdziwił się. - A co na przykład?

- Pan wie, co.

- Tak możemy do maja - rzucił niechętnie. Przyjrzał mi się. Nie było najmniejszej wątpliwości. Ostatni raz widziałem go, jak fotografował tajne akta w kasie.

- Cywek? - powiedział powoli. - Dlaczego? Kolej na mundurowca - nie?

- Jaki cywek?

Podszedł do mnie. Spojrzał na moją nogę. Zainteresowała go.

- Wydawca - zdecydował wreszcie.

- Co? Kto? -Ty.

- Ja? Może pan odezwie się wreszcie zrozumiale? Nie jestem żadnym cywkiem ani wydawcą.

- Nie? To skąd? Z wypluwki?

- Z żadnej wypluwki!

- A jak? Znikąd? To czego chcesz?

- Niczego. To pan chce.

- Co?

Przeszedł dwa razy po łazience, od ściany do ściany, z rękami w kieszeniach, spojrzał na mnie z ukosa, od drzwi, nareszcie przystanął i rzekł:

- No, dosyć. Dajmy na to, że się pomyliłem... Szyfro-łaz też nie jesteś?

- Nie.

- Czerdziecha?

- Nie wiem, co pan mówi. Gwizdnął przeciągle.

- Dobra. Nie wierzę, ale niech ci będzie. Co mi szkodzi? Pchaj no w łajno. Powiadasz, że jesteś misyjniak? Wahałem się, co powiedzieć.

- Nie rozumiem dobrze, co pan mówi - zacząłem - jeżeli chodzi o moją Misję, to...

- Taak - przeciągnął. - Instrukcję dostałeś?

- Dostałem, ale...

- Wsiąknięta?

- Tak. Pan wie może, co...

- Czekaj.

Pochylił się koło mnie, wyciągnął spod wanny aparat w futerale i, siadając ostrożnie na bidecie, wyjął spod przykrywki paczkę biszkoptów.

- Z obiadu klops - wyjaśnił pełnymi ustami. Trochę okruszków posypało mu się na gors.

- Poświętliwy jestem, sam widzisz. Chcesz, znaczy, wiedzieć, co się dzieje?

- Chcę.

- Ksiądz był?

- Był.

- Lilijna białość?

- Proszę?

- A, jeszcze nie? Dobra. Jak gdyby osiemdziesiątak.

Przymierzał jakąś myśl do mojej trzęsącej się bezustannie nogi, wpatrzony w nią uważnie, nie przestając żuć. Końcem języka udaremniał ucieczkę co większych okru-chów z warg.

- Po starym - zakonkludował wreszcie. - Hę? I tłustego podetkali ci, co? Spuchlak wzdymany! Nie musisz nawet mówić: widać. A ta *zgaga*, to po starym.

Stuknął palcem w fotograficzny futerał.

- Głodny jesteś? Chcesz?

- Dziękuję.

Nawet nie słyszał. Poprawiał się na siedzeniu wymierzonymi, malutkimi ruchami, wymijając krzyżem sterczące z tyłu kurki z taką rutyną, jakby pół życia przesiedział na bidetach.

- Chawa - rzekł jakoś smętnie. - Napatrzyłeś się, co? Skóra kopycieje, brodawczaki w koperczaki, łupież rozpalony żywopłotem, ćmawo, chrumno, mętek-drętek, a ty, augur jeden, nad kichą! Krzaczką w uchu, cholera, przemawia, a ty tak, owak, składasz, rozkładasz, i nic nie rozumiesz... Przy próbie jeszcze stoisz czy przy bajzlu?

- Przepraszam - powiedziałem - ale...

- Przy próbie - ustanowił. - Kombinujesz, bracie, i z tego żyjesz! Herbatką żyjesz! Nie nażyjesz się! Noga lubi tak czasem, jak już nie można, i nie chce, cholera, przestać... Kluli cię przez sen szpileczkami?

- Nie. Dlaczego pan...

- Nie przeszkadzaj. Muchy w herbacie były? Sztuczne...

- Były!

Nie rozumiałem, do czego zmierza - a jednak łapałem w tym jakiś sens, najściślej ze mną związany.

- Te krzaki - wyrzuciłem - pan... o admirałdierze?

- Nie, o struci... Stary przetrzyma nas obu, założysz się? Pamiętam, taki sam był, jak ani śladu jeszcze ręczników nie widziałeś, a za brzytwą co się człowiek wtedy nalatał... Fusy kawowe... Kancelaryzowali wtedy bez tej higieny, na fus brali, przycupem, wszystko spodem, szyto—kryto, do Wydziału Piwnicznego kierowali, trzask-prask, przesłuchaj, w mordas obcasem, flekowanie i cześć... A teraz to najwyżej postrzelają... Strzelali?

- Na korytarzu? Tak! Co to znaczy?

- Tryplet. Wpadunek trzeciaka. No, szpuncle popod-stawiały się i jeden się przegorliwił. Przedobrzył. To znaczy.

To rutynowany szpieg! - myślałem szybko. - Widać choćby po tym żargonie... Ale czego chce ode mnie? Z obiadu dla rozmowy zrezygnował, jaki życliwy... Oho! muszę porządnie mieć się na baczności...

- Na baczności musisz się mieć, co? - rzucił i prychnął na widok mojej miny. - No, co się dziwisz? Bywały jestem, rutyniarz... zęby na tym zjadłem... instrukcja gra... myślałeś, że twoja? A już! Seryjniak, kochany... Muszki w herbacie i cała reszta... Z tego wszystkiego tylko herbata została ta sama co dawniej...

Zasępił się i z nudy, która wypelzała mu na twarz, czyniąc ją nagle starą, ze swej osobności i znużenia zapatrzył się w lśniące niepokalaną białością drzwi.

- Panie... - odezwałem się - czy nie może pan powiedzieć czegoś zwyczajnie, po ludzku?

- A jak ja mówię? - zdziwił się.

- Co to wszystko znaczy? I co pan... po co pan mi tu...

- No no, spokój. Kombinujesz tylko niepotrzebnie: a może plamką jestem do wywabienia? A może wtyczką? Łyczkiem? Patyczkiem? Flaczkiem? Ichą-pichą?... Ech, nie warto. I tak koniec.

- Jaki koniec?

- Wszystkiego. Wypychaj, - i tyle. Niby po dawnemu: platek róży liżesz, a serce bije: wyspa czy nie?! I już szczura masz pod skórą, jak nie hycnie-kicnie, jak nie szmyrgnie - cały już latasz, cały w słup... Z przyzwyczajenia, rozumie się, bo co zostało? Figuranci.

- Co pan chce przez to powiedzieć? Jacy figuranci? Szczur? Że mi się noga trzęsie? To o tym? Więc co z tego? I... i co pan tu właściwie robi?

- Żebyś wiedział, co ja robię... Przypatrz no się... - pochyliwszy się ku mnie, wskazał palcem własną twarz. - Fajna ruina, nie? Zmarnowali mnie i żeby choć wiadomo, kto - a tu jedne drapansy-szymponsy, mandryliony szpuncli, zbiorówka, zawracanie głowy i tyle...

- A po co panu aparat? - spytałem nagle. Było mi już wszystko jedno.

- Aparat? Co, nie wiesz?

- Pan robił zdjęcia....

- Wiadomo.

- W kasie... - zniżyłem głos, z resztą nadziei, że się nie przyzna, ale skinął flegmatycznie głową.

- Jasne. Bez znaczenia. Ot, żeby do reszty nie zdzia-dzieć - mózgołe purchawieją, szmajzel wysiada, no to pstryknie się coś, gdzieś, czasem...

- I po co pan to mówi?! - jąłem się zaciętrzewiać. - Robił pan zdjęcia tajnych akt! Widziałem! Może się pan nie obawiać - wcale nie mam zamiaru zrobić z tego użytku. Nic mnie to nie obchodzi, nie rozumiem tylko, czemu siedzi pan tu dalej?

- Nie mam siedzieć? A czemu?

- Przecież mogą pana zdemaskować, dlaczego pan nie ucieka?!

- Dokąd? - spytał z tak beznamiętnym znudzeniem, że zadziłem.

- No... no tam...

Wydawałem mu się w ręce. Chyba tak. Serce waliło mi jak młotem w oczekiwaniu, że nuda spadnie mu z twarzy jak maska. Namawiałem go do ucieczki - oszalałem chyba, przecież to prowokator...

- Tam? - mruknął. - Co za „tam”? Jedna cholera - tu czy tam. Pstryknąłem, ot, tak, dla poślizgu, żeby nie wyjść z wprawy, ale to na nic...

- Dlaczego na nic?! Niechże pan powie wyraźnie!!

- Wyraźnie czy niewyraźnie - wyjdzie na jedno. Nie jesteś jeszcze w tym miejscu, czyli na etapie, żebyś zrozumiał, a jakbyś nawet zrozumiał piąte przez dziesiąte, to i tak nie uwierzysz. Ot - myślisz - prowok, nasłaniec, kat na moją duszę, posiepaka, chytrus jeden, umyślnie taki zanudzony sobą, zalabidzony, kawęczarz, obnaża się, nędcę swoją udaje, ponieważ szpiegowską, a to wszystko inaczej się czyta, indziej celuje - no nie? Nie mam może racji? A widzisz... I dalej myślisz: mówi sam, że prowok, abym ja

myślał, że mówiąc „prowok”, szczerzy jest, abym to wziął za szczerłość, z samego serca. Z samego serca też naturalnie coś tam innego znaczy, a gdy, nareszcie, słyszysz, jak mówię, że mówię „prowok”, abyś myślał, że szczerłość, no, to jesteśmy w domu: szatan - nie gość, co?! I już nic mi nie wierzysz. Hę? Milczałem.

- Poczekaj, sam zobaczysz - nie cię nie minie. Chcesz wiedzieć, co z czym i jak?

Wytrzymał pauzę.

- Chcę! - powiedziałem, choć nie wierzyłem w ani jedno jego słowo.

Uśmiechnął się gorzko, skrzywieniem kątów ust.

- Nie wierzysz - - ale niech ci będzie! Próbujesz... Słuchaj. Popodstawiali się, dla chleba, najpierw raz. Do ostatniego krzesła i sedesu. To co potem - przestać mieli, kiedy dalej płacą, czy jak? Żeby skonali, nie mogli przestać. Wyrwantus-zawijantus, dalej wio, podstawianej a? Wtykanej a! Tak poszedł dublet - nic, tryplet - nic, kwadru-plet - cześć, teraz kwintuplety już się miejscami telepią. Długo to tak? Cholera jego wie! Zaraza! Zaraza! Ja, stary, uczciwy szpieg, weteran, ci to mówię!

Walil się ze wściekłością i *rozpaczą* w pierś, aż dudniło.

- Zaraz - odezwałem się - nie rozumiem. Czy chce pan przez to powiedzieć, że...

- Nie nie chcę przez to powiedzieć i daj mi święty spokój! Co się będę strzepił? Ty i tak igielką jesteś gramofonową, a płyta *zdarta*, musisz teraz brać to na nice, pod włos, każde słowo do góry nogami, w rozporek mu zaglądać, w kieszenie, dodać do tego moje chrapaska, mydło, brzytwę, aluzji wszędzie szukać, przytyków, nie wiem, czy co? Rób, jak uważasz, tylko od brzytwy wara! Masz czas. Za dobrze by to było, żeby tak od razu za brzytwę. Myślałem, jakim cię zobaczył, że posłany jesteś, żeby mi ją odebrać.

- Przecież ja ją z góry przyniosłem... to pana brzytwą?

- Masz czas, mówię. Przede wszystkim trzeba siły mieć. Regularne stołowanie, bufet, biszkopty, czasem nawet kompot bywa, z renklodami. Kompot. No, co się tak patrzysz? Myślisz, że mówię „kompot”, a to znaczy posiedzenie Sztabu nad instrukcją? Nie, kompot - to kompot i kropka, przynajmniej u mnie. Nie jestem żaden nasłany ani nic. Przespałem się, ogoliłem, obiad przez ciebie przepuściłem i zaraz sobie pójdę. I popatrz sam: wszystko żem ci powiedział, jak chciałeś, a ty mi nie wierzysz. Ani w przecinek nie wierzysz. No, nie miałem racji? Po co mam z siebie bebechy wypruwać, tłumaczyć ci te kwadru-plancje, żebyś sobie z tego nowy rebus ułożył? Cześć pieśni, szkoda słów.

Wstał.

- To pan nie jest szpiegiem?

- Kto mówi, że nie? Kto mówi, że tak? No, daj mi coś do szpiegowania, pokaż! Znudziło mi się, wciąż w tę i w tę - po co? Na co? Dla kogo? Skończony facet, symplak, indywidualniak, przebrzmiała pieśń. Co ja - cebula jestem? Już się poszostni, podobno, trafiają. Jak ci trochę przejdzie ta podejrziliwość, możesz tu zająć. Jutro po obiedzie będę. No?

- Przyjdę - powiedziałem.

- To ja też. Trzym się. Idę do bufetu. Od drzwi, przez ramię, rzucił mi jeszcze:

- Teraz będzie kolej na doktorka, serwis i lilijną. Po serwisie będziesz pociechę miał duchowną. Potem dalsze szpryncle. A jakby mnie nie było, zaczekaj. Przyjdę na pe. Będziesz?

- Będę.

Zamknął za sobą drzwi. Słyszałem jego kroki, coraz dalsze, szczenięcie drugiego zamka i nastąpiła cisza, w której zostałem, jak garnek pod przykrywką, żeby dojść.

Więc tak... Podczas kiedy za zboląły pępek świata się miałem, za tarczę ciosów, ośrodek skupiający wszystkie wysiłki Gmachu - byłem kimkolwiek, nikim, stereotypową wersją, którymś tam z rzędu powtórzeniem, trząsłem się w tych samych, co poprzednicy, miejscach, jak igła gramofonowa przetwarzająca rozjechane koleiny płyty w uczucie i głos. Moje melodramatyczne reakcje, uskoki, nagłe zwroty, zrywy, uniki, to, co dla mnie było zaskoczeniem, wewnętrzną inspiracją, kolejnym objawieniem prawdy - wszystko, wraz z obecną chwilą, stanowiło jedynie paragrafy instrukcji, nie mojej, nie dla mnie stworzonej, po prostu instrukcji wypróbowanej solidnie w działaniu... Więc jeśli nie próba, nie Misja, nie chaos, co mi pozostawało? Łazienka? Korytarze? Łaźnienie od drzwi do drzwi, od drzwi do drzwi...

Ale po co on tyle mówił? Naturalnie też był częścią instrukcji, pojawił się jak nuta w partyturze, kiedy nadeszła jego kolej. Dobrze zadźwięczał, uczciwie grał starego wygę! Ale po co? Po co to wszystko?

Dawno już zesunąłem się z wanny na podłogę. Leżałem na niej bokiem, oparty o porcelanowe wygięcie sedesu, i nawet się trochę wilem. - Potworne! - powtarzałem sobie - potworne!... Kwadruplety... tryplety... co miał na myśli? Może to nic nie znaczyło? Manewr odwracający uwagę? Ale od czego? Podstawienia... wtyczki... tajne akta... krzaki w uszach... W głowie mi się od tego mrowiło, wlaża w to jeszcze ta kalarepa, na którą uskarżał się po przebudzeniu. Namawiał do regularnego trybu życia! Biszkopty - nawet kompot bywa w bufecie, wielki Boże! Może to wszystko wariaci i on też, a chodzi tylko o to, żebym i ja - a wtedy wszystko będzie się zgadzało? Kiedy wszyscy są wariatami, nikt nie jest wariatem... Ale po co... po co?!

Spojrzałem na zegarek. Stał. Nawet on mnie zdradził. Zdarłem go z przegubu i wrzuciłem do muszli. Nie będzie mi już potrzebny. Wyłowia, zbadają chłopcy z Wydziału... Rozejrzałem się po łazience. Brzytwy nie było. Zabrał ją. Okradł mnie - ten prowokator. Co chciał sprowokować? O, wiedziałem już, wiedziałem! Doskonale! Tylko śmiało!

Wyszedłem, nuąc. Nucilem coraz głośniej. Mijałem przechodzących oficerów, uśmiechając się sztucznie. Wsiadłem do windy. Korytarz górnego piętra był bezładny. Tym lepiej. Tym gorzej. Wszedłem do gabinetu.

Był pusty, ani śladu Ermsa - podbiegłem do biurka, wyszarpnąłem szuflady i zacząłem wytrząsać ich zawartość na podłogę, na fotel, papiery latały wokół mnie szeleszczącą chmurą. Usłyszałem skrzypnięcie otwieranych drzwi, spojrzałem w twarz Ermsa, w jego rozszerzające się, błękitne oczy.

- Co pan? Ależ co pan...

- Ty lajdaku! - ryknąłem, rzucając się na niego. Upadliśmy w obłoku tajnych akt; dusiłem go i on mnie dusił, kopalem, gryzłem, lecz to nie trwało długo. Jakieś kroki zatupotały, ktoś ciągnął mnie za kołnierz, ktoś oblewał zimną herbatą z trzymanej wysoko szklanki, błądy roztrzęsiony Erms zbierał papiery z podłogi, w potarganym mundurze, pomagali mu inni, a ja, plując żdziebelkami sukna wygryzionymi z jego epoletów, z krzesła, do którego przyciskały mnie ręce stojących z tyłu, wykrzykiwałem chrypliwie:

- Koniec! Koniec! Zróbcie koniec, szubrawcy, zbrodniarze! Tak, namawiałem! Namawiałem szpiega! Namawiałem! Podżegałem! Zdradzałem! Przyznaję się! Rozstrzelajcie mnie! Katujcie! Zabijcie!!!

W otwartych drzwiach ukazywały się sylwetki przechodzących - żaden nie zwracał uwagi na moje wrzaski, próżno potęgowałem je do piania, aż kompletnie zachrypnięty, osłabły, oklapnąwszy na krześle, łapałem tylko dech jak ryba wyrzucona z wody. Ktoś podszedł do mnie z boku, zabielał tam długi fartuch, ktoś podciągał mi rękaw marynarki, spojrzałem w księżycową twarz za okularami, poczułem ukłucie wewnątrz łokcia, gorąca strużka wniknęła w głębię moich żył...

- Wio! - zawołałem gasnącym głosem. - Dziękuję, mordercy, dziękuję!...

Odzykiwałem przytomność powoli, etapami. Byłem ogromny. Nie w tym sensie, żebym się stał olbrzymem - ciało moje nie powiększyło się, ale ja sam, ten który to mówię i myślę, stałem się przestrzenią dorównującą tej, która mnie otaczała, a może nawet przewyższającą ją. Nie ruszałem nawet palcem, a jednak przestwór mego wnętrza panował nad miriadami pięter białego labiryntu, a ja, wtulony w ciepły kątek swego jestestwa, między potężnymi jego ścianami, z nieskończoną pobłażliwością rozpamiętywałem niedawne troski...

Powoli zmaląłem, uszczelniłem się i jakoś wróciłem. Czulem, że leżę na posłaniu twardym i niezbyt wygodnym; poruszyłem palcami - lepiły się do siebie, wspomniałem herbatę, którą mnie polewano - musiała być słodzona. Podniosłem głowę. Była dziwnie lekka i chodziła na szyi jak niedbale przykręcona. Dotknąłem czoła, twarzy, nareszcie, czując, jak krew odpływa mi niebezpiecznie z mózgu, usiadłem, opierając się o zimną, wykładaną kafelkami ścianę.

To nie była łazienka. Wpółsiadłem na obitej ceratą kanapce, raczej wysokiej, w pokoju długim a wąskim, z biało lakierowanymi krzesłami i parawanem w kącie; wystawał zza niego skraj niewielkiego biurka. Przy wezgłowie kanapki stał szklany słoik z lekarstwami i strzykawką, na wieszaku białe płócienn płaszcze czy fartuchy, obok nich - w małej szafce - lśniły chirurgiczne narzędzia. Gabinet lekarski - pomyślałem - i od razu stanęła mi przed oczami scena u Ermsa. Aha - to nie zamknęli mnie, tylko leczą? Może coś z tego będzie?

Zastanawiałem się pomału, ogłupiały jakiś, zajęło mnie na przykład, czemu na stoliku widzę tylko dziesięć buteleczek, podczas gdy ma ich być dziewiętnaście - choć zarazem wiedziałem, że to nie ma sensu.

Ktoś spojrzał na mnie sponad parawanu, mignął mi czubek głowy i błysk światła odbitego w okularach - poznałem doktora, który robił mi zastrzyk.

- Jak się pan czuje? - spytał, ukazując się w przejściu między ścianą a biurkiem.

- Dobrze.

Był w białym chalacie, nieduży, pulchny, żwawy, delikatny, z rumieńczykami. Miał czarne, inteligencją błyszczące oczy, grube rogowe okulary, dołek na podbródku i nos jak pyzaty guzik. W wycięciu białego płaszcza widziałem ładny, w groszki zielone krawat, zajrzawszy głębiej, gdy się zbliżył, dostrzegłem rąbki mundurowej bluzy. Zmroziło mnie to. Nie zauważył nic. Przysunął sobie mały taboret, postawił go obok kanapki, usiadł, wziął mnie za puls, liczył go czas jakiś, potem spojrzał mi w oczy.

- Jestem zdrow - powiedziałem, kiedy ujął w palce różową gumkę stetoskopu, wyzieraającego z górnej kieszeni płaszcza.

- Teraz już tak - odparł. Głos miał przyjemny, gładki. - Pan zapewne pamięta wszystko?

- Tak.

- Doskonale! To rokuje jak najlepiej. Przeżywa pan obecnie okres skomplikowany, niewątpliwie trudny - adaptacja, nowe środowisko, specyfika warunków pracy, nieprawdaż? Wiele rzeczy pana szokuje, nadto pieczęć tajemnicy, psyche nasza jest przekorna, ledwo dotknie czegoś obwarowanego zakazem, już by chciała to obalić wykrzyzczyć, zniszczyć nawet - reakcja jak najbardziej naturalna, aczkolwiek regulaminowo, hm, niewłaściwa... No, cóż... Pomożemy panu.

- Niby jak? - spytałem. Miałem na sobie spodnie i koszulę, trzewiki ktoś mi ściągnął, marynarka wisiała na ścianie, trochę krępowały stopy w samych skarpetkach, zwisające z brzegu kanapki.

- O, ależ pan jest człowiekiem inteligentnym, rozumnym... - powiedział z uśmiechem. Miał dołek na lewym policzku. - A co pociąga za sobą rozum? Sceptycyzm - też odruch naturalny. Cóż... nie jesteśmy wszechmocni, po prostu - jeśli pozwoli pan oczywiście - porozmawiamy sobie, prywatnie, swobodnie... A może chciałby się pan wpięrować? - wykąpać?

- A owszem - odpowiedziałem - cały się lepię od tej herbaty...

- Ach, nie będziemy teraz o tym mówić, powiem tylko, major prosił mnie o to, że doskonale pana pojmuje - i żadnych, rzecz prosta, konsekwencji służbowych nie będzie to miało...

- Co? - spytałem ponuro. Zamrugał powiekami.

- No, jakże, ta, nieprawdaż, scena... Pan się zdenerwował, uniósł - na skutek niepowodzeń pewnych - nie wiem naturalnie, o co szło, nie pytam też o nic - major prosił mnie jedynie, abym *przekazał* panu słowa otuchy. On naprawdę pana ceni, także prywatnie...

- Mówił pan coś o kąpielni... - przerwałem mu, poczynając zachowywać się nieco na modłę prowokatora z łazienki. Złazłem z kanapki, by stwierdzić, że czuję się zupełnie dobrze. Narkotyk, czy co też mi wstrzyknięto - ulotnił się bez śladu.

Lekarz przeprowadził mnie bocznymi drzwiami do łazienki. Powiesiłem ubranie i bieliznę w wysokiej a wąskiej, półokrągłej szafce, która się automatycznie zamykała, umyłem się cały, wziąłem gorący tusz, potem zimny i rozgrzany, odświeżony, w obszernym płaszczu kąpielowym, który znalazłem na krześle, otworzyłem szafkę z ubraniami. Była pusta. Nim jeszcze zdążyłem się przestraszyć, usłyszałem delikatne pukanie.

- To ja - rozległ się za drzwiami głos lekarza. - Czy może mi pan otworzyć?

Wpuściłem go.

- Zabrano mi ubranie - powiedziałem, stając przed nim.

- A tak... zapomniałem pana uprzedzić... pielęgniarka zaopiekowała się pana rzeczami... może guzik jakiś trzeba przyszyć, wyprasować to i owo...

- Rewizja? - rzuciłem flegmatycznie. Drgnął.

- Na miłość boską! Och, jeszcze ślady szoku - dokończył ciszej, jakby mówił do siebie. - No, nic. Zapiszę panu później proszki uspokajające i coś na wzmocnienie. A teraz chciałbym, za pozwoleniem, zbadać pana.

Dąłem się opukać i osłuchać. Potrząsnął głową jak tłuste żrebię.

- Doskonale, wybornie - powtarzał • - ma pan wspaniały organizm. Może pan włoży tymczasem ten płaszcz i przejdzie do mego gabinetu? Pielęgniarka przyniesie niebawem pańskie rzeczy. Tędy, tędy, proszę...

Przez korytarzyk, zastawiony piramidkami metalowych krzeseł, weszliśmy do pokoju ciemnego raczej, choć paliła się w nim duża lampa sufitowa: druga, w zielonym abażurze, stała na biurku. Czarne szafy, pełne grubych książek o złożonych tytułach, w okładkach ze skóry, też czarnej, podpierały ściany z trzech stron. Opoдал jednej znajdował się niski, okrągły stół ze stojącą na nim czaszką i dwa fotele.

Usiadłem. Ciemność szła od księgozbiorów za szkłem. Lekarz zdjął płaszcz, nie miał już pod nim munduru, lecz jasnoszare, skromne ubranie cywilne. Zajął miejsce po drugiej stronie stołu i jakiś czas patrzył na mnie z wyrazem pogodnego skupienia.

- A teraz - rzekł wreszcie, jakby usatysfakcjonowany oględzinami mej twarzy - może powie mi pan, co spowodowało pańskie uniesienie? Tu, w tych ścianach - wskazał oczami czarne rzędy książek - może pan mówić wszystko. Czekaj chwilę, a że milczałem, odezwał się znowu:

- Pan nie ma do mnie zaufania. To zrozumiałe. Zapewne tak samo reagowałbym na pańskim miejscu. A jednak - proszę mi wierzyć - dla własnego dobra winien pan, choćby przemocą, pokonać tę chęć przemilczenia. Proszę tylko spróbować. Najtrudniejszy jest początek.

- Nie o to chodzi - odparłem - nie wiem tylko, czy warto... Zresztą pan zaskoczył mnie, bo w tamtym gabinecie mówił pan coś innego: że nie chce nic wiedzieć o tym, co się stało.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział cicho, z dołeczkami - ale jestem przede wszystkim lekarzem. Tam nie byłem jeszcze zupełnie pewny, czy wrócił pan całkowicie do równowagi, i nie chciałem pobudzać pana nieopatrznie dotykaniem nader przykrych reminiscencji. Teraz co innego. Zbadałem pana. Wiem, że nie tylko mogę, ale powinienem to uczynić. Nie będę oczywiście nalegał, to *rzecz* dobrej pana woli. Czy gotów pan...

Nie dokończył.

- Dobrze - rzuciłem ze zniecierpliwieniem. - Niech będzie. Ale to długa historia.

- Na pewno - skinął głową. - Wysłucham jej chętnie. Cóż mi to ostatecznie szkodziło? Zacząłem opowiadać

od momentu, kiedy dostałem wezwanie, streściłem rozmowę z głównodowodzącym, historię Misji, instrukcji i późniejszych powikłań, mówiłem o staruszkach, oficerach i księdzu, nie pomijając też moich podejrzeń. Wylączyłem z nich tylko Ermsa. O tym, co zaszło później - o odkryciu śpiącego w łazience i osobliwej z nim rozmowie - opowiadałem już z roztargnieniem, bo uświadomiłem sobie, że pominięcie istotnego ogniwa, jakim było podpatrzenie Ermsa odrysowującego tajne plany, nadawało memu wybuchowi, a raczej atakowi na niego, znamię chorobliwości, usiłowałem więc odnaleźć w rozmowie z błędym szpiegiem jakieś

szczegóły, które, uwypuklone, rozdęte nawet, mogłyby choć w części usprawiedliwić skandaliczną awanturę, jaką wywołałem - lecz dla mnie samego nawet brzmiało to niezbyt przekonująco, czułem, że wkopuję się tym głębiej, im bardziej staję się rozwlekły, że moje tłumaczenia niczego nie tłumaczą, i wypowiadałem

ostatnie słowa w ponurym, do rezygnacji podobnym przeświadczeniu, że do wszystkiego, co mnie obciążało, dołączyłem, jakby nie dość było jeszcze owych ciężarów, poszlaki wskazujące na moją nienormalność. Lekarz nie patrzył na mnie, gdy mówiłem. Parokrotnie unosił delikatnie czaszkę, która, jak przycisk, spoczywała na papierach stołu, i przestawiał ją, tak że raz stała bokiem, a raz patrzyła na mnie oczodolami - i tak już została, gdy skończyłem. Osunął się wówczas w głąb swego fotela, splótł ręce i odezwał się swym miłym, ścisłym głosem:

- Jeśli dobrze widzę, ośrodkiem krystalizacji całego pana zwątpienia w powagę i rzeczywistość Misji jest owa niezwykła ilość zdrajców, jakich pan przypadkowo jak gdyby napotkał... w bardzo krótkim czasie. Prawda?

- Można by to tak ująć - odparłem. Już ochłoniłem nieco z wrażenia, że wydałem się w jego ręce - i przez chwilę patrzyłem w puste oczodoły czaszki, która stała przede mną schłodna, słabo błyszcząca kościaną gładkością.

- Powiedział pan, że ów staruszek był zdrajcą. Czy sam pan tego doszedł?

- Nie. Oświadczył mi to ów oficer, który się zastrzelił.

- Oświadczył... i zastrzelił się. Pan to widział?

- No, tak, to znaczy - słyszałem strzał w przyległym pokoju, łoskot, gdy padał, i przez szparę zobaczyłem jego nogę... bucik.

- Aha. Poprzednio zaś został zaaresztowany oficer instrukcyjny, który panu towarzyszył. Wolno spytać, jak wyglądało to aresztowanie?

- Podeszło do nas dwu oficerów, odwołali go i mówili z nim - nie wiem co. Nie słyszałem. Potem jeden odszedł z nim, a drugi udał się ze mną.

- Czy ktoś powiedział panu, że to było aresztowanie?

- Nie...

- Więc właściwie nie mógłby pan na to przysiąc?

- No nie, ale okoliczności... zwłaszcza po tym, co stało się później, uznałem, że...

- Powoli. O staruszku powiedział panu oficer. O tym, że i on z kolei jest zdrajcą, przekonał pana huk wystrzału i dostrzeżony w szparze rąbek jego buta. O poprzednim instrukcyjnym wie pan tyle, że został odwołany. Wypadki te są co najmniej niejasne - żeby nie powiedzieć więcej. Kto jeszcze nam pozostał? Prawda, ów błady szpieg... ale pan znalazł go śpiącego, w łazience?

- Tak.

- Cóż by robił w tej łazience po sfotografowaniu tak ważnych akt? Przecież nie udawałby się na spoczynek do wanny. Pan wszedł tam zresztą - drzwi nie były zatem zamknięte?

- Rzeczywiście. Nie, nie były.

- I czy pan w dalszym ciągu jest przekonany, że ci wszyscy ludzie - to zdrajcy?

Milczałem.

- A widzi pan! To konsekwencja pochopności, wiodącej do błędów rozumowania.

- Przepraszam - przerwałem mu - powiedzmy, że to nie byli zdrajcy, ale wobec tego czym tłumaczą się wypadki? Czym były? Teatrem? Odegranym przede mną widowiskiem? Po co? W jakim celu?!

- Ba! - powiedział, uśmiechając się samymi doleczkami. - Tego już nie wiem. Być może, zamierzano uczynić pana odpornym na zdradę, zaszczepiając ją panu w mikroskopijnych dawkach. Przecież, na upartego, nawet Erms mógłby, kto wie, uczynić coś, co wydałoby się panu podejrzanym, niezrozumiałym, ale jego nie uznałby pan chyba przez to za zdrajcę? Co? A... może jednak?

Patrzył na mnie bystro. Jak lodowate miał oczy w tej okrągłej, dobroniusznej twarzy...Nie czekał na moją odpowiedź.

- Pozostaje nam jeszcze orzech do zgryzienia, najtwardszy bodaj, mam na myśli instrukcję. Była oczywiście szyfrowana. Czy pan przejrzał ją na tyle dokładnie, aby orzec z całą pewnością, że przedstawiała spisany od pierwszej chwili pański los? Wszystkie kolejne poruszenia i myśli?

- No, nie - powiedziałem z ociąganiem. - To było niemożliwe. Rzuciłem tylko okiem na parę wierszy. Było tam coś o białych ścianach i szeregach korytarzy i drzwi, o poczuciu zagubienia, osamotnienia, które bardzo mi dolegało. Te zdania - nie pamiętam ich dosłownie - jakby mi ktoś wyjął z ust...

- I to było wszystko, co zdołał pan przeczytać?

- Tak. To znaczy - od czasu do czasu ludzie, z którymi się stykałem, robili pewne aluzje do moich przeżyć, nawet do myśli, na przykład szef Wydziału Szyfrów, Prandtl. Mówiłem już o tym.

- Ale on dał panu tylko próbkę szyfru, jako... jako rodzaj eksponatu, jako pewien przykład?

- Tak to wyglądało, ale zawierała przecież odpowiedź na moje pomyślane pytanie.

- A czy wiadomo panu o tym, że ludzie przesądni w krytycznych sytuacjach życiowych usiłują odnaleźć wskazówkę dla kształtowania swego losu, więc jakby przepowiednię, na chybił trafił otwierając Biblię?

- Owszem, słyszałem o tym...

- Ale nie wierzy pan, że to może pomóc?

- Nie. Kartki otwiera ślepy traf.

- A czy i to nie mógł być ślepy traf, przypadek?

- Za dużo było tych przypadków... - mruknąłem niechętnie.

Nie wierzył mi. Nie mogłem przekazać mu, poza nędznym streszczeniem faktów, całej aury demonicznej, jaką z sobą niesły: jednoczesnego poczucia bzdury i doskonałości. Lekarz uśmiechał się łagodnie.

- To, co mi pan opowiedział - rzekł - to na pewno nie były zwidy, omamy ani halucynacje. Jedyne pochoć, niecierpliwość, pośpieszna chęć zrozumienia wszystkiego od razu, odgadnięcia, co panu przeznaczone, czego od pana chcą. Przypuszczam, że pragną tu wyrobić w panu bystrość, wszechstronność obserwacji, czujność, wrażliwość na szczegóły pamięć, zmysł krytyczny, owo intelektualne sito, oddzielające ziarno od plew, i wiele innych właściwości i cech, niezbędnych w wykonaniu tego, co pana jeszcze czeka. Tak więc nie byłaby to, jak ją pan nazwał, próba, lecz raczej trening, a trening, zwłaszcza nieco forsowny, może doprowadzić do przemęczenia, co właśnie stało się w pana wypadku.

Milczałem, zapatrzony w oczy czaszki. Byłem pusty i było mi wszystko jedno. Poza tym uśmiechał się zbyt serdecznie.

- Przepraszam za ten, nie uprzedzony moim wyjaśnieniem, incydent z ubraniem - podjął, promieniając życzliwością - pielęgniarka właściwie powinna dawno już przynieść je, przypuszczani, że lada chwila...

Nie przestawał mówić, a we mnie coraz natrętniej tknęła się niewyraźna jakaś, bezsłowna myśl, której - czułem - nigdy bym się nie odważył wprost wypowiedzieć.

- Czy macie panowie... e... oddział dla nerwowo chorych? - spytałem zniecierpliwionym. Mrugnął za okularami.

- Proszę pana, oczywiście, że mamy - odrzekł pobłażliwie - mamy i szpitalik umysłowy, ale to ledwo parę łóżek... Interesuje się pan tym? No cóż, powiadają, że przez szaleństwo duch epoki gada, że to stężone extractum mil-lenii, ale w tym jest dużo przesady... chociaż, jeśli by pan zamierzał przeprowadzić jakieś obserwacje, studia, nie będę się bynajmniej sprzeciwiał, przecież nie musi pan nas wcale szybko opuszczać...

- Mam zostać?!

- To byloby wskazane, naturalnie, na pewien czas. Chociaż, rzecz prosta, w żadnej mierze nie zatrzymuję.

- Pan podejrzewa u mnie?... - zacząłem spokojnie. Poderwało go. Dolki znikły bez śladu.

- Ależ skąd! Nigdy w świecie! To przepracowanie, sforsowanie!! Na dowód gotów jestem zaprowadzić pana ad altarem mente captorum. Co prawda obecnie jest ledwo garstka pacjentów, sprawy raczej banalne, ot, catatonii provocativa, no, i tam takie natręctwa residualne, tiki, typanie przymusowe, rozszczepienie jaźni na wtyczki, dręczka wielowiadownicza, przypadki książkowe tylko, więc nudne raczej - gadał jak najęty - od niedawna mamy pewien ciekawy, trójosobowy syndrom, rzadki casus, tak zwaną folie en trois - sprzężenie troiste, to jest Dreieiniger Wahnsinn, czyli The Compound Madness autorów zagranicznych - dwu, co się stale nawzajem demaskują, a trzeci gryzie się po nogach i rękach, żeby nie zająć stanowiska. Więc on, nieprawdaż, to jest reservatio mentalis, tyle że uwikłana... Tak. Ponadto może zainteresowałaby pana mania autopersecutoria, to jest obłąd samoprzesłuchiwania się - chory poddaje siebie krzyżowym pytaniom, nieraz i czterdzieści godzin bez przerwy, aż do głębokiego omdlenia... No i na koniec była jeszcze, jako ciekawostka, auto-krypsja...

- Tak? - rzuciłem obojętnie.

- Chory schował się we własnym ciele - wyjaśnił doktor z okrągłymi rumieńcami podniecenia - i zredukował swe samopoczucie do tego stopnia, że ma się za młoteczek - ta kosteczka w uchu, wie pan - a całą resztę, wszystkie części ciała, ma za nasłane... W tej chwili oprowadzić pana, niestety, nie mogę... mam obchód na drugim oddziale... ale i tak zechce pan poczekać, aż siostra przyniesie ubranie. Może pan skorzysta tymczasem z mojej biblioteki? Proszę się pocierpliwieć... bardzo proszę...

Stałem, wyprostowany, obok fotela, nieswój w zbyt obszernym płaszczu kąpielowym, którego figlarne barwy nieco mnie drażniły. Lekarz podszedł do mnie, podał mi ciepłą, mocną, choć pulchną dłoń i rzekł:

- Będzie dobrze. Mniej uprzedzeń, więcej prostoty, odwagi - a będzie dobrze, zobaczy pan.

- Dziękuję - wybałem.

Ponawiając uśmiech, ręką dał mi jeszcze od drzwi znak otuchy i wyszedł. Czekałem jakiś czas, stojąc, że jednak pielęgniarka z ubraniem jakoś nie przychodziła, wróciłem do stolika i przyjrzałem się zwróconej w moją stronę czaszce. Była szczególnie mocno uśmiechnięta, z kompletem białych, długich zębów. Wziąłem ją, nieco bezmyślnie, do ręki i parę razy klapnąłem dolną szczęką, umocowaną na sprężynkach. Z boków, na skroniach, były przyśrubowane haczyki - cały wierzch, odpilowany równo, zdejmował się jak przykrywka. Nie odemknąłem haczyków, bo taka, jaka była, pełna, kulista, bardziej mi jakoś odpowiadała. Musiano ją macerować nadzwyczaj starannie - lśniła jakby powleczone najcieńszą warstwą tłuszczu, ale połysk był suchy. Śliskość wyczulbyłem dotykem.

Bardzo ładnie przedstawiały się frędzlisto ząbione z sobą, schodzące się dokładnie ciemieniowe kości sklepienia. Podstawa żnów, odwrócona, przypominała nieco krajobraz księżycowy mnóstwem większych i mniejszych kościastych gruzów i wyrw, pagórków, iglic, z obwałowaną, wielką jak krater, dziurą pośrodku - • miejscem przytwierdzenia do kręgosłupa. - Ciekawe, gdzie jej kręgosłup - pomyślałem i usiadłem przed nią z rozpostartymi szeroko na stole łokciami. Siostry wciąż jeszcze nie było.

Myślałem o tym i owym - o pewnym człowieku, który, jak słyszałem, zachorował na szkielet, na swój własny szkielet, to znaczy bał się go okropnie, nie mówił o nim i starał się nawet nie dotykać siebie, żeby nie wyczuć czekającej wyswobodzenia twardości pod miękką powłoką - • i o tym, że kośćce to dla nas symbol śmierci, plakatowe ostrzeżenie i nic więcej; dawniej, przed wiekami, w albumach anatomicznych szkielety nie stały w nienaturalnie wymuszonej pozycji na baczność, lecz pokazywano je w pozach pełnych życia: jedne pisały, inne, ze skrzyżowanymi lekko piszczałkami, wspierając się na kościanej garści, dotykały szpicem łokcia sarkofagu i kierowały pilne bądź smętne spojrzenia oczodolów w obserwatora, a pamiętałem nawet pewną drzeworycinę z dwoma wdzięczącymi się - jeden był wyraźnie wstydlivy!

Ale ta czaszka była zupełnie współczesna - aż promieniowała czystością, doskonale higieniczna, wymyta, bardzo smukłe były balustradki kości policzkowych, tworzące rodzaj malutkiego balkonika pod każdym oczodołem, zięjąca dziura zamiast nosa depymowała odrobinę, ale tylko jako pewien defekt, nie zretusowane

kalectwo, za to uśmiech - w nim nie czuło się wcale braku warg, żadnego braku w ogóle, zmuszał do zastanowienia. Podniosłem ją, połuściłem w rękę, kość miała solidny ciężar, popukałem w nią zgiętym palcem i *naraż*, szybko, mrużąc powieki, przyłożyłem do nosa. W pierwszej chwili poczułem tylko kurz, niewinny, laskoczący, ale przemknął w nim kreto jakiś śladzik, coś tam było, więc bliżej, gdy *nozdrza* moje dotknęły zimnej powierzchni, wciągnąłem gwałtownie powietrze - tak! tak! cuch, cuszek raczej, jeszcze raz i, o, zdrado!!!

Zionęło zgnilizną, wydającą nieprawe pochodzenie. Węszyłem, jak pijany, mord, który krył się za smukłą bla-dożółtawą elegancją, krwawą dziurę, z której została wylupiona, powąchałem jeszcze raz: polysk, schludność, biel - wszystko było oszustwem. Co za wstręt! Jeszcze raz powąchałem, chciwie, ze strachem, rzuciłem ją na stół i zacząłem gwałtownie wycierać wargi, nos, palce ręką kąpielowego płaszcza, a już ciągnęło mnie do niej na powrót, och, jak ciągnęło...

Weszła siostra, bez pukania, ze złożonym starannie w kostkę, wyprasowanym, jak nowym, ubraniem, koszulą, położyła wszystko na stoliku, obok czaszki. Podziękowałem jej. Skinęła sztywno głową i wyszła.

Ubierałem się w łazience, przy półotwartych drzwiach, i mogłem przez krótki, pusty korytarzyk - bo i drzwi pokoju były uchylone - w każdej chwili dojrzeć czaszkę. - Piękności moja! - myślałem. Godzinami mógłbym się w nią wpatrywać, taki to był błogi wstręt, podniecający i ohydny po tym, co odkryłem. Aż mię jakaś strach-liwość oblatywała, nie przed czaszką, naturalnie, przed sobą, bo i czego się w niej wreszcie doszukiwałem? Ot, wygotowana solidnie kość - kocha. Co mi ją tak uprzyjemniało, że bym patrzył i nawet znowu wąchał, że wstrętem coraz większym, nie mogąc się oderwać? Zguba tego człowieka, z którego ją wyjęto? Nie miał przecież nic wspólnego z tą swoją pośmiertną bibelotowością przycisku do papierów, a zresztą w ogóle mnie nie obchodził. Sprawa niejasna, w każdym razie lepiej już rozumiałem, dlaczego dawniej, bardzo dawno temu, pito wino w kalotach. Smaku dodawały. Rozmyślałbym jeszcze tak długo, lecz poprzez korytarzyk usłyszałem skrzypnięcie drugich, na główny korytarz wiodących drzwi lekarskiego gabinetu. Przymknąłem te od łazienki, zapiałem szybko ostatni guzik, sprawdziłem w lustrze twarz i powoli, z wahaniem, wyrzalełem.

W pokoju znajdowali się dwaj ludzie w kolorowych pidżamach. Jeden, o włosach niejednostajnie rudych, jakby farbowanych i miejscami wypelzłych, stojąc do mnie tyłem, odczytywał z przekrzywioną głową tytuły na grzbietach książek; drugi, krępy, z opuchłymi powiekami koloru mocnej herbaty, siedział przy stoliku z czaszką i mówił:

- Zostaw. Daj pokój. Znasz już na pamięć. Wszedłem do gabinetu. Siedzący spojrzał na mnie przelotnie. Szyję miał białą i obwisłą, wbrew smagłej zużytej twarzy.
- Zagra pan? - spytał, wyciągając z kieszeni buraczkowej pidżamy malutki kubek, z którego, po odkręceniu, wysypały się na stół kostki.
- Nie wiem, o co - zawahałem się.
- No, jak zawsze, o gwiazdy... Kto wygrywa, ten nazywa, zgoda?

Mieszał już kości, grzechocząc.

Nic nie powiedziałem. Wyrzucił je i zliczył punkty: jedenaście.

- Teraz wy, kolego.

Podał mi kubek. Potrząsnąłem nim i rzuciłem kości - wypadły dwie dwójki i czwórka.

- Moja! - powiedział z zadowoleniem. - No to... niech będzie Mallinfor! Taka dobra, jak *każda* inna!

Tym razem wyrzucił trzynastkę.

- Hę, jednego oczka mi zabrakło - powiedział z krzywym uśmiechem. Cisnąłem kości, nie mieszając. Dwie piątki i szóstka.
- Fiu... fiu - powiedział. - Słuchamy...
- Nie wiem - mruknąłem.
- No, śmiało!
- Admiradiera...
- Wysoko mierzycie! Dobra, teraz ja...

Wyrzucił siedem. Przyszła moja kolej. Wypadły mi dwie piątki, trzecia kostka stoczyła się ze stołu i poleciała aż do stóp tego, który, wciąż odwrócony, oglądał bibliotekę.

- Co tam, krematorze? - spytał, nie ruszając się z miejsca, mój partner.
- Szóstka - rzucił ów, ledwo zerknąwszy na podłogę.
- Szczęściar! - ukazał źle utrzymane zęby siedzący. - No? Niech pan korzysta!
- Gwiazda - zacząłem.
- Ależ nie! Szesnastka! Cały układ!
- Układ? Układ - Staruszka Złotoockiego - powiedziało mi się.

Wydało mi się, że spojrzał na mnie szczególnie, z latającą jak motyl powieką; tymczasem podeszedł do nas tamten ze słowami;

- Chowajcie to, doktor idzie, nie ma sensu grać.

Wymowę miał z lekka zająkliwą, w twarzy starej wieiórki, z wystającymi siekaczami, z rudym, jak pędzelek, wąsikiem, bezbarwne oczy w cięciach głębokich zmarszczek.

- Nie znamy się. Pozwoli pan? - podał mi rękę. - Semprią, starszy kremator. Semprią przez „ku”, panie...

Odmruknąłem swoje nazwisko; siedzący spytał:

- I gdzież ten twój doktor? Potrząsał wciąż kościanym kubkiem.
- Zaraz przyjdzie. Pan na ambulatoryjnym leczeniu?
- Tak - powiedziałem.
- My też. Prosto z pracy tu, żeby czasu nie tracić. Pewna wygoda w tym jest, nie zaprzeczysz. Ma pan przy sobie lusterko?
- Przestań - wtrącił siedzący, ale Semprią nie zważał na niego.

- Zdaje się, że powinienem gdzieś mieć - obmacałem kieszenie i podałem mu małe, kwadratowe lusterko z polerowanego niklu, odrobine już porysowane i ściemniałe od noszenia. Obejrzał się w nim uważnie, wyszczerzył z bliska spróchniałe zęby, grymas za grymasem wycinał, jakby starał się wychwycić to, co ma w twarzy najbrzydlivszego.

- Hem... hem - powiedział z satysfakcją - trups. Dawno się już tak nie postarzałem! Fizys, że daj ją katu!

- Pan zadowolony z tego? - rzuciłem pytanie.

- Myślę! Zobaczyć go nie zobaczę, to przynajmniej...

- Kogo pan nie zobaczy?

- Prawda, że pan nie wie. Brata. Brata mam bliźniaka, na Misji jest, za lata go nie zobaczę, a zaskórzył mi, jak mógł, to przynajmniej w lusterku lubię jego biedę pooglądać. Ząb czasu, panie...

- Przestań - powtórzył gruby z wyraźniej szyna już odcieniem niezadowolenia.

Przypatrzyłem im się. Sempriaą, choć drobny, z zapadłą piersią, miał z tamtym coś wspólnego - byli do siebie podobni jak dwa różne, ale jednakowo zniszczone ubrania, wyglądali na postarzałych przy biurku urzędników: co w jednym zeschnięło i pomarszczyło, w drugim obwisło, pofałdowane i zmięte. Sempriaą starał się widocznie zadawać szyku: to odstawionym małym palcem z długim paznokciem musnął rudego wąsa, to odruchowo chciał poprawić kołnierzyk, ale ręka ześliznęła mu się po zabruź-dzonej, gołej szyi - bo był w pidżamie trawiastozielonej, szytej srebrną nitką.

- To pan na kuracji, co? - próbował nawiązać przerwana rozmowę. - To wybornie, wybornie... hę, hę... czego człowiek nie robi dla zdrowia.

- Zagramy? - przez nos spytał gruby.

- Fi! W kości? - dmuchnął przez wąs kremator. - Tanie... Wymyśl co innego.

Ktoś zajrzał do pokoju przez szparę nie domkniętych drzwi. Błysło w niej oko, potem opustoszała.

- Naturalnie. Barran. Zawsze musi po swojemu - burknął gracz w kości.

Drzwi otworzył się. Wszedł, szastając nogami, wysoki nadzwyczaj, aż lamiwie chudy człowiek w prążkowanej pidżamie, przez lewą rękę miał przerzucone ubranie, w prawej trzymał wypchaną teczkę, z której wystawał termos. Nos sterczał mu, *zalamany* niczym szylet, do wtóru z kanciastą grdyką. Błede, bezbarwne, pełne łez oczy miały wyraz nieprzytomnego trochę zapatrzenia, co kontrastowało dziwnie z jego żywością - bo od progu już wołał:

- Czołem, koleżeństwo! Czołem! Doktor nie przyplynie prędko. Szef go powołał, hallali!

- A co? Atak? - obojętnie spytał gruby.

- Coś tam miał. Opadnięcie myśli, hę, hę. Zanudziłibyśmy się tu czekaniem. Chodźcie, wszystko gotowe! Cacy!

- Barran. Naturalnie. Bibka. Znowu bibka - mruczał niechętnie gruby, ale wstawał już z krzesła. Kremator dotknął wąsika.

- A sami będziemy?

- Sami. Jeszcze aspirancie - od honorów domu nale-wajło, hę, hę, junior, to się zwija! Bateria gotowa! Idziemy!

Przestąpiłem z nogi na nogę, pragnąc się wycofać, gdy przybysz skierował na mnie załzawione oczy:

- Kolega? Nowy? - zagadnął szybko łamiącym się głosem. - Jakże nam będzie lubo! Zastrzyk, hę, hę, małučki zalewantus! Prosimy nadobnie z nami!

Jąłem się wymawiać, lecz nie słuchali nawet. Wzięli mnie z krematorem pod ręce i tak, między buraczkową a fioletową pidżamą, w pertraktacjach, przekomarzaniach - bo wciąż jeszcze protestowałem z lekka - wyszliśmy na korytarz, korytarzyk raczej, tym ciaśniejszy, że połowa drzwi była weń uchylona, zagradzając drogę. Tęgi amator gry w kości, idąc przodem, rozdzielał uderzenia to w lewo, to w prawo, drzwi zatrzaskiwały się, a wywołany tym huk, rozbrzmiewając po całym piętrze, towarzyszył naszemu i tak aż nadto pełnemu hałasowi pochodowi. Zamek jednych drzwi nie zaskoczył i otworzył się z roznachem na powrót, ukazując salę tłoczną od starych kobiet w salopkach, woalkach i płaszczach przydługich. W przejściu owionął mnie ich, w jedno zlewający się, kłótniwy gwar.

- A to co? - rzuciłem, zaskoczony. Szliśmy już dalej.

- To składy - rzucił idący za mną kremator. - Tam - zbiornica ciotek. Tędy, tędy - tkał mnie palcem w plecy. Czulem wulgarną woń jego brylantyny, zmieszaną z zapachem atramentu i mydła.

W grubego na przedzie wstępował nowy duch. Już nie szedł, ale kroczył, wymachiwał rękami, poświstywał, przed ostatnimi drzwiami poprawił na sobie pidżamę, jakby była frakiem, chrząknął szarmancko i rozwarł z impetem oba skrzydła, aż mu klamka wyskoczyła z ręki.

- Proszę w niskie, najniższe progi!

Certowaliśmy się chwilę, kto ma wejść pierwszy. Pośród nagich ścian - tylko wielka, staroświecka szafa stała w bliskim kącie - stał duży, okrągły, śnieżystym obrusem przykryty stół, cały zastawiony butelkami o błyszczących główkach i półmiskami jadła; naprzeciw, w głębi, przy zwalonych stosie drewnianych krzesłach, jakie widuje się w restauracjach ogrodowych, krzątał się młodzieńiec o nadzwyczaj bujnej czuprynie, także w pidżamie; rozkładał skrzypiące przeraźliwie krzesła, odrzucając co bardziej chwiejne. Gruby rzucił mu się na pomoc, chudy inicjator tej niezwyklej uroczystości, o nazwisku, jeśli się nie pomyliłem, Barran, ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, niby wódz ze swego pagórka przed bitwą, objął wzrokiem wszystko, co dźwigał na sobie stół.

- Przepraszam - powiedział ktoś z boku. Usunąłem się przed uśmiechniętym młodzieńcem, który pod pachami i w obu rękach niósł flaszki wina. Pozbywszy się swego brzemienia, wrócił, aby się przedstawić.

- Klappershlang - uściśnął mi z szacunkiem dłoń. - Aspirant... od wczoraj... - dodał z nagłym rumieńcem. Uśmiechnąłem się do niego. Mógł mieć najwyżej dwadzieścia lat. Krucze włosy gęstwiły mu się nad bladym czołem, aż przed uszy zachodząc ostrymi kosmykami, niczym breloczki.

- Proszę koleżeństwa! Na miejsca! - obwieścił, zacierając ręce, Barran.

Jeszcześmy nie zasiedli, jak należy, na potrząskujących niebezpiecznie krzesłach, a już nalał nam wprawnie i z łakomym uśmieszkiem, który przesunął mu twarz w lewo, wzniosł kielich z okrzykiem:

- Panowie!! Gmach!!

- Aaach!! - huknęło jak z jednej piersi. Stuknęliśmy się i wypili. Alkohol o nieznanym smaku gorzał mi powolnym płomieniem w piersi. Barran znów nalał wszystkim, powąchał kieliszek, mlasnął, krzyknął: - Do pary!! - i wychylił duszkiem. Kremator, rozwalony na krześle, zjadał się kanapkami i wypluwał kunsztownie pestki z ogórka, starając się trafić w talerzyk młodzieńca. Barran wciąż dolewał. Zrobiło mi się gorąco. Nie czulem wódki, a tylko wraz z całym otoczeniem wstępowałem w gęsty, świetliście drgający płyn. Ledwo napelniono kieliszki, już trzeba było je wychylać - jakby im się paliło, jakby lada chwila coś miało przerwać tę tak nagle zaimprovizowaną biesiadę. Dziwne też wydawało mi się nadzwyczajne rozochocenie tych ludzi, nie usprawiedliwione kilkoma ledwo kolejkami.

- Co to za tort? Prowanski? - pytał pełnymi ustami gruby.

- Hę hę... prowokancki - odrzucił mu Barran. Kremator zaśmiewał się, plótl, co mu ślina na język przyniosła, pogaduszki, docinki, pijackie powiedzonka latały tylko w powietrzu.

- Twoje zdrowie, Barranino! I twoje, trupisto! - ryczał gruby.

- Tanatofilia to pociąg do śmierci, nie do umarłych, ignorancie! - odciął mu się kremator.

Rozmowa stała się rychło niemożliwa. Nawet krzyki ginęły w ogólnym chaosie. Toast szedł za toastem, wiwat za wiwatem, pilem tym chętniej, że koncepty i żarty współbiesiadników wydawały mi się nad wyraz płaskie, zapijałem więc własne obrzydzenie i niesmak; Barran, zanosząc się falsetem pod swój wrzaskliwy śpiew, demonstrował kroczącymi po serwecie, lubieżnie wyginanymi palcami taniec upojonej pary, kremator to chlał wódkę szklanką, to całymi ogórkami ciskał w młodzieńca, który się nawet nie bardzo uchylał, gruby zaś ryczał jak bawół:

- Hulaj dusza! Hejże hola!!

- Hulaj!

- Hejże ha!! - odwrzaskiwali mu.

W pewnej chwili skoczył na równe nogi, zatoczył się, zerwał z głowy perukę i, cisnąwszy ją na ziemię, obwieścił z błyszczącą potem, obnażoną nagle łysiną:

- Jak hulanka, to hulanka! Koleżeństwo! Gramy w zasadzki!

- W zasadzki!

- Nie, zgadywanki!

- Hi, hi! Ha, ha! - rzeli jeden przez drugiego.

Za uczucia nasze bratnie! Za ten oto szczęścia tan!! - wołał, całując się po rękach, kremator.

- A ja za powodzenie... ku... kuracji... za doktorka... koleżeństwo kochane! Nie zapominaj o dok... torku!! - sko-wyczał Barran.

- Szkoda, że nie ma panienek... ucielibyśmy sobie płasza...

- Ech! Panienki! Ech! Grzech! Słodkie różnostki!

- Maszerują szpiedzy, maaa-szeee-ruuuja! - wył, nie zwracając uwagi na nikogo, gruby, *naraz* urwał, czknął, potoczył po nas przekrwionym okiem i oblizał się, pokazując spiczasty, maleńki, dziewczynkowaty jakiś język.

Co ja tu robię? - myślałem z przerażeniem. - Jakże ohydne jest to urzędnicze, podrzędne pijaństwo ósmej rangi... Jak oni silą się na polot...

- Pa... nowie!! Za klucznika! Za ja... nitora naszego! Wiwat kremator! Wiwat hulancja!! - wołał ktoś cienko spod stołu.

- - Tak jest! Niech żyje!

- Duszkiem go!

- Ciurkiem!

- Sznurkiem!

- Ogórkem!! - wrzeszczał nieskładny chór. Żał mi się robiło młodzieńca - jakże karczemnie go spijali, dolewając bez przerwy! Gruby z nabiegłą, poczerwieniałą, jakby miała pęknąć, łysiną - - tylko flaczasta szyja białała mu nienaturalnie - zadzwonił w szkło, a gdy to nie pomogło, prasnął butelką o podłogę. Dźwięk roztrzaskanego szkła spowodował momentalną ciszę, w której usiłował przemówić, dźwigając się na rękach, ale krtań zatykał mu kotłujący się śmiech, więc tylko trzepoczącymi dłońmi dawał znaki, żeby czekać, aż rozdarł się:

- Hulancja! Towarzyska gra! Zagadki!!!

- Dobra! - ryknęli. - Bierz go! Huzia! Kto pierwszy?!

Heej, tam na równinie... stoi chata w śnieguuu... Heeej, ukochaj mnie mocnoo... mój malusi śpię... guu!...

- zanosił się Barran.

- Panowie... Braci droga... - usiłował przekrzyczeć go gruby - numer jeden: kto widział instrukcję?

Odpowiedzią była salwa śmiechu. Zadrzałem, patrząc na podskakujące kadłuby, rozdziawione gęby, kremator i młodzieniec łkali, ten ostatni pisnął:

- Ucho od śledzia!

I znowu chwiejnie niesione kieliszki ze szklanym brzękiem zeszyły się w wieniec nad obrusem. Rozanielony kremator już wnętrza swych dłoni okładał namiętynymi

pocalunkami, Barran, siedzący przy mnie, chlusnął wódką w gardło - zauważyłem, że dźgnął się przy tym brzeżkiem szkła w nos, który nie odgiął się, ale został już taki, wgnieciony środkiem. Nawet tego nie zauważył. Widać woskowy - pomyślałem, ale nie zrobiło to na mnie wrażenia. Gruby, któremu było coraz goręcej, obnażył się do połowy, zarzucając kurtkę pidżamową na ramiona, i siedział świecący potem na gęstych włosach, wstrętny i tłusty, nareszcie odpiął i uszy.

- Bo to jest święto szpiegostwa! Święto szpiegostwa! Święto szpiegostwa! - zaczęli nagle śpiewać na dwa głosy Barran i młodzieniec, któremu całkiem błędnie już pływały niebieskie oczy. Odrywając się od całowanych rąk, kremator przyłączył się do nich w refrenie:

- Więc chwytasz te akta! I czytasz te akta! I lykasz te akta!!!

- Panowie... zgadywanka numer dwa: co to jest małżeństwo?! - huczał rozebrany obleśnie apoplektyk. Wyglądał jak owłosiona kobieta. - To najmniejsza komórka szpiegowska - odpowiedział sam sobie, bo nikt go nie słuchał.

Czerwone, wrzeszczące twarze kołysały mi się we wzroku. Zdawało mi się, że Barran daje, strzygąc uszami, jakieś porozumiewawcze znaki krematorowi, ale to mi się chyba przywidziało: obaj nazbyt byli podchmieleni. Sem-priaą porwał nagle cudzy kieliszek, wychylił go, palnął nim o podłogę i wstał. Wódka ze śliną ściekała mu po rudym wąsie.

- Aleś spiękniał! - wołano do niego. - Panowie! Uwaga! Oblicze wyższej rangi! Awans, awans mu należy!

- Milczcie!!! - zapiał, blednąc straszliwie, kremator. Zataczał się, nie mógł odzyskać równowagi, więc rozstawionymi szeroko rękami oparł się o stół, odchrząknął i szczerząc wiewiórcze zęby, z twarzą oślepioną łzami, zaintonował:

- O! Młodości moja! Święte dzieciństwo moje i ty, domu ojczystych stron! Gdzież wy! Gdzież ja, dawny, pradawny... Gdzie rączki moje maleńkie, z paluszkami różowiotki-mi, maciupenkimi, z paznokietkami słodkimi... Ani jeden nie został mi! Ani jeden... Żegnajcie... Glistam... nie: glizdam...

- Przestań!! - rzucił szybko Barran. Węszył coś płaskim swym, ogromnym nosem. Zmierzył oczami siedzącego przy sobie młodzieńca i przykładając mu do ust szyjkę pełnej butelki, syknął:

- Ty nie słuchaj jego słów! Przytrzymał mu głowę.

Przymuszony opróżniał szybko flaszkę. Bulgot, jaki tym sprawiał, był jedynym dźwiękiem w zaległej martwo ciszy.

Kremator zmruczonymi oczami obserwował opadający poziom płynu, chrząknął i podjął:

- Azali odpowiadam za rękę moją nieporęczną? Za nochal? Paluch mój? Pienny ząb? Za grzyb mój? Za bydlę moje? Trwam oto przed wami, zgwałcony istnieniem...

Urwał, bo stało się coś dziwnego. Oto chudy, odejmując opróżnioną butelkę od ust młokosa, który leciał mu przez ręce, rzekł trzeźwym, spokojnym głosem:

- Wystarczy.

- E? - mruknął apoplektyk. Pochylił się nad wół-leżącym, odcignął mu kolejno powieki i zazierał do źrenic. Jakby usatysfakcjonowany rezultatem tych oględzin, puścił niedbale ciało, które stoczyło się z łoskotem pod stół, skąd wnet słyszeć się dało ciężkie, narowiste chrapanie.

Kremator usiadł wówczas, otarł sumiennie czoło i twarz chusteczką, wąsy poprawił, inni też poruszyli się, zachrząkali, zakrzętałi...

Patrzałem wkoło, nie wierząc własnym oczom. Bar-wiczka schodziła, odkładali na talerzyki brwi, myszki, a, co dziwniejsza, oczy wyprzejrzyściły im się, czoła porozum-niały, z twarzy zesza urzędnicza rozpusta. Chudy (nazywałem go tak dalej, choć policzki pokaźnie mu się wypełniły) przysunął się do mnie z krzesłem i, uśmiechnięty światowo, rzekł półgłosem:

- Zechce pan wybaczyć tę maskaradę. Nadzwyczaj przykra to rzecz - ale wywołała ją vis maior. Proszę wierzyć, że żadnemu z nas nie przychodzi to lekko. Człowiek, nawet udając tylko szmatę, zawsze się poniekąd trochę zeszmaci...

- A potem odszmaci się! - rzucił kremator przez stół. Oglądał z żywym niesmakiem własne ręce.

Słowa nie mogłem wykrztusić.

Chudy oparł się o moje krzesło. Spod pidżamy wysunęły mu się mankiety wieczorowej koszuli.

- Spodlenie i odpodlenie - rzekł - to wieczny rytm dziejów, huśtawka nad otchłanią...

Podniósł głowę.

175

- Teraz dopiero będzie pan naszym gościem, w zgromadzeniu nazbyt może akademickim - abstraktorów, by tak rzec...

- Jak proszę? - wybelkotałem, wciąż jeszcze nie mogąc ochłonąć wobec nagłej przemiany.

- A tak... bo my jesteśmy właściwie profesorami... To jest profesor Deluge - wskazał na grubego, który, wywłókszy nie bez trudu chrapiącego spod krzesła, wsparł go o ścianę. Rozchełstana pidżama ukazała oficerski mundur rzekomego aspiranta.

- Deluge jest kierownikiem katedry obojga infiltracji, wie pan.

- Obojga?...

- Tak. Agenturystyka i prowokatoryka... Jako kamuf-lażysta nie ma sobie równych... Któż, jak nie on, podstawił połowę gwiazd w Galaktyce?

- Barran! To tajemnica służbowa! - rzucił na poły żartobliwie gruby profesor. Uporządkowawszy własny strój, sięgnął po flaszkę wody mineralnej i skrapiał nią obficie łysinę.

- Tajemnica? Teraz? - uśmiechał się Barran.

- Czy on aby na pewno jest nieprzytomny? - spytał kremator, z twarzą w rękach, jakby walczył z wywołanym wódką oszołomieniem.

- Istotnie, jak na młokosa, nadzwyczaj chrapie - dorzuciłem, bo świtało mi już, że przez cały czas usilowali spać przebranego w pidżamę oficera.

- Jaki on tam młokos? Ojcem pańskim mógłby być... - sapnął gruby profesor. Osuszał delikatnie łysinę, pociągając jednocześnie wodę mineralną ze szklanki.

- Delugemu może pan zawierzyć, to stary praktyk - uśmiechał się do mnie Barran. Z tymi słowy podniósł zwieszający się ku podłodze obrus i zobaczyłem, że apo-plektyczny uczony kończy się tuż za jego rąbkiem.

- Nibynóżki - odparł na moje osłupiałe spojrzenie. - Praktyczna rzecz, w sam raz dla podobnych okazji...

- To znaczy, że panowie są... wszyscy... profesorami? - zabelkotałem. Nie byłem, niestety, trzeźwy.

- Z wyjątkiem kolegi krematora. No, ale jego specjalność jest ponadwydziałowa - rzekł pogodnie Barran. - Jako naczelnik studium kadawerologicznego i kustosz - custodia eius cremationi similis - zasiada w senacie akademickim.

- Ach... pan Sempriaą jest jednak krematorem? Sądziłem, że...

- Udaże? Nie. On - kiwnął głową w stronę, z której płynęło rzępliwe chrapanie - orientuje się przecież. Twarda to sztuka...

- Nie narzekaj, Barran, i tak poszło nam dziś nieźle - rzekł gruby profesor, odstawiając szklankę. - Nieraz, proszę pana, pół nocy o szpiegach-weteranach snuć musimy gawędy, o agenturach pradawnych, o prawych wtyczkach, o szponach wywiadu (tu dochodzą jeszcze tajne pieśni manikurystyczne), o kordegardach, korduplach sekretnych, zamorskim śpiclostwie, zanim się z nim uporamy. No, a zimą drwa jeszcze muszą na kominku przy tym bajaniu buzować... kody, szyfrowanki śpiewamy... od okien ciągnie, naturalnie zaziębiam się zawsze...

Wzruszył niechętnie ramionami.

- A jakże... - odezwał się kremator. Wyprostowany na krześle, z tą samą niby-wiewiórczą twarzą, z której uszedł jednak cień biurowego otępienia, wykrzywiony szyderczo, zanucił:

- Myśmy drużyna szpiegowska!

- Kluczniku, przestań, słuchać tego nie mogę! - wzdrygnął się profesor Deluge.

- Kluczniku? - podchwyciłem pytająco.

- Dziwi pana, że nazywam Sempriaą klucznikiem? No cóż, profesoramiśmy, ale mamy i przezwiska komili-tońskie jeszcze, burszowskie czasy pamiętające... Deluge ochrzczony został przez korporantów odmienne... klucznik zaś albo janitor stąd się wywodzi, że on, w pewnym sensie, czuwa u tych drzwi Gmachu, które mają jedną tylko - do nas zwróconą stronę...

Nie byłem pewny, czy zrozumiałem, nie śmiałem jednak indagować dalej, dlatego odezwałem się dopiero po dobrej chwili:

- A wolno spytać o specjalność pana profesora?

- Czemuż by nie? Jestem wykładowcą gmachoznawstwa, poza tym prowadzę konwersatorium desemantyzacji, no, jeszcze tam trochę w statystyce wywiadowczej dłużej - agenturalia, szyfrowatyka, ale to raczej moje hobby.

- Prawdziwa cnota pochwał się nie lęka - ozwał się Deluge. - Profesor Barran jest, proszę pana, twórcą teorii drażeń, a jego kazuistyka zdrady i pragmatyka zdradzieństwa obejmuje serie długie trypletów i kwintupletów, o których niejednemu początkującemu ani się śniło... No, ale pod broń, koledzy, pod broń! Nunc est bibendum!

Z tymi słowy sięgnął po odkorkowaną przez krematora butelkę.

- Jakże... - powiedziałem, zbity z pantalyku - będziemy pili?

- A pan nie kwapi się? Szkoda... po cóżeśmy się tu zebrali?

- No, nie... ale tyleśmy już wypili... Ja przepraszam, że tak mówię, ale...

- Ależ nie szkodzi, nie szkodzi. Tamto się nie liczy. Tamto - to była, proszę pana, operacja pozorująca - wyjaśnił mi pobłażliwie gruby profesor. - Zresztą teraz już żadnej wódki. Koniaczek, wino łagodne, aracek, takie rzeczy. Zwoje mózgowe trzeba przepłukać, aby się lepiej ślizgały...

- A, chyba że tak...

Butelka podjęła obroty wokół stołu. Sączony z namaszczeniem, szlachetny trunek poprawiał szybko humory zwarzone nieco niedawnymi przejściami. Z podjętej rozmowy dowiedziałem się, że profesor Barran zajmuje się między innymi hellenistyką.

- Takie oderwane studium? - spytałem.

- Oderwane? Co pan mówi! A koń trojański, który dał początek kryptohippie?! A zdemaskowanie Cyrce przez Odysa?! A Syren kamuflaż muzyczny?! A rozpoznanie śpiewem, płasem, a Parki, a labędź agenturalny Zeusa?!

- A propos - spytał Sempriaą - czy zna pan operę *Cadavena rusticana*?

- Nie.

- Hellenistyka - to skarbiec nasz! - ciągnął, nie zważając na krematora, Barran.

- Istotnie... - przyznałem - a wolno wiedzieć, czym zajmuje się dziedzina wybrana przez pana profesora? Ta... desemantyzacja... przepraszam, ale jako ignorant...

- Za cóż przepraszać? Chodzi, nieprawdą, o istotę... Czym jest byt nasz, jeśli nie wiekuistym krążeniem szpicłów? Podpatrywanie Natury... Speculator, proszę pana, zwał się w starożytnym Rzymie zarówno badacz-uczony, jak i zwiadowca-szpieg, albowiem uczony jest szpiegiem par excellence i par force, jest wtyczką Ludzkości

włono Bytu...

Nalał. Stuknęliśmy się.

- To pana dziwi? Cóż, jest to aualitas człowieka occul-ta, z dawnych czasów. Średniowiecze znało szpiegarnie, także śpiegarnikami zwane... W obcych językach szpik, espion, espionizm, kierunek artystyczny, ciekawy bardzo... na freskach spotyka się polatujące taśmy długie, są to, proszę pana, taśmy, na których aniołowie spisywali donosy... Szpik znów kostny oznacza i szpiega, i sedno, istotę rzeczy, dalej, dialektycznie zwulgaryzowane „szpicel” - to od szpicy - że na czele, a także „w szpic” zaostrażający się, w tocznej z przyrodą walce, umysł - no, i zaraz mamy suspectus, podejrzany - suspекklancybilistyczny - ale o czym to ja mówiłem?... Koniaczek miesza mi szyki... Prawda! Mój przedmiot. Otóż, drogi panie, powtarzałem przed chwilą „znaczy”, „oznacza” - jesteśmy więc u znaczeń... a z nimi trzeba ostrożnie! Człowiek od niepamiętnych czasów nie innego nie robił, jak tylko nadawał znaczenia - kamieniom, czaszkom, słońcu, innym ludziom, a znaczenia nadając, stwarzał zarazem byty - więc życie pozagrobowe, totemy, kultury, mity wszelakie, wapory ciepłe i kwaśne, legendy, miłość ojczyzny, nicieść - i tak to szło; sens nadany regulował życie ludzkie, był tworzywem, dnem i ramą, zarazem jednak i pułapką, ograniczeniem! *Znaczenia* starzały się, przemijały, następnemu pokoleniu nie wydawało się wszakże zmarnowane życie poprzedniego, które krzyżowało się dla bogów nie istniejących, kłęło się na kamień filozoficzny, na strzygi i flogiston... Uważano nawarstwianie się, dojrzewanie i próchnienie znaczeń za naturalny proces, ewolucję semantyczną, aż przyszło odkrycie w dziejach największe, spos-politowało się to określenie, proszę pana, zdewaluowało, teraz byle bombę nową tak nazywają, ale proszę mi jednak uwierzyć - choćby przy pomocy koniaku... Ależ tak, prosit... Nalał. Wypiliśmy.

- A więc? - rzekł Barran z uśmiechem zamyślenia. Poprawił nos. - Do czegośmy to doszli? Desemantyzacja! Tak! To prosta rzecz, panie, całkiem prosta: to odbieranie znaczeń...

- Że jak? - spytałem głupawo i umilkłem, zawstydzony. Nie zauważył tego.

- Znaczenia trzeba odbierać! - wyjaśnił twardo Barran. - Historia dość już nas obezwładniła, zaklejając wszystko grubą skorupą tłumaczeń, *znaczeń*, mistyfikacji - ja nie rozłupuję atomów, nie patroszę gwiazd, ale postępowo, z wolna, dokładnie i wszechstronnie odbieram Sens.

- Czy to nie jest jednak... w pewnym sensie... niszczeniem?

Spojrzał na mnie bystro. Tamci zaszeptali i umilkli. Oficer pod ścianą chrapał i chrapał.

- Ciekawie się z panem rozmawia... Niszczeniem? No cóż, kiedy pan coś stwarza - raketę czy widelec nowy - wiele z tego zamętu, wątpliwości, komplikacji! Ale kiedy pan niszczy (umyślnie posługując się tym uproszczonym określeniem, bo pan go użył), cokolwiek o tym powiemy, jest to jednak i proste, i pewne...

- Czy to znaczy, że pan... pochwała niszczenie? - spytałem, daremnie walcząc z głupawym uśmiechem, który wykrzywił mi wargi, ale dawno już były jak nie moje i rozciągały się coraz szerzej.

- E, to nie ja, to koniak... - rzekł, trącając lekko pełny mój kieliszek. Wypiliśmy.

- A zresztą nie ma nas - dorzucił od niechcenia.

- Jak proszę?

- Czy pan wie, jaka jest matematycznie obliczona szansa dowolnej kupki materii w kosmosie, że zostanie wciągnięta w obręb procesów życiowych, choćby jako liść, kielbasa albo woda, którą wypije żywy stwór? Jako garść powietrza, którym odetchnie? Jeden do kwadrylion! Kosmos jest bezbrzeżnie martwy. Jedna cząstka na kwadrylion może wnikać w koło życia, w obieg narodzin i gnić - jakaż to rzadkość niesłychana! A teraz, zapytam, jaka jest szansa - nie aby wnikać w życie jako pokarm, woda, powietrze, lecz jako zarodek? Gdy weźmiemy stosunek całej materii kosmosu, strupieszących słońc, murszących planet, tych kurzów i brudów zwanych mgławicami, tej gigantycznej palni, tej kloaki gazów cuchnących, zwanej Drogą Mleczną, ognistej fermentacji, całego tego śmiecia - do wagi naszych ludzkich ciał, ciał wszystkich żyjących, i obliczymy rachunkiem szansę, jaką ma byle kupisko materii, równoważne ciału, żeby kiedykolwiek stać się żywym człowiekiem - okaże się, że ta szansa jest praktycznie równa zeru!

- Zeru? - powtórzyłem. - Co to znaczy?

- To znaczy, że wszyscy, jak tu siedzimy, najmniejszej nie mieliśmy szansy, aby zaistnieć, ergo - nie ma nas...

- Jak proszę? - mrugałem cierpliwie, bo coś przesłaniało mi wzrok.

- Nie ma nas... - powtórzył Barran, wybuchając wraz z towarzyszami śmiechem.

Zrozumiałem, teraz dopiero, że żartował, wykwinął, naukowo, matematycznie, i także przez grzeczność, bo nie czułem się rozweselony - zaśmiałem się.

Puste butelki znikły ze stołu, pojawiały się na nim pełne. Przysłuchiwałem się rozmowie uczonych jako pilny, choć coraz mniej chwytający słuchacz. Byłem już naprawdę pijany. Ktoś, zdaje się kremator, wygłosił, stojąc, pochwałę agonii jako próby Sił. Profesor Deluge dyskutował z Bar-ranem o dementystyce i psychofagii - a może to nie tak brzmiało? - prawiono potem o nowych jakichś odkryciach, o Machina Mistificatrix; usiłowałem otrząsnąć się, siadałem nadmiernie prosto, lecz głowa wciąż leciała mi do przodu, wpadałem w krótkotrwałe odrętwienia, w których oddalałem się od mówiących i przestawiałem ich nagle słyszeć, aż jakieś oderwane zdanie donośnie zabrzmiało mi w uszach.

- Gotów? - powiedział ktoś nagle. Chciałem mu się przyjrzeć i w zwrocie głowy poczułem, jak okropnie jestem pijany. Nie myślałem już nic, teraz mną tylko myślało. W chmurze małych roziskrzeń przytrzymałem się stołu i jak pies ułokowałem na jego brzegu rozpaloną twarz.

Tuż przed oczami miałem nóżkę kieliszka, szklaną pęcinę, lydeczkę smukłuchną; rozrzuwiony do lez szeptałem ku niej z cicha, że mam się i będę się miał na baczności. Nade mną dalej pito i rozprawiano - zaiste, niezmężone były mózgi uczonych!

Potem wszystko znikło. Musiałem chyba zasnąć, nie wiem, na jak długo. Obudziłem się z głową na stole. Uciśnięty policzek piekł, pod nosem miałem rozsypane na obrusie okruszki. Usłyszałem głosy.

- Kosmos... cały kosmos sfalszowałem... mea culpa... przynaję się...

- Przestań, stary...

- Kazano mi, kazano...

- Przestań, to niesmaczne. Napij się wody.

- Może nie śpi - rozległ się inny głos.

- E, spi...

Ścichli, bo się poruszyłem i otworłem oczy. Siedzieli jak przedtem. Z kąta dolatywało pilujące chrapanie. Światła, kieliszki i twarze pływały mi w oczach.

- Silentium! Panowie!

- Gaudeamus Izydor!

- Nunc est Gaudium atque Bibendum! - opływało mnie daleką wrzawą.

I co za różnica? - pomyślałem. - Tak samo jak tamci... Tyle że po łacinie...

- Śmielej, panowie, śmielej! - nawoływał Barran. - Suaviter in re, fortiter in modo... Spectator debet esse elegans, penetrans et bidexter... Vivant omnes virgines, panowie!! Co gmasze, to nasze! Prosit!!

Wszystko mi kołowało, czerwone, spocone, białe, chude, grube - upodabniało się do tego, co było na początku, przedtem „dziewczątka!” - wołali pijacko, rechocząc - „ech! bielątka! cyczuski! ech!” - a teraz „Frivolitas in duo corpore, Venus Invigilatrix” - dlaczego wciąż i wciąż to samo. Usiłowałem spytać, ale nikt mnie nie słuchał. Zrywali się, spełniali, siadali, śpiewali, naraz ktoś rzucił ideę korowodu i piasów - już było! - rzekłem - ale, nie *zważając*, pociągnęli mnie. - Tutudurutu! - huczał gruby profesor i węzeł, jeden za drugim, gęsiego, przetupaliśmy dookoła przez pokój, przez drzwi boczne do wielkiej sali; chłód ciągnący z ciemnych jakichś otworów otarł mnie nieco - gdzieśmy się właściwie dostali?

Jak gdyby jakieś Theatrum Anatomicum dla wykładów, w kształcie rozszerzającego się ku górze leja, na dnie - podium, katedra, czarne tablice, gąbki, kreda, półki ze słojami, opodał drzwi, na stole - inne sloje, puste, czekające na spirytus; poznałem je, pochodziły z gabinetu komen-derała - tu się, widać, zaopatrywał. Jakaś szanowna postać w czerni zbliżyła się do naszego tupiącego rytmicznie grona; kremator zahamował, udając ustami, że wypuszcza parę. Odstrychnąłem się od pociągu i stałem teraz sam, czekając, co też jeszcze się stanie.

- A! Profesor Suppelton! Witamy drogiego kolegę! - huknął, aż echo odebrzmiało, Deluge. Tamci podchwycili okrzyk, przestali tupać, pisać, powymieniali ukłony, kordialne uściski rąk; przybyły, w tużurku, siwy, z muszką, uśmiechał się ze zrozumieniem.

- Profesorze Shnelupp! Prosimy o wtajemniczenie niższego stopnia: co to jest?! - hałaśliwie odezwał się Barran, tym niegrzeczniej, że nogi drobiły mu na miejscu, jakby chciał puścić się w holubce.

- To... mózg, *membra disiecta*... - ozwał się starzec w czerni. Jakoż na stołach, dokładnie porozstawiane, stały powiększone części mózgu, na podstawkach, białe, jak pokrócone jelita lub rzeźby abstrakcyjne. Profesor okurzył jedną piórką.

- Mózg?! - wykrzyknął radośnie Barran. - No to, panowie! Na cześć tej chluby naszej! Hej, za mózg! - podniósł flaszkę. - Ale proszę spełnić toast bachicznie, bukolicznie i anakolicznie!!

Porozewiał wszystkim, gdzie się dało, i jał odczytywać etykiety eksponatów modlitewnie:

- O, gyrus fornicatus! - poddawał, inni podchwytywali chórem, śmiejąc się do łez.

- O, tuber cinerum! O, striatum! Ciałka czworacze, w to nam graj!

- Ciałka!!! - ryknęli zachwyceni. Starzec w tużurku wciąż z wolna odkurzał, jakby nikogo nie dostrzegając.

- O, krzesło tureckie! Chiasma opticum! O, gyrus! - inkantował Barran.

- O, drogi wstępujące! O, moście Yárola!

- Hej, na moście Yárola... - zaczął się drzeć kremator.

- Opono miękka! Opono twarda! Opono pajęczynowa!!! - zawodził Barran. - I gyrus! Panowie, błagam was, nie zapominajcie o gyrusie!

- Ostrożnie, bo formalina - rzekł flegmatycznie profesor Shnelupp czy może Suppelton.

- O, formalino ty! - podchwyli.

W ogóle chwytały wszystko, bez różnicy. Zrobili pociąg, porwali starego anatoma, mianując go zawiadowcą, a jego irchową ściereczkę - chorągiewką, ja zaś, wsparty na pobliskiej ławce, patrzałem na wszystko niepewnymi oczami. Sala huczała echem pijackich okrzyków i tupotu, ledwo dołem oświetlona - wklęsłości okrywającej ją kopuły, ciemne, jak po wylupionych, olbrzymich oczach, zdawały się patrzeć na nas bez ruchu. O trzy kroki ode mnie, na metalowym stojaku, niepozorny i przygarbiony, w dobrze podeszłym wieku, stał bezżelbny szkielet, poważny przez to, z opuszczonymi jak w rezygnacji rękami; u lewej brakło małego palca - ach! brak tego palca przeraził mnie, zbliżyłem się, bo coś błyskało mu na piersi. U żebra, zaczepione ramięczkiem, dyndały złote okulary...

Więc tutaj? Aż tu dotarł? Eksponatem został zacny staruszek? Pomocą naukową? To miało być trzecie nasze, ostatnie spotkanie? Czyżby po to, tylko i tylko po to wszystko?...

- Hej - zaniósł się Barran - w twoje ręce, kremato-rze-kustoszu! Haec locus, ubi Troia fuit! Koszałki-opalki! Snuppel-Shappel-Trappelton! Przyznaj się: dostałeś dziś Order Denuntiatio Constructiva na Wielkiej Wstędze Strycznej!!

- Uwaga... oj!! - jęknął zadyszany anatom, pędząc za innymi, ciągnięty przemocą, w furkocie rozlatujących się pół tużurka - niestety, było za późno. Rozpędzona grupa trąciła etażerkę - z łomotem, z baniastym łyskaniem szkieł poleciało wszystko na podłogę, sloje buchnęły strumieniami silnego spirytusu, pomierzwily się wylatujące z nich potworki...

Zapach powściąganej latami śmierci zakłębił się w całym amfiteatrze. Trzej bachanci struchleli i rzucili się do ucieczki, pozostawiając anatoma nad potrzaskaną ruiną zbiorów. Chyliłem, pod ścianami, przemknąłem się ich śladem. Drzwi huknęły.

A w pokoju czekały nowe butelki i, jak gdyby nigdy nic, poskoczyli do nich, rechocząc, aby lać i nalewać; poczuw-szy pod sobą zbawcze krzesło, z wolna zasypiałem, jakbym odjeżdżał gdzieś we wrzawie, jak w morzu, jeszcze mi po-błyskiwał złoty we wspomnieniu drucik, ramięczko do zakładania za uchem, choć nie ma już ucha, więc żalność, żalność...

Naraz wszystko zasłoniło blade, błyszczące od potu, nadzwyczaj długie widmo.

- Ja...kapan... ma dłu...gą twarz, pro...fe...so...rze... - powiedziałem, uważając, by się nie potknąć na żadnej sylabie.

Trzymałem głowę na stole jak na poduszce. Barran, z sennym i półzłościwym uśmieszkiem, przesuniętym w obręb lewego policzka, zaszeptał:

- Tylko robak potrafi dobrze być robakiem...

- Jaką pan ma twarz... - powtórzyłem ciszej, niespokojniej.

- Co tam twarz... Wie pan, kim jestem?

- A jakże... profesor Barran... ifiltra... tor...

- Mniejsza o infiltrację... to Deluge... widzi pan... ja prowadzę postępowanie przeciw Panu...

Usiłowałem powstać, wyprostować się choćby, ale nie mogłem, powtarzałem tylko:

- Co? Co?

- Tak, sprawę o zasuspendowanie Pana.

- Mnie?

Uśmiechał się lewym policzkiem - prawy pozostał smutny.

- Nie, nie przeciw panu, tylko przeciw Panu, temu, co w sześć dni... a w siódmym odsapnął...

- To... żart?

- Jaki tam żart! Sprawdziłem... są schowki... w ciemnych mgławicach... w głowach komet, wydrążonych...

- A tak... wiadomo... - mruczałem uspokojony. - Panie... panie profesorze...

- Co?

- Co to... tryplet?

Objął mnie i jał wyszeptywać alkoholowym tchem:

- Powiem ci. Tyś młody, ale gmachowiec... i jam

gmachowiec... co - nie powiem ci? Powiem, wszystko ci

powiem... To jest tak. Weźmy - jest sobie gmachowiec.

Nasz. No, a jak ktoś jest czymś, to po czym to widać, co?

- Po tym, że... widać - wymruczałem.

- A widzisz! Doskonale! Tak, to, co widać, można udąć. Kto udaje, że jest prawym gmachowcem, ten, znaczy, tak: był nasz - potem go zwerbowali, zagenturowali, podkupili go tamci, a później nasi go cap! - iż powrotem pozyskać go zdołali. Ale wobec tamtych - ażeby nie zdradzić się - on nadal musi udawać, że tutaj udaje gmachowca. No, a potem to tamci znowu górą i jednak go skap tują, jeszcze raz - wtedy wobec nas udaje, że wobec tamtych udaje, że wobec nas udaje, uważasz?! I to właśnie jest tryplet!!!

- To... nietrudne - powiedziałem. - A kwadruplet znaczy - jeszcze go raz?

- Tak! Ty bystry... chcesz, to cię zaraz zagenturuję?

- Pan?

- Tak...

- Pan... profesor?

- Więc co z tego, że profesor? Prowadzę agenturanturę.

- W tę - czy we w tę?

- A co ci to?

- No... zawsze... jakoś...

- Ej, ty, ty... pilnujesz się... awans by tobie... myślałby kto: ciamcialamcia, a on czujniak! Ti! ti! - tkał mię z ojcowską pieśczośliwością palcem w bok. Ogromnie się jakoś zestarzał, może od bezsenności, czy co.

- Łaskotek nawet nie masz? - ciągnął, mrużąc porozumiewawczo oko. - A, to z ciebie chwat! Co to jest Galaktopleksja, nie wiesz?

- A co? Zgadula?

- Tak. Nie wiesz? To koniec świata, ha ha... Czyżby urzędnicy pod wpływem alkoholu brali w nich

górze nad profesorami? - przemknęło mi przez obmierzłe bolącą głowę. Barran wpierał we mnie zimne, palające oczy.

Ktoś spod stołu podrapał mnie w nogę. Spod obrusa rudą szczotką wynurzyła się głowa krematora, który lał mi niezdarnie, lecz stanowczo na kolana, powtarzając:

- Jak to miło, kiedy starzy przyjaciele biorą się na spytki! Jakbyś platek róży lizał, co? Z mańki... tego... zażyć...

Usiłowałem się od niego uwolnić. Przywarł do mnie, objął za szyję, szepcząc:

- Przyjacielu, pilnuj się. Bracie rodzony. Ja ci wszystko, co chcesz... ja ci cały świat spalę... do okruszyny ostatniej... powiedz tylko słowo, ja ci...

- Ale puść mnie... panie profesorze... pan kremator znowu się całuje - powtarzałem, szamocząc się z nim słabo. Wisiał na mnie jak wór; kłul w policzki zarostem, ktoś go odciągał, szedł tyłem niczym rak, pokazując mi jeszcze z daleka trzymany w ręku deserowy talerzyk.

Talerzyk, co to jest talerzyk, o co chodzi w talerzyku? - myślałem gorączkowo. - O tym było już coś... gdzie? Wielki Boże! Serwis! Kto mówi „serwis”, co znaczy „serwis”?!

Zrobiło się wielkie zamieszanie. Wydawało mi się, że jest nas jak gdyby więcej, ale to tylko wszyscy zerwali się z miejsc. Pośrodku, na odsuniętym od stołu krześle, siedział gruby profesor z mokrą chustką na łysinie, podrzucany gwałtownymi czknięciami, które - w następnym ciszy - łączyły się rytmem z miarowym chrapaniem nieprzytomnego oficera w kącie.

- Przestraszyć! Przełać!!! - wołano.

Pociągnięty przez innych, wstałem. Otoczyliśmy kręgiem grubego profesora. Chwiałem się na miękkich nogach. Gruby patrzył na nas niepewnie, rękami prosił o pomoc, gdyż co się odezwać chciał, słowo uciñało mu w ustach przeźliwie czknięcie. Z wywalonymi gałami, sinawy, drygał, aż krzesło pod nim skrzypiało.

- Daje do zrozumienia!! - syknął, wsłuchując się w czkawkę, kremator, unosząc w górę talerzyk. - Słyszycie?!

- Nie! Nnie!! - usiłował bronić się gruby, ale protesty zdławiało czknięcie potężniejsze od innych.

- Hej, bratku, sygnalizujesz?! - rzucił mu w twarz Barran. Ścisnął kurczowo moją dłoń.

- Neeee!!

- Liczyć!! - • wrzasnęli wszyscy. Przytłumionym chórem, mamrocąc, rachowaliśmy

czknięcia:

- Jedenaście... dwanaście... trzynaście...

- Zdrajca! - syknął w pauzie kremator.

Gruby siniał w tonach coraz ciemniejszych. Pot wielkimi jak groch kroplami występował mu na łysinie, wyglądało to, jakby strach, od którego drżał cały, wyciskał mu czaszkę jak cytrynę.

- Trzynaście... czternaście... piętnaście...

Zamierając, z palcami znieczulonymi strasznym uściskiem, czekałem. Gruby z jękiem wpakował kulak w usta, lecz tym głośniejsza, że zdławiona czkawka rzuciła nim o oparcie krzesła.

- Szes...

Gruby zatrzęsł się, zacharczał i przez dobrą chwilę nie oddychał. Potem jego obrzękle powieki uniosły się, a pogoda zapanowała na pofalowanym licu.

- Dzięki... - szepnął - dzięki...

I znów jak gdyby nigdy nie wróciliśmy do stołu. Byłem pijany i wiedziałem o tym, ale inaczej niż przedtem. Ruchy miałem swobodniejsze, mogłem też mówić bez większego trudu, a tylko owa czujna dotąd, nie wyjawiona moja reszta znikła gdzieś - a ja przyjmowałem jej zanik z niefrasobliwym zapamiętaniem.

Ani się obejrzałem, jak Barran wciągnął mnie w dysputę na temat Gmachu i jego gmaszystości. Najpierw zaśpiewał mi piosenkę:

- Ach! Gmach! Racją Gmachu - Antygmach, Anty-gmachu - Gmach! Ach!

Potem opowiedział kilka anegdot z zakresu sodo-mis-tyki i gomorologii. Nie zważałem już na talerzyk, którym z daleka świecił mi w oczy kremator.

- Wiem! - wołałem buńczucznie. - Serwis! Rozumiem, podstawa! Rozumiem, no to co? Co mi kto robi? Profesor - swój chłop! A ja - wolny ptak!

- Ptaszyna moja bezetatowa... - basował mi chudy i klepał po kolanie, i śmiał się do mnie przymilnie, lewym policzkiem. Wypytywał o sukcesy szpiegowskie, o to, jak się czuję w Gmachu. Zacząłem opowiadać to i owo.

- No, no, i jak dalej było, no? - zaciekawiał się. Sypałem już wszystko, w sekrecie przed tamtymi, bo

nie byłem ich jeszcze całkiem pewien. O księdzu rzekł Barran z francuska: abbe provocateur; a historię staruszka złotoookiego skomentował lakonicznie:

- No, złą pozycję zajął w trumnie, niewłaściwą. Miał za swoje!

Sempriaą odszedł w pewnej chwili od stołu i jakby się nad czymś naradzał z grubym, który pełną szklanką polewał sobie łysinę.

- Zmawiają się... - wskazałem ich oczami Barranowi.

- Głupstwo! - rzucił. - No, a potem jak? Co ci doktor powiedział?

Wysłuchał mnie pilnie do końca, odsapnął, uściśnął solennie moją zwieszoną prawicę i rzekł:

- Frasujesz się, co? Nie czyni tego, nie czyni, dlaboga! Spójrz na mnie: jestem okropnie pijany. Pi...ja...niu...teńki!! Na trzeźwo - co innego, ale teraz nie mam przed tobą tajemnic. Jam twój, tyś mój! Wiesz, z kim masz do czynienia? Nie wiesz!

- Mówiłeś już. Wykladasz...

- Ba, to tylko tak... w wolnych chwilach. Jestem odkomenderowany do spraw transcendentnych. Nie dla braku skromności, ale dla prawdy powiem ci: la maison - c'est moi. Uważaj *teraz*. Tryplet, kwadruplet, kwintuplet - to nic, fume. To dziecko. Dziecko ryby, farsz z cebulką. Krótka sos, jednym słowem. Jest Gmach, nieprawdaż? I jest Antygmach. Oba sędziwe. Wieki tak!! A wszystko - uważasz - popodstawiane. Gmach składa się, cały, z wrogich agentów, a cały Antygmach - z naszych!!

- To wie? - próbowałem umniejszyć rewelacyjność jego naszeptów.

- Nie udawaj głupiego! Wszelako, zważ, choć się na wszystkich krzesłach, zagenturowawszy, popodstawiali, i ci - udają tylko naszych, atamci - tamtych, to istota rzeczy wcale a wcale się przez to nie zmieniła!!

- Jak to?

- A tak, że Gmach ścięgniemy swojej struktury dalej pięknie się trzyma i stoi! Wskutek tego, że podstawianie szło latami, wtyczka za wtyczką, forma całkowicie się ostała! Nietknięte są rangi, awanse, premie za demaskację, działają rozkazy, regulaminy, ustawy ochronne o tajemności, a tak wiekami narastały, takimi pieczęciami obostrzone są toki urzędowania, postępowania i podpisywania, taka załat-wiancja i biurokrancja, że lojalność Gmachu w strukturę samą, w jego szkielet, kość z kości przeszła, i dlatego honor szpiegowski, i tobie, ojczyzno, i że dla zrębów, i ze wszystkich sił, i czujność, coś dokładnie wydrążone - nadal przecież działają!!

- To nie może być... - drżałem.

- Może, kochasiu, może... *Zważ*, że przy podstawianiu, przekupieniu, zagenturowaniu - sprawą naczelną jest tajemność absolutna, ażeby wtyczki umieszczonej nie zdradzić, nie wspanać, tak więc o każdym poszczególnym agencie stamtąd, który pracuje tu, wie - tam - jeden tylko pracownik; to samo na odwrót; więc wobec podwładnych i przełożonych, konkretnego nie wiedząc o nich nic, musi się każdy wykazywać na swoim etacie, polecenia spełniać i wydawać, i wykazywać, i wrogie knowania tropić, szczerzyć, ścigać oraz wypalać; a tak działają oni wspólnie dla dobra Gmachu... a choć przy tym wykradają, kopiuja, odpisują i fotografują, co mogą, to całkiem nic nie szkodzi, bo to, wysłane t a m, w Antygmachu do rąk naszych przecież ludzi trafia...

- I na odwrót? - wyszeptalem, porażony tą gigantyczną wizją.

- I na odwrót, niestety, tak jest. Bystry z ciebie kompan!!

- No, jakżeż, a te... strzelaniny, bitwy? Te... zdemaskowania? - pytałem, wpatrzony w czarne, świetliste źrenice długiej, krzywej twarzy, posępne teraz, choć lewy kąt ust drgał czymś tajonym. Nie zważałem na to.

- A, wspany bywają. Demaskacje? Cóż, trzeba się wykazywać, są normatywy, plany, mówiłem ci o trypletach, nie pamiętasz? Wszak działalność Gmachu dalej się toczy, także i werbunek agentów, także agenturowanie, zaprzestać go niepodobna, więc wypadunek *zdarza* się, gdy udający udawanie jest o jedno posunięcie ponadzwerbowany - na przykład dublet demaskuje trypleta albo kwadrupleta - trudności, niestety, rosną, bo już się poszostni trafiają, pono nawet siódmacy, z co gorliwszych...

- A ten błąd szpieg, co on robi?

- Nie wiem, nie znam - wolny strzelec zapewne, ot, taki staroświecczyzna tracący jegomość, szpicel podtatusiały, liberal, miłośnik anachronizmów - co to na własną rękę ten jeden, najtajniejszy, najważniejszy Dokument pragnie przechwycić... Są to jałowe mrzonki, gdyż tylko zespołowo wskórać coś można, i on o tym dobrze wie, dlatego desperuje...

- A co ja mam począć?

- Powinieneś się przede wszystkim zaangażować. Nie daj Bóg eskapizmu jakiegoś. Biada podręcznym istotom, gdy wejdą pomiędzy ostrza potężnych szermierzy, uważasz? - zacytował.

Kremator znowu pokazał mi talerzyk. Odmachnąłem się od niego ze zniecierpliwieniem.

- Ale konkretnie?

- No, musisz rozłożyć się nieco, wkopać, parę sekre-cików w dłoń, szach-mat, wtedy nabierzesz dopiero ceny...

- Tak myślisz? Zaraz... jednego tylko nie rozumiem... W jaki sposób możesz wiedzieć to o Gmachu, jeżeli wszystko jest obwarowane taką tajemnością i nikt o tym nie wie? A dajże mi pan święty spokój! - odrzuciłem rękę kre-matora, który podszedł do mnie. - Wiem, wiem, serwis, podstawka, proszę nie przeszkadzać! Więc skąd o tym wiesz?

- Niby o czym? - spytał Barran.

- No, jak to, o tym, co mi mówiłeś...

- Nic takiego nie mówiłem.

- Jak to? Że oba wywiady wypatroszyły się nawzajem i powypychały zaprzęciami, że sami zdrajcy do ostatniego krzesła, że Gmach powymieniał się z Antygmachem i *teraz*, zdradzając, *zdradza* się tylko zdracę. Chciałbym pojąć, skąd można o tym wiedzieć.

- Skąd? - rzekł, strzepując jakąś okruszynę z kolan. - Pojęcia nie mam.

- Jak to... a ty?

- Co za ty?! - zmierzyl mnie wzrokiem. Już od chwili rozmawialiśmy podniesionymi głosami. Zrobiło się cicho. Nadzwyczaj cicho.

- No... pan...

- Co pan?! - szczełknął.

- Skąd... skąd pan o tym wie?

- Ja? - rzekł, wykrzywiając się obrzydliwie. - Ja nic nie wiem...

- Ależ... - zacząłem, blednąc - i głos zamarł mi na ustach. Leżący pod ścianą już od dobrej chwili przestał chrapać, ale dopiero teraz doszło to do mojej świadomości - otworzył oczy, usiadł i odezwał się:

- Cacy - cacy...

Wstał, przeciągnął zdrętwiałe członki, zrzucił pidżamę, poprawił pas, obciągnął na sobie mundur, podeszedł do nas i zatrzymał się o dwa kroki od stołu.

- Czy jest pan gotów zeznać, że ten tu obecny pracownik etatowy Barran, alias profesor desemantyzacji, alias Statysta, alias Plaudertron, wygłaszał kalumnie i potwarze o Gmachu, namawiając pana tym samym pośrednio do zdrady głównej, antysubordynacji, deagenturyzacji, odprowokowania i odszpiewowania się, jako też uczynił pana współnikiem swych oszczerczych knowań, roboty i fałszerstw?

Wodziłem oczami od jednego od drugiego. Gruby gładził białą szyję. Barran, z głową wciągniętą w ramiona, łypnął ku mnie zbieleńcami oczami. Tylko kremator siedział odwrócony plecami nad talerzykiem, wpatrzony weń, jakby nie chcąc przyjąć do wiadomości tego, co się stało.

- W imieniu Gmachu wzywam pana do złożenia zeznań! - rzekł surowo oficer. - Co wiadome jest panu

o zaprzaństwie tu obecnego Barrana?

Zaprzeczyłem słabo głową. Oficer postąpił krok naprzód, pochylił się nade mną, jakby tracąc równowagę,

i tchnął ledwo słyszalnie:

- Głupcze! Na tym polega twoja Misja... Pan chciał coś powiedzieć? Słucham! - podjął tym samym głosem co przedtem, cofając się do stołu. Po raz ostatni spojrziałem na tamtych. Usunęli oczy. Barran drżał.

- Tak! - wychrypiałem.

- Co „tak”?

- Mówił, ale ogólnie...

- Namawiał do zdrady?

- Nie namawiałem! Przysięgam! - zaskowyczał Barran.

- Milczeć! Pan ma głos!

- Powiedział coś w tym sensie, że powinienem wyzbyć się skrupułów...

- Pytam, czy namawiał do odstępstwa?

- W jakimś sensie może, ale...

- Proszę odpowiedzieć wyraźnie: namawiał czy nie namawiał? Tak - czy nie?!

- Tak... - wyszeptałem i po sekundzie martwej ciszy huraganem buchnął śmiech. Apoplektyk, trzymając się za brzuch, skakał wraz z krzesłem, Barran rechotał, oficer-aspirant zaś, potrząsając w atakach wesołości uniesionymi pięściami, wołał, zachłystując się radością:

- Zeszmacił się! Szmata! Zdradził! Zeszmacił się!

- Szmata, szmata, tata-darata!!! - zaczęli śpiewać, ale przeszkadzały im ponawiające się wciąż wybuchy śmiechu.

Barran uspokoił się pierwszy. Triumfujący, ze skrzyżowanymi na piersi rękami, sznurował usta. Jeden tylko kremator pozostał przez cały czas spokojny, obserwując scenę z drobnym, przylepionym do warg ironicznym uśmieszkiem.

- Dość! dość!! - przemówił Barran. - Czas na nas, koledzy!

Wstawali. Gruby odpinał obwisłą, tak podejrzaną białą szyję, młody oficer z wyrazem zmęczenia po solidnej pracy płukał sobie głośno usta wodą mineralną - ani patrzyli w moją stronę, jak gdybym przestał istnieć. Wargi latały mi, otwierałem i zamykałem usta, nie znajdując słów. Barran podniósł z kąta swoją teczkę z termosem i ubranie, przerzucił je przez ramię i wyszedł dużym, sztywnym krokiem, biorąc pod rękę apoplektyka. Widziałem, jak, przesadnie ugrzecznieni, cętownali się jeszcze, ustępując sobie pierwszeństwa u drzwi.

Kremator, który zlekkał chwilę, mijając mnie, wymownym i gniewnym zarazem gestem wskazał na porzucony u skraju stołu talerzyk, jak gdyby mówiąc: „Dawałem przecież znaki! Ostrzegałem! Sam jesteś sobie winien!”

Zostałem z czarnowłosym oficerem. Właściwie i on chciał wyjść, ale powstałem wolno z krzesła i zastąpiłem mu drogę. Znieruchomiał pod naciskiem mego wzroku.

- Co to było? - chwyciłem go za ramię. - Zabawa? Pokaz?! Jak mogliście?!

- Ależ, proszę pana... - obruszył się, uwalniając rękę. Spojrzał mi w oczy i odwracając głowę, jak gdyby nieco zmieszany, rzucił:

- To była „Cebula”.

- Co?!

- To... tak nazywa się zastosowana metoda... naukowa metodyka nie przestaje być ścisłą, proszę pana, nawet kiedy inspiruje żart...

- Żart? To był żart?!

- No... pan jest zły... mnie też nie było przyjemnie leżeć i chrapać tak długo. Co robić - służba - bronił się nieskładnie.

- Niechże mi pan powie choć wyraźnie, co to miało znaczyć?!

- Ach, mój Boże... nie da się tak po prostu... w pewnym sensie... oczywiście... żart, niewinny żart, dla pana, rozumie się, bez żadnych konsekwencji - profesor mógł mieć ukryty zamiar zbadania reakcji.

- Mojej?!

- Ależ nie! Pana Sempria... przepraszam... bardzo przepraszam... proszę mnie nie zatrzymywać. W każdym razie, zapewniam - to nic... nic...

Nie *patrząc* na mnie szastnął nogą jak uczeń i wyszedł, a raczej wybiegł, stuknąwszy po drodze palcem w szafę, która znajdowała się opodal drzwi.

Zostałem sam, wśród odsuniętych, porzuconych krzeseł, u stołu przedstawiającego ogryzkami, brudnymi talerzami, plamami wina rozlanego na obrusie mierzący, ohydny obraz. W ciszy rozległo się łagodne pukanie. Omiotłem pokój oczami - był pusty. Pukanie powracało, uporczywe, monotonne. Nadstawiłem uszu. Płynęło z kąta. Podeszedłem tam wolno. Raz, dwa trzy, cztery stuknięcia, jakby ktoś palcem opukiwał drewno. Szafa!

Klucz tkwił w zamku. Przekręciłem go. Drzwi, bez mojej pomocy, otworzyły się wolno. Wewnątrz siedział, skurczony niemal we dwoje, ksiądz Orfini, w narzuconej na mundur, nie dopiętej z przodu sutannie, z plikiem zapisanych papierów na kolanach. Nie patrzył na mnie, bo wciąż jeszcze pisał. Na koniec, położywszy kropkę, wysunął nogi na zewnątrz, dźwignął się ze stojącego na dnie szafy stołeczka i wyszedł z niej, błady i poważny.

- Proszę podpisać - rzekł, kładąc papiery na stole.

- Co to jest?

Trwałem wciąż w tej samej pozie zaskoczenia, z rękami przy piersiach, jakbym się przed czymś osłaniał. Papiery leżały na poplamionym obrusie, obok porzuconej przez krematora jedynej czystej podstawki.

- Protokół.

- Co za protokół? Przyznanie się? Okłamano mnie jeszcze raz?

- Nie. To po prostu opis - i zastenografowane wypowiedzi, nie ponadto. Proszę podpisać.

- A jeżeli nie podpiszę? - rzuciłem, nie patrząc na niego. Siadłem powoli na krześle. W głowie pękały mi ciągnące się, lepkie nitki bólu.

- To tylko formalność.

- Nie.

- Dobrze.

Zebrał papiery ze stołu, złożył je i wetknął do kieszeni munduru, po czym zapiał guziczki sutanny, aż - na moich oczach - stał się tylko księdzem. Potem popatrzył na mnie, jakby na coś czekał.

- Ksiądz cały czas tam siedział? - spytałem, chowając twarz w ręce. Wypita wódka pozostawiła we mnie jakiś szlamowaty osad, w ustach, w gardle, w całym ciele.

- Tak.

- A nie było duszno? - powiedziałem, nie unosząc głowy.

- Nie - odparł spokojnie. - Tam jest klimatyzacja.

- To mnie cieszy.

Byłem tak zmęczony, że nie chciało mi się nawet powiedzieć, co o nim myślę. Lewa noga zaczęła mi delikatnie drgać. Nie wtrącałem się do tego, z twarzą w rękach.

- Chcę ci powiedzieć, co zaszło - odezwał się cicho nade mną. Odczekał chwilę, a że się nie odzywałem i nie zrobiłem najmniejszego ruchu - tylko noga trzęsła mi się bezwładnie jak nakręcony mechanizm - podjął:

- Ten „żart” - to była końcówka walki Barrana i Sempriaa. Ty miałeś ją rozstrzygnąć. Aspirant zagrał w niej rolę, jaką wyznaczył mu Barran. Deluge miał być tylko świadkiem. Barran zainscenizował rzecz na własną rękę, szukając kogoś, kto nadalby mu się do rozgrywki. Dowiedział się o tobie pewno od doktora, który go leczy. Tyle wiem.

- Kłamiesz - powiedziałem cicho przez złożone ręce.

- Tak, kłamię - powtórzył jak echo. - Dlaczego? Była to samowolna intryga Barrana. Deluge zawiadomił jednak o niej Sekcję. Wciągnięta - bez wiedzy Barrana, za sprawą donosu profesora Deluge, do akt - stała się częścią urzędowego postępowania Sekcji. Wiedział o tym tylko jej szef i ja, wysłany tu przez niego, aby zaprotokolować wszystko, co zajdzie. Tak to wygląda przy pierwszym wejściu. Aspirant jednak uczynił coś nieprzewidzianego: wychodząc stuknął w szafę. Musiał zatem wiedzieć, że tam jestem. Z obecnych nie wiedział o mnie nikt. Szef Sekcji nie mógł wydać aspirantowi takiego polecenia, gdyż on mu nie podlega. A zatem, jak wskazuje na to stuknięcie, aspirant działał na *rozkaz* wyższy. Tym samym prowadził podwójną grę: udawał posłuch Barranowi, który jest jego zwierzchnikiem, i jednocześnie kontaktował się, ponad głową Barrana, z kimś stojącym wyżej. W jakim celu kazano mu stuknąć? Miałem zaprotokolować wszystko, co *zajdzie*, zaprotokolowałem więc - i stuknięcie. Szef Sekcji, który *przeczyta* mój raport, zorientuje się z niego, że nie powinien wdroyć przeciw aspirantowi dyscyplinarnego postępowania za udział w intrydze zorganizowanej przez Barrana, gdyż aspirant zdradził - wiedzą o mej obecności w szafie - iż działa z wyższej inspiracji, jako wykonawca oficjalnego rozkazu, a nie wspólnik samowoli Barrana. Tak więc akcja prowadzona była jednocześnie na trzech planach, jako rozgrywka Barran contra Sempriaa, jako sprawa Barran, Sempriaa i inni, nadzorowana, za moim pośrednictwem, przez Sekcję na osobisty rozkaz szefa, i wreszcie - jako sprawa jeszcze wyższego rzędu, z której aspirant zostaje wyłączony, gdyż za nim kryje się ktoś sponad Sekcji, to znaczy - z Wydziału.

Ale to nie koniec. Dlaczego Wydział, zamiast skontaktować się z Sekcją, poszedł tak określną drogą - o swojej obecności w sprawie zawiadamiając jedynie stuknięciem w szafę? Tu po raz drugi wchodzi na scenę Barran. Być może to, co przedstawił Sempriaowi i Delugemu jako zaaranżowany przez siebie, samowolny krok, w rzeczywistości uzgodnił z Wydziałem, a tak zwana intryga miała na celu nie pokonanie Sempriaa w obrębie sporu o wartość operacji „Cebula”, czyli nie na płaszczyźnie naukowej, ale całkowite zniszczenie go, ewentualnie także innych uczestników „biesiady” - poprzez wykrycie, którzy z nich złamali podstawowy nakaz lojalności i nie złożyli donosu o knowaniu Barrana. Tak więc badanie lojalności - to czwarty, zupełnie nowy aspekt sprawy. Jest jeszcze piąty, musiały być bowiem dwa donosy: profesora Deluge do Sekcji i aspiranta do Wydziału (inaczej Wydział nie wydałby mu rozkazu stuknięcia, boby o niczym nie wiedział). Ale w tej chwili interesuje mnie bardziej donos profesora Deluge. Regulaminowo kompetentny był tu Wydział i prawidłowo postąpił aspirant, udając się do niego. Już kto jak kto, ale profesor Deluge wiedział dobrze, co robi. Skoro złożył donos w Sekcji, nie w Wydziale, to dlatego, że kazano mu tak postąpić. A zatem to nie on złożył donos, ale wykonał rozkaz z góry - oczywiście rozkaz Wydziału. Po co Wydział to zrobił? Wprowadził już przecież do sprawy dwu ludzi - Barrana i aspiranta. Do czego potrzebny był trzeci? Żeby zbadać, co Sekcja robi z nieregulaminowo złożonym donosem? Ale Sekcja musiała go i tak skierować do Wydziału i uczyniła to, a *zarazem* wysłała na miejsce swego człowieka, to znaczy mnie. Jakkolwiek bądź - Deluge okazuje się także wtyczką z ramienia Wydziału. Jedynym człowiekiem, który postępował na własną rękę w odpowiedzi na wyzwanie rzucone mu przez Barrana, był zatem Sempriaa. Zauważ jednak, że usiłował cię ostrzec, dać ci do zrozumienia, że wie o ukartowaniu całej sceny, że to, co bierzesz za szczere rady i wynurzenia Barrana, jest tylko „podstawką” - podstawieniem - perfidnym jego posunięciem. Otóż wszelkie wpływanie na twoją końcową decyzję dawanem ci znaków ostrzegawczych w jakiegokolwiek formie było radykalnie zakazane regułami przyjętymi przez przeciwników, a reguły te znam, bo przedstawił je w swym donosie Deluge. Sempriaa, pokazując ci podstawkę, pogwałcił zatem te reguły. Po co? Żeby wygrać? Nie - gdyż tak osiągnięta wygrana zostałaby, naturalnie, unieważniona. Zresztą ty, w swoim zaślepieniu, przeoczyłeś wagę dawanych ci znaków... Kremator w każdym razie nie miał żadnego interesu w ostrzeganiu cię, albowiem w ten sposób odbierał sobie od razu wszelką szansę wygranej. Mimo to, na przekór sobie niejako, ostrzegł cię. Po co to zrobił? Po to, oczywiście, aby dać Barranowi do zrozumienia, że wie o ukartowaniu przezeń całej tej intrygi z Wydziałem, że doskonale orientuje się w jej fikcyjności. Taką wiedzę mógł uzyskać tylko za wolą przełożonych. Okazuje się tedy, że wszyscy obecni (poza mną, ale ja byłem w szafie) nasłani zostali przez Wydział...

- Ja nie... - powiedziałem.

- Ty też! Herbata była słodzona!

- Co mówisz?

- Herbata, którą cię cucono, była słodzona, wskutek czego cały się lepiłeś, przez co musiałeś się zgodzić na kąpiel, podczas której zabrano ci ubranie i przyzwyczajono do płaszcza kąpielowego, od płaszcza już bardzo blisko do pidżamy, a *zresztą* doktor nigdy nie odważyłby się podsunąć cię Barranowi na własną rękę! Doktor podlega Wydziałowi, ergo - i ty, i wszyscy inni byli tu ludźmi Wydziału. Pojmujesz, co to znaczy?

- Nie...

- Nie? Skoro Sempriaą pozbawił się talerzykiem możliwości wygranej, nie było żadnego zgola pojedynku. Skoro i on, i tamci dwaj, i ty - skoro wszyscy byli pionkami tej samej strony, to druga w ogóle nie istniała! Okrutny żart, wyplatany przez Barrana, był w istocie żartem samego Wydziału!! Widzę, że mi nie wierzysz...

- Nie.

- Oczywiście! Jakże byś mógł? Jak to - myślisz - Wydział, potężny Wydział zajmuje się inscenizowaniem jakichś kawałów? Figlami? To nie może być - w tym kryje się jakiś sens głębszy... Ale to tylko Barran chciał zrobić z ciebie ofiarę żartu, Wydział nie - ten zadrwił ze wszystkich! Dziwny żart? Wszystko zależy od tego, jak na to patrzeć. Zwykle, gdy nie widzimy w czymś wyrafinowanie doskonałym sensu, uśmiejemy się. Inna rzecz, jeśli to jest bardzo wielkie... Weź choćby słońce z jego pokreconymi jak papiloty protuberancjami albo galaktykę z całym wałęsającym się po niej śmieciem - czy nie jest podobna do pokracznej karuzeli? A metagalaktyka z jej kuderkami? Jak można sobie serio pozwolić na nieskończoność! A bałagan konstelacji!! Czy widziałeś jednak kiedyś karykaturę słońca albo galaktyki? Nie, z tego wolimy nie kpić, bobyśmy gotowi dojść jeszcze tego, że to nie nasza kpina, ale z nas... Udamy zatem, że nic nam nie wiadomo o niewybredności środków używanych przez kosmos - zresztą powiadamy: jest taki, jaki jest, jest wszystkim, a wszystko nie może być kawałem - to jest olbrzymie, niewyobrażalnie wielkie, a więc to jest - serio... Ach, wielkość - jakże czcimy ją! Nawet lajno, byle zeń wznieść górę o szczycie tonącym w obłokach, wzbudza szacunek i nadłamuje z lekka kolana. Dlatego nie upieram się wcale przy tym, że to był żart. Ty także wolisz, żeby to było serio, prawda? Myśl, że torturują cię mimochodem, że twoim cierpieniom nikt się nie przypatruje, nawet z szatańskim uśmiechem, że nikt ich w gruncie rzeczy nie chciał, że nikogo nie obchodzą - taka myśl byłaby ci nieznosna. Zapewne, tajemnica jest lepszym wyjściem - lepszym od bzdury. W tajemnicy zmieścisz sobie, co chcesz - nadzieję... Tak - tyle chciałem ci powiedzieć. Dodani tylko, że mówiąc o Wydziale dopuściłem się uproszczenia. Nici wiodą do niego, ale się w nim nie kończą. Prowadzą dalej, rozgałęziają się na cały Gmach. To on był autorem „żartu”. On lub, jeśli wolisz, nikt... Teraz już wiesz wszystko.

- Nie wiem nic oprócz tego, że powiedziałeś to, co ci kazano...

- Nie uwierzysz mi, jeśli ci powiem, że nie, i będziesz miał słuszość, bo ja sam nie wiem, czy mówię prawdę...

- Ty? Jak możesz nie wiedzieć?

- Po tym, co ci powiedziałem, powinieneś być domyśl-niejszy. Nie usłyszałem, jeśli o to ci chodzi, takiego rozkazu, ale nie wiem, czy mój zwierzchnik go nie usłyszał i wybrał mnie - dla rozkazu, nie na odwrót. Słuchaj: nie wiem, czym jest Gmach. Może Barran nie kłamał. Może dwa splecione ze sobą nieruchomo wywiady wzajem się w zmaganiu pochłonięły. Może to nie szaleństwo ludzi, lecz organizacja, która rozrósłszy się nadmiernie, natrafiła gdzieś, daleko, na własne odnogi, wżarła się w nie, wróciła po nich do własnego serca i teraz sama siebie toczy i przeżera *coraz* głębiej. Może tamten drugi Gmach w ogóle nie istnieje... inaczej niż jako usprawiedliwienie samoderżstwa...

- Kim jesteś?

- Księdzem, przecież wiesz.

- Księdzem? Ty mi to mówisz? Wydałeś mnie Erm-sowi! Po co nosisz sutannę? Żeby skryć mundur!!

- A po co nosisz ciało? Żeby skryć szkielet? Dlaczego nie chcesz pojąć? Niczego przecież nie ukrywani. Tak, wydałem cię... Wydałem cię, ale tu wszystko jest pozorem, nawet zdrada, nawet zbrodnia, wszechwiedza też - • jest nie tylko niemożliwa, jest także niepotrzebna, skoro wystarczy jej imitacja, fantom utkany z donosów, aluzji, słów ze snu, strzępów wyłowionych z kloaki, peryskopów... Nie wszechwiedza jest ważna, lecz wiara w nią...

Tego chyba nie chciano, by mi powiedział... - zdążyłem pomyśleć, a on, błady, ciągnął szeptem syczącym jak od nienawiści:

- Ciągłe jeszcze wierzysz w mądrość Gmachu!!! Jak mam ci to powiedzieć? Widziałeś głównodowodzących? To tępe, zbrodawczone, głuche wapniaki sklerotyczne na szczycie piramidy, nic więcej... Spójrz!

Pokazał mi wyjęty z kieszeni kamyk, wyglądzony długim noszeniem i obracaniem w palcach, lśniący, nakrapia-ny z jednego końca jak jajeczko.

- Widzisz go? Idiotyczny zwirek! Popatrz na te głupawe kropeczki... Na tę dziurkę... Lecz weź milion takich kamyczków, trylion weź, a przestrzeń je okrzyży, wiatr przypadnie, ściągną promienie gwiazd i tak wypełnie z kupy - doskonałość... Kto wydał rozkaz gwiazdom? Kto?! Tak samo Gmach...

- Chcesz powiedzieć, że Gmach - to Natura?

- Nie! Nie mają z sobą nic wspólnego poza tym, że są doskonałe. O, ty się masz za więzionego w labiryncie zła, myślałeś, że tu wszystko ma znaczenie, że kradzież planów to rytuał, więc Gmach go przekreśla, niszczy i *coraz* więcej tworzy, aby *coraz* więcej było do niszczenia - i to ci się mądrością zła wydało... Dlatego szpryncle umysłowe wyczyniałeś, tańczyłeś, sądząc, że ci tak zagrano, chciałeś sarnie siebie nagiąć w wytrych, w hak swej zguby, w znak, który rozwiąże ci równanie okropności, ale tak nie jest! Słyszysz?

Nie ma planu, równania, klucza, nie ma nic - jest tylko Gmach. Jest - tylko - Gmach...

- Gmach? - powtórzyłem ze zjezonymi włosami.

- Gmach - odzwem wsparł mój lęk. Sam drżał na całym ciecie. - To nie mądrość - to tylko ślepa, wszechobecna doskonałość, powstała samowiednie, nie jest w ludziach, choć z ludzi - wyszła z międzyludzi. Czy słyszysz? Ludzkie zło jest drobnostkowe i ułomne, a tu powstała wielkość... Góry potu! Uryna oceanem! Grzmot agonii, milionopierśny chrap! Lajno wieków - opoka! Tutaj możesz utonąć w ludziach, możesz nimi się udławić, w pustyni ludzkiej szczeznąć, bracie! Popatrz - ludzie, herbatę wciąż mieszając, rozerwą cię na sztuki od niechcenia i, mówiąc o skobrzątkach, dłubiąc w zębach, będą po trosze kulgać twego trupa i toczyć zeń herbatę, gdy naciągnie... i zostaniesz bezwłosa, wysiedziana kukła, szmatką, grzechotką dzieci żółtą i śmietniczką, porzuconym w brudnych łzach... Tak działa samoderżna doskonałość, nie mądrość! Mądrość - to ty, ty sam, albo - we dwóch! Ty i ten drugi, most między wami błyskawic sprawiedliwych z oczu w oczy...

To, co mówił, błady jak śmierć, złany potem, wydawało mi się *coraz* bardziej znajome. Słyszałem już coś podobnego. Naraz pojąłem, że nie inaczej kazał z ambony, i tam było o dławieniu, i powoływał się wtedy na zło jako szatana... a brat Perswazy powiedział, że to kazanie było prowokacją, że ksiądz Orfini prowokował...

- Jak mam ci wierzyć? - powiedziałem z męką. Zadrżał.

- Człowieku!!! - krzyczał szeptem. - Czy nie widzisz jeszcze, że to, co tu na jednym szczeblu jest rozmową albo żartem, na innym okazuje się wdrożonym

postępowaniem, na jeszcze innym - rozgrywką Wydziałów, a jeśli dalej będziesz szedł tym tropem, to on rozejdzie ci się w rękach, wniknie w ściany, bo tutaj każdy ślad prowadzi wszędzie!!

- A ty to rozumiesz?

- Rozumiem, dlaczego nie rozumiem. Zdrada jest konieczna, ale Gmach jest po to, aby była niemożliwa, więc *trzeba* uniemożliwić konieczność. Jak? Niwecząc prawdę. Zdrada staje się próżna, kiedy prawda obraca się w jedną z масek kłamstwa. Dlatego nie ma tu miejsca na żadną rzecz własną, na konsekwentną rozpacz ani wytrzymałą, dobrą zbrodnię, która by obciążyła cię tego i raz na zawsze ściągnęła na dno. Słuchaj! Zwiąż się ze mną! Stworzymy tajne przymierze, spisek! To nas wyzwoli!!

- Oszalałeś?

- Nie! Jeżeli zaufamy sobie - uratujemy się. Ja zwrócę ci ciebie, a ty oddasz mi mnie. Tylko tak możemy stać się wolni!!

- Schwytają nas!

- To nic, mogą nas schwytąć. Jeśli to nawet pewne - tym bardziej zrobimy tak!! Wierząc w przegraną od pierwszej chwili, odkupimy się! Ja będę ginął za ciebie, a ty - za mnie, i to będzie prawda, tego jednego nie sfalszują, rozumiesz?! Będziesz u boku krzyżowanego lotra, bo jam lotr! Tak! Kazano mi namówić cię do tego spisku... Jestem prowokatorem...

- Co?! Co powiedziałeś?!

- A więc jeszcze, wciąż jeszcze nie rozumiesz? Jestem prowokatorem, bo jestem księdzem! Tutaj ksiądz tylko jako prowokator może mówić to, co ja ci mówiłem!! Kazano mi, w przekonaniu, że się zgodzisz...

- Opamiętaj się! Jak mógłbym się zgodzić?!

- Nie masz innego wyjścia. Tak uważają. I tak jest. Nie masz już sił. Oskarżyłeś dziś człowieka niewinnego, który ci sprzyjał, bo takim był - przynajmniej w twoim przeświadczeniu - Barran, kiedy go wydawałeś, więc, jeśli nie dziś wyrazisz zgodę, to jutro, jeśli nie mnie, to komuś innemu. Ale wówczas zgodzisz się tylko tak, jak to narzuca Gmach, pozornie, przyjmiesz wymuszoną grę. Nie rób tak! Zgódź się naprawdę, w sercu przystań, zaraz, rzeczywiście, a wtedy wewnątrz Prowokacji narodzi się nam Prawda...

- Ale ty musisz przecież złożyć raport i wydać mnie jako tego, który zgodził się związać z tobą!

- Oczywiście, wydam cię! A oni wezmą to za pozór spisku, za spisek wymuszony, za twoją zgodę na kłamstwo i bladeńską maskę, którą na twarz wcisnąłem ci na rozkaz - ale ty, czyniąc to wszystko dobrowolnie, z siebie, wszystko widząc i pojmując do końca, wypełnisz próżnię, a w taki sposób spisek, uplanowany przez Gmach jako Prowokacja, stanie się Ciałem. Godzisz się?

Milczałem.

- Odmawiasz? - spytał. Głos mu zadrgał i łza spłynęła po policzku. Stracił ją gniewnie.

- Nie zważaj na nią - powiedział - to tylko tak... z rutyny...

Trwałem z trzęsącą się wciąż nogą, nie widząc go, nie słysząc nawet, jakby na nowo otoczony szeregami białych korytarzy, białych drzwi, okradziony ze wszystkiego, co mogło być moje. I mając jeszcze w oczach martwy blask labiryntu, w uszach jego miarowy chód, powiedziałem:

- Zgadzam się.

Błyskawica przebiegła przez jego twarz. Wpółodwrócony wytarł chustką czoło i policzki.

- Będziesz się teraz bał, że zdradzę cię naprawdę - powiedział wreszcie - ale na to nie ma rady. Słuchaj: wszelkie zaklęcia, przysięgi, obietnice są tu bez wartości, więc tylko tyle: dziś już nic. Żadnych znaków porozumiewawczych. I tak by nas nie uchroniły. Orężem naszym będzie jawność spisku, jawność, w którą nikt nie uwierzy. Doniosę teraz o tobie memu przełożonemu. Zachowuj się naturalnie - rób wszystko, co robiłeś dotąd...

- Mam iść do Dziennika Podawczego?

- A byłbyś poszedł?

- Chyba nie.

- To nie idź. Udać się raczej na spoczynek, musisz набrać sił... Jutro po obiedzie, między dwiema kariatydami podtrzymującymi sklepienie na siódmym piętrze, opodał windy, będzie cię oczekiwał Drugi...

- Drugi?

- To znaczy ja. Dwaj. Tak będziemy siebie nazywać.

- Ja mam być Pierwszym?

- Tak. Odejdę teraz. Byłoby podejrzane, gdybyśmy nazbyt długo przebywali razem.

- Czekaj! Co mam mówić, gdyby indagowano mię przed jutrzejszym spotkaniem?

- Co uważasz.

- Mogę cię wydać?

- Oczywiście. Przecież o spisku będą wiedzieć, ale jako o pozornym tylko. Byłeś w sobie nie...

Urwał.

- A ty?

- Ja też. Dość. Przetnijmy ten błędny krąg. Pomyśl: ocalimy się wspólnie, odkupimy się, nawet jeśli zginiemy. Zegnaj.

Nie odezwałem się już. Wyszedł szybkim krokiem i powietrze, poruszone jego oddalaniem się, przez jakąś chwilę muskało jeszcze moją twarz.

- Idzie teraz, aby mnie *zdradzić* - pozornie. Ale skąd mogę wiedzieć, czy tylko pozornie? - pomyślałem, lecz ta myśl pozostawiła mnie zupełnie obojętnym. Wstałem. Chciałem coś powiedzieć, ale nie mogłem, bo nikogo nie było. Zakaszałem, umyślnie głośno, aby siebie usłyszeć. Pokój był bez echa. Zajrzałem do drugiego, uchylając drzwi. Był pusty, tylko na stole kręciły się powoli, zegarowym ruchem, okrągłe bębny magnetofonu. Zdjąłem je, porwałem taśmę na drobne strzępy, wypchałem nimi kieszenie i poszedłem do łazienki.

Zbudziło mnie wycie rur wodociągowych. Otworzywszy oczy, po raz pierwszy zobaczyłem, że sufit łazienki pokrywa stiukowa płaskorzeźba, biała, czysta, przedstawiająca scenę z życia w raju. Adam i Ewa podglądali się zza drzewa, wąż czaił się na gałęzi, z głową tuż za jej krągłym pośladkiem, anioł za chmurką pisał długi jakiś donos - prawie dokładnie tak, jak mi opowiadał Barran. Barran! Usiadłem na podłodze, od razu trzeźwy. Przed zaśnięciem zwlokłem z siebie wszystko, a ręcznik, który sobie podścieliłem, nie powstrzymał chłodu porcelanowych kafli. Byłem skostniały, sztywny, jakby mi się już na stężenie pośmiertne zbierało. Dopiero w wannie, pod strumieniami gorącej wody, odżyłem. Wychodząc z niej, podszedłem do lustra. Nie zdziwiłaby mnie w nim starcza twarz - bo dzień poprzedni wydawał mi się jakąś otchłanią czasu, która wyczerpała wszystkie moje siły, jakbym przeżył już całe życie i pozostała mi tylko głupia, natrętnie powtarzana przy myciu piosenka, którą usłyszałem z ust profesora:

„Ach! Gmach! Racja! Gmachu - Antygmach, Anty-gmachu - Gmach! Ach!”

Nie wiedząc o tym dobrze, nuciłem ją jeszcze i *teraz*, o czym przekonały mnie poruszenia własnych ust w lustrze. Nie, wcale się nie postarzałem, a mój stan był zapewne kociokwikiem; tylko pijany mogłem przystać na propozycję księdza Orfiniego. Spisek - mój Boże! On i ja - dwaj spiskowcy albo, po prostu, Dwaj!!

Wolałem już śpiewać, na wszelki wypadek półgłosem, choć łazienka była pusta, a i z zewnątrz nie dobiegał żaden odgłos. Przywykłem już do spożywania posiłków rzadko, w najdziwniejszych porach - po wczorajszej libacji nie miałem zresztą najmniejszego apetytu - wypłukałem więc tylko usta ciepłą wodą o smaku rozgrzanego metalu i wyszedłem.

Dopiero dochodząc do windy zorientowałem się - widać nie przyszedłem jeszcze do siebie po ostatnich przeżyciach - że nie mam pojęcia, dokąd się udać. Łaknąłem spokoju, pomyślałem więc, że najrozsądniej będzie przyłączyć się do jakiejś większej grupy ludzi. W ten sposób trafię na jakieś zebranie czy posiedzenie i będę mógł, nie rzucając się zbyt w oczy, rozmyślać swobodnie, nie będąc więźniem łazienki - gdyż samotność w niej stawiała mi się wstrętą.

Jak na złość, spotykałem tylko pojedynczych oficerów, którym nie mogłem towarzyszyć, nie wzbudzając tym zainteresowania. Przewędrowałem tak spory kawał piętego, potem szóstego piętra, na koniec pojechałem na ósme, gdzie, jeśli nie myliła mnie pamięć, szereg drzwi urywał się z jednej strony głównego korytarza, wskazując na istnienie za ową ślepą ścianą jakiejś wielkiej sali. Tu jednak było dziś zupełnie pusto. Pokręciłem się przed domniamaną salą, a gdy przez dobrych dziesięć minut nikt się nie pokazał, zniecierpliwiony wszedłem do środka.

Ujrzałem się jakby w odnodze wielkiego muzeum. W półmroku, nad woskową posadzką, stały rzędem długie, oszklone witryny, buchające światłem. Uliczka, jaką tworzyły, zakręcała, lecz plamy blasku na ciemnych ścianach świadczyły, że biegnie dalej. Za szybami leżały dłonie, same dłonie, ucięte u przegubów, na przezroczystych półkach, najczęściej po dwie, naturalnej wielkości i barwy, może zbyt naturalnej, bo udana była nie tylko matowość skóry i połysk paznokci, ale i włoski na grzbietach. Zastygłe w niewyobrażalnej wielkości póz, stanowiły jakby znieuruchomiale raz na zawsze role odgrywającego się za szkłem martwego teatru. Postanowiłem obejść najpierw całą kolekcję, aby wrócić potem do eksponatów szczególnie udanych. Czasu miałem dość. Mijałem złożenia modlitewne i szulerskie, pięści zbiele od gniewu, zdesperowane i triumfujące, wyzwania, kateryczne odmowy, spływające ze starczych palców błogosławieństwa, żebranie, bezwstydne propozycje, złodziejstwo - tu rozkwitała za szybą smukłym stuleniem ufną, prawie że uśmiechnięta naiwność, obok ziała utrata, tam połączyły kście matczyne zatroskanie - ciemna uliczka rozjarzonych pudeł wila się, szedłem nią i szedłem, przystając, by posmakować jakąś bukoliczną, gestem odegraną scenę, a znalazłszy ją zbyt słodką, ruszałem dalej; budził się we mnie koneser; już jednym rzutem oka chwytalem przedstawiony wyraz, osądzałem za przesadę lub niedowład ekspresji i oddalałem się - przystawałem zresztą coraz *rzadziej*, nieco znużony i znudzony - szukałem trudnych, enigmatycznych - jakoż zauważyłem, że twórcom ekspozycji musiała przyswiecać podobna myśl, bo w następnych sekcjach krętego korytarza spotykałem gesty coraz bardziej oszczędne, coraz drobniejsze, mało - znaczenia jęły się rozdawać...

Nie było tu już prostackich pogróżek, kulaków, natarczywości - z kliwego rozpowicia palców wiało podstępem, różowe ogarnięcie jakby nie istniejącego płomienia świecy ukazywało wchodzący w nie od środka, skrytym przykurczeni, najmniejszy palec - wskazywał na coś? - z na nowo zbudowanym zainteresowaniem, jak wytrawny kiper; kosztowałem jakąś braterską niby solenność, od której w bok odskoczył, nie wiedząc po co, serdeczny palec, zagięty jakby na kogoś za moimi plecami - w gaskanym, dotykany, chwytanym powietrzu czaiło się szalbierstwo, jakiś jeden szczegół wywraçał zamknięty w szklanej szafce gest na nice, las palców kleił się przedłużeniami do szyb, w cieniu purytańsko złączonych grzbietów dawały sobie porozumiewawcze znaki, spoza szkła, od ściany do ściany... Tu figlował tusty kciuk, tam wszystko kulgało się dziecinadą i *naraz*, z nie wiedzącego o niczym rozbawienia, kostką, koniuszkiem paznokcia, poduszeczką, kłykiem podawały sobie z ręki do ręki - wskazywały - wytykały - mnie!!

Szedłem coraz szybciej, biegłem prawie - chmary rąk unosiły się wysoko, nisko, pokotem na taflach szkła, z wra-żonymi w powietrze palcami, pokurczone, białe jak trupki, mrowiło mi od nich w oczach. Gdzież to? - myślałem. - Jakże to? Czego tyle rąk? Po co to? Na co to tak? Przecież to sensu nie ma! To bałamuctwo! Pokraczne jakieś muzeum! Biorę wszystko do siebie! Wyjść stąd! Wyjść...

Naraz z ciemności wynurzył się pędzący wprost na mnie człowiek z lopocącymi łatami światła i cieni na czole, na twarzy, z gębą otwartą jak do historycznego krzyku, bez oczu, w ostatniej chwili zdołałem się zatrzymać, uderzając rękami o zimną, gładką, pionową taflę lustra.

Stałem przed nim - aż tyłu mroczna, akwariami pokawałkowana głab czekała, głucha, doskonale martwa, zastygła tysiącem rozczapierzeń, przykurców, gestów sprośnych, ohydnych - to były woskowe i przekrwione, żyłaste ręce szaleństwa. Przycisnąłem czoło do lodowatej tafli, żeby ich nie widzieć.

Wtedy płyta drgnęła, poddając się, i przepuściła mnie. Była powierzchnią drzwi, zwyczajnych drzwi, które otworzyły się pod naciskiem. Stałem w malutkim pokoiku, komórce niemal, oświetlonej dwiema skąpo rozżarzonymi żarówkami, jakby z oszczędności. Człowiek, czeczyna raczej, który siedział za stołem w sztuczkowej marynarce, nie patrzył na mnie, bo obcinał paznokcie, trzymając je - krótkowzroczny? - pod samym nosem. Łokciami wspierał się na stercie papierów.

- Proszę spocząć - rzekł, nie podnosząc oczu. - Krzesło jest tam, w kącie. Ten ręcznik proszę z niego zdjąć. Oślepiło pana? To nic, to przejdzie. Proszę poczekać chwilę.

- Spieszę się - powiedziałem bezbarwnie. - Którędy mogę wyjść?

- Pan się spieszy? Radziłbym jednak odpocząć. Złóż pan coś?

- Proszę?

Piłował zapamiętałe koniec paznokcia.

- Tu jest papier i pióro. Nie będę przeszkadzał...

- Nie mam zamiaru nic pisać. Gdzie jest wyjście?

- Nie ma pan zamiaru?

Zatrzymując się w pół ruchu, spojrzał na mnie wodniś-cie. Widziałem go już kiedyś i jednocześnie nie widziałem. Rudawy, miał malutki wąsik, podbródek cofnięty,

torebeczki policzków napuszone, pomarszczone, jakby w nich orzeszki ukrył.

- To ja napiszę... - zaofiarował się, wracając do pilniczka. - A pan mi tylko podpisze...

- Ale co?

- Zeznańko...

Tu cię mam! - pomyślałem, dbając o to, by nie zaciskać szczęk, gdyż wypukłość utworzona przez ich mięśnie mogła mnie zdradzić.

- Nie wiem, o czym pan mówi - powiedziałem sucho.

- Ejże? Libacyjki nie pamięta pan?

Milczałem. Potarł paznokciami po suknie ubrania, sprawdził, czy błyszczą należycie, i wyjmując z szuflady mały, gruby, czarno oprawny tom, który sam otworzył się we właściwym miejscu, jął czytać:

- Paragraf... hm... hm... tak. „Kto rozsiewa, rozpowszechnia, propaguje lub w inny sposób daje do zrozumienia, iż Antygmach nie istnieje jako taki, podlega karze egzoklazji zupełnej”. No? - spojrzał na mnie zachęcająco.

- Nie rozsiewałem żadnych pogłosek.

- Kto mówi, że pan rozsiewał? Niech Bóg uchwala, pan nic nie robił. Pan tylko koniaczek i nasłuch. Alboż to mamy klapki, żeby uszy nimi *zaciągać*, zakrywać? Ale, niestety, brak kłapek może być karalny, albowiem... Zajrzał do tomu.

- „Ktokolwiek obecny jest przy dokonaniu zbrodni z paragrafu N-N, ustęp N, a nie złoży do N godzin od jej popełnienia *zeznań* przed właściwym organem, podlega karze epistoklazji, o ile sąd nie dopatry się w jego postępowaniu okoliczności łagodzących z paragrafu małe n”.

Odłożywszy tom, spojrzał na mnie swymi wilgotnymi, jakby z wody wyjętymi, rybimi oczkami, patrzył tak jakiś czas, aż zaproponował ruchem warg tak drobnym, jakby pesteczkę niewidzialną wypluwał:

- Zeznańko? Zaprzeczyłem ruchem głowy.

- No - zachęcił, nie zrażony - malusie zeznańko...

- Nie mam nic do zeznania.

- Ciupeńkie?

- Nie. I proszę, żeby pan przestał zdrabniać! - krzyknąłem, trzęsąc się od niepohamowanej wściekłości. Zamrugał nadzwyczaj szybko, niczym zaskoczony ptak.

- Nic?

- Nic.

- Ani pary?

- Nie.

- Może pomóc? Ot, choćby tak: „Będąc obecnym na libacji, uskutecznionej przez profesorów... tu nazwiska... oraz... i znowuż nazwiska... dnia... i tak dalej... stałem się mimowolnym świadkiem rozsiewania...” No?

- Odmawiam wszelkich zeznań.

Patrzył na mnie kurzymi, okrągłymi całkiem oczkami.

- Czy jestem aresztowany? - spytałem.

- Balamut! - powiedział i zatrzepotał powiekami. - To może coś innego? Hm? Ny, ny? Tytki? Psipsi?

- Proszę przestać!

- Psiii... - powtórzył mizdrząc się niemożliwie, jak do niemowlęcia. - Spsi... spis... spileczka... spisulek... - piszczał niewymownie cienko - spisankowicz?...

Milczałem.

- Nie?

Rzucił się całym ciałem na biurko, jakby chciał na mnie skoczyć.

- A to panicz poznaje?!

Trzymał w ręku okrągłe pudełko, pełne drobnych jak grochy, *czarną* materią obszytych guzików.

- O! - wyrwało mi się. Zanotował to z nadzwyczajną skwapliwością, mruczając, niby to do siebie: - O... O jak Orfini... O... O...

- Nic nie mówiłem!

- O? - podchwycił z kolei mrugając. - O, i nic? Samo O, gołe O, O bez niczego? No, jakże to tak, samopas O... dalej trzeba, dalej: O... r... no?! Sukieneczka duchowna... Księżulek... coś tego ten, żeby wspólnie, głupstewka takie... hm?!

- Nie - powiedziałem.

- Nie, ale O! - odparł. - O! A jednak - O! Wciąż O! Cieszył się coraz jawniej. Postanowiłem milczeć.

- A może zaśpiewamy sobie? - poddał. - Piosenczkę. Na przykład: „Miała babcia Barranka, białego jak...” - no? Nie? To może inną: „Ach! Gmach!” Zna pan to?

Odczekał chwilę.

- Twardy - rzekł wreszcie do trzymanego pudełka z guziczkami. - Twardy i hardy, i pełen pogardy. Pilata chce. Hej, na męki wiedźcie mię! Nigdy ja nie przyznam się! Ecce homo! A tu ani-ani, tu tylko pilaciki, i żeby chociaż krzyż - jeje! - a my nie możemy - my nic - niculko - my ino... krzyżyk na drogę!!

Nie ruszałem się. Piłował znowu paznokcie, przystawił, przymierzyl do wyobrażonej ich, doskonałej wizji, znów piłował, poprawiał, nareszcie spod nosa, gburliwie, jak na początku, rzucił:

- Proszę nie przeszkadzać.

- Mam isć? - spytałem, oszołomiony.

Nie odpowiedział. Poszukałem oczami drzwi. Były w kącie, uchylone nawet. Cemu nie zauważyłem ich przedtem?

Z ręką na kłamce spojrzałem na niego. Ani mnie widział, zatopiony w polerowaniu. Ociągając się, wyszedłem na duży, chłodny, biały korytarz. Byłem już daleko, kiedy poczułem, że niosę coś wielkiego, ciężkiego, przywieszzonego z obu stron do kadłuba, jak nosidła na wodę: stanąłem. To były moje ręce, mokre i jakby tłuste. Przyjrzałem się ich wnętrzm. W liniach - lśniły mikroskopijne kropelki. Rosły w oczach. O - pomyślałem - tak się pocić... O! Cemu O? Cemu nie powiedziałem, na przykład: A?! Robak? E, co tam robak! Łajdak - Łaydak nawet. Soczysty, ociekający Łaydak. Nie zaczątkowym, nikłym - • całym, potężnym być Łaydakiem! I poczułem w sobie gotowość, jak lonty prochowe, i siarki - iskry, płomienie poszły nimi - buchnęło!

Drzwi. Winda. Korytarz. Znowu drzwi. Wsiadłem do niej. Jak miło płynęła w dół, jak miło, gdy starzy przyjaciele biorą się na spytki... Oddychałem głęboko. Mimo wszystko - ulga. Spokój. Żadnego spisku.

Łaydak - to ja! - spróbowałem w myśli. Na głos jakoś nie śmiałem.

Wysiadłem, któryś tam raz, z windy. Piętro? Wszystko jedno które. Szedłem przed siebie. Drzwi. Nacisnąłem kłamkę.

Jasnoczerwony pokój z białymi pilastrami, wielkie obrazy na ścianach, na nich - płaskie, po rembrandtowsku w męcie brunatnym utopione postaci w tiulach i koronkach. Pod największym, w czarnych ramach, siedziała piękna dziewczyna, miała najwyżej szesnaście lat - i bała się. Czekalem, co powie, ale milczała. Strach nie szpecił jej. Jasna buzia, ze złotawą grzywką na czole, posępne, fiołkowe oczy nieufnego dziecka, odęte czerwone wargi, pen-sjonarska sukieneczka o krótkich, spranych rękawach; przez materiał przekłuwały się twarde sutki. Przekorne i twarde były też jej smukłe nóżki o różnych piętach, bosc, bo na mój widok sandalki ześlizgnęły się jej ze stóp i leżały pod fotelem, ale najgorsza była bezradność małych dłoni. Piękna - pomyślałem - i jaka biała... biała - kto mówił „biała”? A! jak lilia... lilijna... lilijna białość... Zwiastował ją szpieg. Wyporokował rni doktorka, serwis i lilijna...

Patrzała na mnie fiołkowymi oczami, bez drgnienia, nagość jej szyi była pod *czarną* ramą obrazu jak - szukałem porównania - jak śpiew w nocy. Ujdzie... Zrobiłem ku niej krok, laydacko powolny, zatapiając źrenice w jej oczach, bezruch jej ciała był jakże słodką memu sercu trwogą, koniuszek piersi pod sukienką odliczał, w ślad za sercem tłukącym się, sekundy, ani słowa, ani gestu, nic - tylko Łaydak.

Jeszcze krok - i trąciłem jej kolana moimi; przechylona, siedziała z głową podaną w tył, ostatnim daremnym schronieniem były wielkie złote włosy. Pochyliłem się nad nią. Wargi jej zadrgały ledwo dostrzegalnie, lecz ręki nawet nie mogła podnieść. Winienem ją zhańbić - pomyślałem - wszak tego oczekuje, czy mogę zresztą postąpić inaczej w mojej sytuacji? Może wszelako nie jest niewinnym dziewczęciem do zhańbienia, lecz niejako pniakiem, już wytartym, na którym ostatecznie złożyć, przynajmniej się, głowę? Inaczej - skąd wzięłaby się w Gmachu?

No - rzekłem sobie, a jednocześnie z góry patrzałem między jej złote rzęsy - przecież i ja się tu *znalazłem* niewinny, czemuż by i ona nie mogła? Ale zauważyłem, że już zaczynam wchodzić w tryby postępowania, szukać wybiegów, uniewinniać się, a to było na pewno złą polityką - marnowania i rozpraszenia sił. - Nuż... - powiedziałem sobie - bez skrupułów, bez dywagacji! Oto gratka - hańbny!!!

Ogólnikowa ta decyzja przyszła mi łatwo, ale jak wziąć się miałem do rzeczy? Narzucił się, oczywiście, pocałunek, tym bardziej że ust naszych rozpostarta dłoń by nie oddzieliła - mieszałyśmy oddechy. Pocałunek jako wstęp, uwertura splugawienia, odstręczał mnie jakoś. Nawet w zaskakującym, podstępny, wymuszonym jest coś - bo ja wiem - wykwinie gustownego, właściwego, coś na miejscu - o! utrafiłem: pocałunek jest ozdobą, dekoracją, aluzją i alegorią, a ja nie chciałem niczego udawać; chciałem się *sparzyć* szybko i obrzydliwie zdeptać lilijną białość; czymże innym jest hańbienie, jeśli nie potraktowaniem anioła jak krowy?!

Od pocałunku uwolniłem się więc, i ta poza, jaką przybrałem, to wdychanie jej niewinnego, dziewczęcego tchu, już zalaatywało mi fałszem. - Porwę ją i uniosę na rękach! - zaproponowałem sobie, cofając się i prostując z lekka, lecz powstały w ten sposób dystans, tak fatalnie podobny do niezdecydowanego odwrotu, zraził mnie nieco. Gdzie miałem ją zresztą cisnąć?! Poza fotelem była do dyspozycji tylko podłoga, a dźwigać lilijną, aby na powrót *rzucić* ją na fotel, nie miało najmniejszego sensu, podczas kiedy hańbienie musi posiadać sens, i to jaki jeszcze! Naj czarni ej przewrotny!

A więc chwycę ją brutalnie i bezpстыdnie! - zdecydowałem. Stojąc nie mogłem tego jednak zrobić, fotel był bardzo niski, ukląknęm więc. Błąd! To była poza korności, niesienia służb, „bycia” przepasywanym szarfą, zdjętą śnieżnymi paluszkami z lilijnego ramienia. Nie można hańbić na klęczkach, ale ja musiałem, bo z każdą sekundą było coraz gorzej; jeszcze mi się rozplącać, przeszył mnie strach, do diabła! - już ma wargi w podkówkę, ryknie i, zamiast lilijnej, będzie zasmarkane dziecko! Szybko, póki jeszcze czas!!

Więc pod spódniczkę?! Ale jeśli zwiedzie mnie nie wypraktykowany chwyt, będzie laskoczący, nie hańbiący - co wtedy?! Oczywiście zacznie chichotać, *może* się nawet za-krztusi, zafika nogami ze śmiechu, nie z dziewictwa - i jeśli nawet przypadną, porwę i zgniotę, to nie będzie już ani śladu lilijnej, tylko sama leczywość!! Zamiast hańbienia - laskotki? Łasko tanki? Gigu-gigu?! Wielki Boże!!

To ten śledczy - przeleciało mi przez oszalalą głowę - to on musiał ją podstawić - nie inaczej! poznaję go, ex ungue leonem!! A więc nie!! - pomyślałem twardo. Żadnego pod spódniczkę, nie skradającego się, podstępnie i tchórzliwie złodziejskiego! Oczy w oczy - i pocałunek, ale pocałunek-szatan, piorun, krew, wyzwanie, brutalność i męka przerażenia! Zgrzyt zębów o zęby! Paprochy! Żądze!!! Tak będzie!!! I pochyliłem się nad nią, lecz coś było nie tak. Policzki pełne, wargi odęte, a w ich kąciuku coś białego, fe! Okruszynki. I znowu zmieszały się nasze oddechy - i zaleciało oseksem. Mleczkiem! Dlaboga!!! Te białe okruszki - to był ser! Nie! Nie ser! Serek!!!

Przepadłem. Wolno, cał po cał, podnosiłem się otrzepując machinalnie kolana. Tak, to był koniec. Lat szesnaście, niewinna, płocha, jak śnieg biała... Jak śnieg? Jak serek!!!

Wychodząc, spojrzałem od drzwi. Uspokojona, podjęła żucie. I nawet miała, ukryty w dłoni, kasek bułeczki maślanej, a tylko ukryła go, kiedy się zbliżyłem. Chciała mi ułatwić, a ja... Boże...

Dobrze przynajmniej, że nie padło ani jedno słowo. Zamknąłem za sobą drzwi i szedłem, starając się nie robić hałasu. Łaydak... laydak... Strzelano gdzieś. Huknęło całkiem blisko. Woląłem nie wdawać się w jakąś awanturę i gotów już byłem zawrócić, tym bardziej że wszystko się we mnie trzęsło, gdy zauważyłem stojących przed jakimiś drzwiami trzech oficerów z poduszką. Była pusta. To tak...

Palba trafiała się dwojakiego rodzaju. Zazwyczaj po śniadaniu strzały na odlew, wrzask mordowanych i dobijanych, rykoszety, wapienny pył - te bitwy na korytarzach prowadzono z największym pośpiechem. Koniec zwiastował tupot biegających posilków i szyfrowe poryki. Czasem, jak się otworzyły drzwi windy, której właśnie nie było, pustym, ciemnym szybem leciały koziołkujące zwłoki, zalane krwią, z jakiegoś wyższego piętra - tak się ich pozbywano. Ale ten strzał był pojedynczy. Taki poprzedzała zazwyczaj niewielka procesja - trzech, częściej czterech oficerów niosło, dwójkami na ogół, aksamitną poduszkę, na której spoczywał rewolwer. Wchodzili do środka, wracali bez rewolweru i czekali przed drzwiami, aż *zdracza*, zde maskowany, wypalił sobie w łeb. Jeśli dla wyższego oficera - poduszka była z lampasem. Porządek robiono najczęściej w przerwie obiadowej, kiedy brakowało gapiów.

Kwadrans czasu dzielił mnie od pory umówionego z księdzem spotkania. Po co iść jeszcze, gdy wszystko zdeптane, sprzeniewierzone, skończone?! Usiłowałem się skupić. O spisku wiedzano w końcu, został przecież dozwolony, nakazany nawet, oczywiście pozorny, fałszywy. To tylko ja z nim pragnęliśmy pod osłoną pozorów stworzyć coś autentycznego. Właśnie umknąć, nie przyjść - oznaczałoby zwierzenie jakiegoś niebezpieczeństwa, dałoby im do myślenia. Pójście niczym chyba nie groziło.

Wciąż jeszcze było mi wstyd, ale znacznie mniej. Kilka minut przespacerowałem w zacisznej odnodze korytarza, między toaletami. W poszukiwaniu usprawiedliwienia uczepliłem się *naraz* myśli, może i nad miarę naiwnej, ale kuszącej: a nuż to sen - powiedziałem sobie - szczególnie krnąbrny i nieposłuszny sen? Gdybym nawet nie miał się z niego na razie zbudzić (bo wydawał mi się nadzwyczaj mocny), to przynajmniej, zidentyfikowany, zdążyłby ze mnie górę odpowiedzialności. Zatrzymałem się tedy przed białą ścianą, zerknałem w obie strony, czy nikt aby nie nadchodzi, i spróbowałem rozmiękczyć ją samym nieruchomym wysiłkiem skoncentrowanej woli - jak wiadomo, we śnie, nawet najtwardszym, wyjątkowo koszmarnym, rzecz taka z reguły się udaje. Próżno jednak przymykałem i otwierałem ukradkiem oczy, a nawet delikatnie pomacać ścianę: ani drgnęła. A może - wobec tego - ja jestem czymś snem? Oczywiście - właściciel snu ma nad nim władzę nieporównanie większą aniżeli kręcące się w nim osoby, sprokurovani dla doraźnych potrzeb figuranci...

Jeśli tak nawet jest, nie stwierdzę tego - zakonkludowałem. Wróciłem na główny korytarz, wszedłem do windy i pojechałem na górę, pod umówione kolumny. Po co była lilijna? Zapewne dla dokładności: abym pojął, że nawet Łaydakiem nie mogę stać się wbrew Gmachowi. Jak gdybym widział tego zdrabiającego wszystko śledczego, palcem figlarnie wygrażającego mi przed nosem. Poczucie humoru rozwinęły w nim zapewne ucieszne podrygi wiśielców...

Winda jechała coraz wyżej, w numeratorze wyskakiwały cyfry mijanych pięter; kontakty cykały cicho, blask mlecznej lampy drgał w palisandrowej boazerii, *naraz* rzeczywiście zobaczyłem go przez podwójną szybę drzwi korytarza i windy, kiedy mijala, wznosząc się, kolejne piętro. Stał w swojej kusej marynarce, z lekką pokrzywioną, zamyślony, i to błogo - czy zobaczył mnie? Nie zdając sobie jasno sprawy z tego, co czynię, ukląknęm pospiesznie na małym dywaniku, rozesłanym w windzie. Przez dziurkę od klucza wzrok wystąpił na zewnątrz, ku zbliżającemu się miejscu schadzki, sam niewidzialny...

Winda zwalniała już u celu. Zobaczyłem najpierw starannie wyczyszczone trzewiki, potem fartuch czarny, nie - rząd guziczków: to była sutanna! Ksiądz! Ksiądz u samych drzwi, na korytarzu, oczekiwał mnie! Winda drgała jeszcze hamowanym wzlotem, kiedy jednym naciśnięciem palca posłałem ją z powrotem na dół. Czy zwierzyłem zdradę? Nie - nie wiedziałem w ogóle, co myśleć, ale teraz, gdy opadała, miarowym, łagodnie sennym ruchem, poczułem się na dobre bezpieczny. Znowu cykały kontakty, mleczna lampka jaśniała, mój maleńki, jakże przytulny pokoić bezgłośnie opadał poprzez Gmach; gdy parter był już, ponownie naciśnąłem taster i jąłem wzbijać się w górę...

Z kłeczek obserwowałem, co dzieje się na zewnątrz. Migaly mi wykroje pięter, głuchy mur, podłoga, czyjeś nogi, sufit, potem znowu goły, ceglany szyb, znowu podłoga... i po raz drugi mignął mi śledczy w sztuczkowej marynarce, tak cierpliwie czekał na windę, z wykrzywionym kątem ust - scena ta skryła się, zapadając w głąb murów, jakby zapuszczono na nią kamienną kurtynę... Płynąłem dalej.

Zataiłem dech. Zbliżało się ósme piętro. Jakoż zobaczyłem po kawaleczku, bo tak z bliska, księdza. On też czekał. Więc znowu na dół - i znowu obok śledczego, niewidzialny, przytajony, łowiłem ich po trosze okiem, jakbym próbki brał...

Każdy z nich, z osobna, stał od niechcenia, nieważnie przestępując z nogi na nogę, skromnie roztargniony, każdy piastował nijaki, letni wyraz twarzy, ale ja, krojąc moimi przejazdami w górę i w dół Gmach krótkimi spięciami kondygnacji, przeskakując od jednej twarzy do drugiej, blad-łem, bo dodawały się: kąt ust śledczego z wargą opuszczoną księdza, w sumie był to już uśmiech, porozdzielany na piętra, od którego zadrżałem, bo to nie żaden z nich pojedynczo się uśmiechał, ale oni razem, sumą, jak gdyby sam Gmach; i gdy winda zjechała na parter, wybiegłem z niej, pozostawiając pustą, z otwartymi drzwiami, pełną tylko nieustępliwego brzęczenia, bo wzywano ją, teraz już bezustannie, chyba ze wszystkich *naraz* pięter. Ale ja byłem już daleko.

Ksiądz zdradził zatem. Moje oczekiwania spełniły się. Przetrwiałem jeszcze ten wniosek, formatę niesławnie poczętego spisku, gdy do mej świadomości doszło, że jestem na parterze.

Gdzieś - w pobliżu - mieściła się, legendą owiana, wielka Brama - wyjście z Gmachu.

Wciąż szedłem, ale inaczej - zmiana była nagle. Znajdowałem się nie na korytarzu, raczej w bardzo wysokiej i przestronnej hali, podpartej kolumnami. Z dala dobiegło kamienne echo kroków. Oddalały się. Poza tym było pusto. Wołałbym więcej ludzi, ruch, tłum, z którym mógłbym się zmieszać. Bo zamierzałem wyjść. To była ostatnia możliwość. Dlaczego dotąd nie pomyślałem o ucieczce, o próbie pozbycia się wszystkiego wraz z Misią, instrukcją, raczej jej pozorem, z fałszywym spiskiem, który spalił na panewce? Trudno by mi było tłumaczyć się samym tylko strachem; oczywiście bałem się, że straż nie przepuszcza mnie, że *zażądają* przepustki, ale mogłem być przynajmniej zamyśliwać ucieczkę, tymczasem wcale nie brałem jej pod uwagę. Dlaczego? Że nie miałem dokąd iść, do czego wracać? Że Gmach mógł dosięgnąć mnie wszędzie? A może, mimo wszystko, na przekór zdrowemu rozsądkowi i gehennie, jaką przeszedłem, nie zatraciłem doszczętnie wiary w tę nieszczęsną, po trzykroć przekłętą Misię, i tliła we mnie jako samoobrona i ostatnie oparcie?

Widziałem już z daleka Bramę. Była uchylona. Nikt jej - o, zgrozo! - nie pilnował. Plafon, wsparty potężnymi słupami, przykrywał wielką jak nawa kościelna sień, głuchą, pustą, pozbawioną nawet echa - *naraz* dostrzegłem go.

Był to drugi żołnierz, jakiego napotkałem. I, jak tamten, który sprawował straż przed czyjąś śmiercią, stał niemy, wyprężony, nienaturalnie zastygły w rozkroku, z białą urękawiczoną dłońmi na pistolecie, martwą postawą zaprzeczającą własnemu istnieniu, jakby mówiąc, że nie jest sobą, bo postawił go na tym miejscu Gmach.

Stał między kolumnami, jakieś dwadzieścia kroków ode mnie. Brama, z pionową, pełną białego światła szparą, trwała uchylona - gdybym puścił się biegiem, dopadłbym jej, zanim zdążyłby strzelić. - A jeśli nawet - pomyślałem - niech strzela; dość półrodków, podszytej strachem rezygnacji, nadziei, która jest samooszukiwaniem, tyle razy już zeszmaciłem się i odszmaciłem! Dość tego! Dość!! Dość!!

Zrównałem się z wartownikiem. Patrzał przeze mnie w przestrzeń, o nic nie pytając, jakby mnie nie widział - jakby mnie w ogóle nie było! Szparo! Szparo, pełna białego światła!!

Sześć długich, kamiennych stopni wiodło w dół, ku Bramie. Zatrzymałem się na przedostatnim.

Tamten, z łazienki, czekał na mnie. Powiedziałem mu, że przyjdę. Tak - ale był szpiclem, prowokatorem, Judaszem, jak wszyscy, i nawet się z tym specjalnie nie krył. Cóż to jest - zawieść prowokatora? Zdradzić zdracę?

Powiedział mi wszakże o doktorku, podstawce i bialej - a więc wiedział. Wiedział zatem i to, że ucieknę, że nie wrócę do niego - jak więc mógł *żądać* mego powrotu, domagać się jego obietnicy? Czy, mimo wszystko, liczył nań naprawdę? Na czym opierał to przekonanie?

Pójdę - pomyślałem. - To będzie ostatni krok. W ten sposób ucieczka, którą podejmę później, zostanie czymś więcej niż ucieczką - będzie wyzwaniem rzuconym całemu Gmachowi, bo mogłem działać skrycie, kłamstwem i podstępem jak on, a będę się zachowywał, jak gdyby oblewał mnie blask miłosierdzia, dobroci i wszechludzkiej łaski.

Zawróciłem obok nieruchomego strażnika i po stopniach, a potem korytarzami, wróciłem do windy. Znalazłem wolną. Malutki pokój zamknął mnie w czerwonej pościwi pluszów, rozległa się, za przyciśnięciem guzika, odległa, ledwo słyszalna pieśń motorów elektrycznych, zaszczekały kontakty mijanych pięter, popłynąłem w Gmach, ceglanymi i wapiennymi przekrojami niewzruszonych jego murów.

I korytarz, znany, biały, w odbłaskach lśniących drzwi, wiódł mnie długą drogą, pośród pojedynczych oficerów z teczkami, bez teczek, szpakowatych, wątych bądź barczystych - a jeden, ostatni, który minął mnie kilkanaście kroków od toalety, był jowialny, gruby i posapywał, bo papiery, których niósł całe naręcze, ciążyły mu...

Zamknąłem za sobą zewnętrzne drzwi. Przedsionek był pusty, ale trwał w nim powtarzający się metalicznie dźwięk, nadzwyczaj uporczywy i wyraźny, jak gdyby wyolbrzymiony ciszą. To woda tak kapiała.

Nacisnąłem klamkę, westchnąłem, zająknąłem się i ucichłem. Leżał w wannie, pełnej wody, nagi, jak wieprz z poderżniętym gardłem. Zmoczone włosy stały się jedną lśniącą skorupą, na skroni białawą od siwizny - bo głowę miał odwróconą w bok, ku porcelanowym kaflom, i zanurzoną twarz, a zaciśnięta, przykurczona ręka trzymała jeszcze brzytwę. Krew uszła z okropnej rany w wodę i zmieszała się z nią, niezupełnie - w głąb szły jeszcze ciemniejsze skrety i smugi.

Zamknąłem drzwi na zasuwkę, żeby być z nim sam na sam, i zbliżyłem się do wanny, ale nawet wtedy nie zobaczyłem jego twarzy, tak odchylił ją w ostatniej chwili, jakby przestraszył się brzytwy, jakby nie chciał jej widzieć - albo jakby usiłował skryć się przede mną, kiedy go odnajdę.

Zrozumiałem, że musiał to zrobić. Cokolwiek by mówił, jakkolwiek by się zaklinał - nie uwierzyłbym mu. Tylko tak mógł mi ukazać, że niczego ode mnie nie chce ani się nie domaga, że niczym mi nie groził i nie kłamał - tylko usta-jąc, dowodził, że tak jest, i to było wszystko, co mógł dla mnie zrobić.

Rozejrzałem się po łazience. Ubranie leżało pod umywalką, starannie złożone w kostkę, z dala od wanny, jakby nie chciał, żeby je poplamiała krew. Gdyby zostawił jakiś znak, cokolwiek napisanego, posłanie jakieś, ostatnią wolę, przestrożę, nakaz - znów miałbym się na baczności. Wiedział o tym i zostawił tylko to nagie ciało, jakby pragnął nagością swojej śmierci upewnić mnie, że nie ze wszystkim jestem otoczony zdradą - że jest przecież coś ostatecznego, nieodwołalnego, o takim znaczeniu, którego żadne zabiegi już nie odmienia.

Zabijając się w ten sposób - dla mnie - i siebie ocalił.

Pochyliłem się ostrożnie nad wanną. Dlaczego odwrócił się w ostatniej chwili? Grube krople zbierały się u wylotu kurka i uderzały w powierzchnię coraz czerwieńszej wody, rozchodząc się po niej kręgami - okropny, ogłuszający odgłos. Musiałem mieć pewność. Dźwignąłem go za zimny bark. Przechylił się cały, jakby był z drewna, i wynurzył twarz, ociekającą, jak łzami, wodą, która wypełniła oczy i drżała na zaroście policzków. Musiałem mieć pewność. Brzytwa? Nie mogłem wyjąć jej z lodowatej garści. Dlaczego tkwiła w niej tak mocno? Czy uścisk palców nie powinien był raczej rozluźnić się z ostatnim uderzeniem serca? Dlaczego nie puszczał jej, choć tak ją wylamywałem?

Dlaczego oczy miał pełne fałszywych łez? Dlaczego nie leżał byle jak, lecz spoczywał dokładny, posagowy? Dlaczego twarz ukrył?! Dlaczego rur wodociągowych zabrzmiał śpiew i wrzask, i ryk?! Dlaczego?!!!

- Oddaj brzytwę, prowoku!!! - zawrzasnąłem. - Zdrayco!!! Łaydaku!!! Oddaj brzytwę!!!

Esencją przepelniającą *Pamiętnik znaleziony w wannie* jest tajemnica, organizująca go zasadą - podróż w głąb, walka z wszechobecnym kamuflażem, nieustanne zdzieranie masek, któremu nie ma końca, świat jego bowiem - jak cebula - jest nieskończonym nawarstwieniem łupin, pod którymi nie sposób odnaleźć jądra, czyli ostatecznego Sensu czy Prawdy. Najbardziej to może zagadkować spośród powieści Lema, może też najbardziej filozoficzna i niepokojąca.

Kamuflaż znajdziemy już we wstępie, proponującym lekturę niejako „historyczno-polityczną”, każącym czytelnikowi wierzyć, że oto autor rozprawia się w książce z amerykańskim militarystą, drwi z wyrodniejącej w otorbieniu potęgi jakiegoś przyszłego „Trzeciego Pentagonu”, który - odcięty od reszty świata - wyładowuje swą zamierającą energię w walce z fantomem wroga. „Paranoja jako ostatnie stadium militarysty” - taka miałaby być sentencja streszczająca ową - satyryczną jakoby - powieść. Tak zapewne miał czytać *Pamiętnik* cenzor z 1960 roku, nie zauważywszy, że w zakończeniu wstępu autor przekreśla go jakby, wyjawiając, iż „pierwszych jedenaście stron mają Gnostorowie Hyberiadczy za apokryf lat późniejszych”. Tyle stron właśnie liczy sobie wstęp, poza którym nazwa Pentagon już się nie pojawia. Lem nie miał może specjalnych powodów, aby maskować tę skomplikowaną i trudną powieść przed cenzurą, ale i tego chwytu - w świecie totalnego kamuflażu - nie potrafił sobie odmówić.

Tytuł książki w oczywisty sposób odsyła do klasycznego dzieła Jana Potockiego, tajemnica jednak, w jakiej grzędzie Alfons van Worden, z czego innego jest zrobiona, podobnie jak jego labirynt z innej materii został utkany. Bohaterowie *Pamiętnika* *znalezionego w Saragossie* nieustrudnie opowiadają historie swego życia - i owe historie oraz ich ezoteryczne wykładnie wypietrzają się w gmach, po którym błądzi w poszukiwaniu sensu nieszczesny Alfons. Ku chwale oświeceniowego Rozumu, sens ów odnajduje się jednak jakoś na końcu powieści. Bohaterowie Lema nie mają przeszłości, ich historie są więc „płytke”, nie sięgają w dalszą przeszłość ani w związek rodzinne, bo i rodziny żaden z bohaterów nie ma - ani rodzinnego domu, czy nawet symbolicznego pokoiku, który mógłby uznać za własny i który zapewniałby mu intymność. Jedyną namiastką takiego miejsca jest łazienka - pomieszczenie odpychające zimne, bezosobowe, „techniczne” i z zasady ogólnie dostępne, jeśli tylko zaniedbamy przekreślenia klucza w zamku.

W powieści Lema istnieje więc jedynie „przestrzeń służbowa” i „służbowy czas”, bo nawet godziny snu w niewygodnej wannie uznać można za wydarte nielegalnie z czasu poświęconego Misji. W istocie więc sprawa Misji jest czymś, czego w *Pamiętniku* Lema nie da się ominąć - tak samo jak jego świat nie może być wymieniony na żaden inny - wypelnia on swą nieprzychylną bohaterowi rzeczywistością niejako cały dostępny kosmos.

Beżmiejny bohater powieści skazany jest więc na poszukiwanie sensu swej Misji - tożsamer z sensem życia, bo niczego poza Misją nie posiada, a także: sensu i struktury świata, w który został wrzucony niczym człowiek egzystencjalistów. Trudno zatem w czasoprzestrzeni *Pamiętnika* dopatrywać się obrazu rzeczywistości - może przez to szczególnie, co zostało w niej „zakryte”, nie dopuszczone do głosu, wyłączone z powieściowej akcji. To właśnie dzięki temu redukcjonistycznemu charakterowi świata w *Pamiętniku* rozpoznajemy w nim wielką metaforę. Rozpoznać metaforę, a przeznaczyć jej sens to jednak dwie najzupełniej różne sprawy.

Aby rozpoznać sens świata-metafory, przyjrzyjmy się, jak sobie z nim nasz bohater poczyną. Zjawia się w Gmachu, oczekując instrukcji, która określi zadanie, jakie powinien wykonać, i nada przez to sens jego poczynaniom. Gmach jednakowoż wytrwale odmawia mu tej instrukcji, co sprawia, że bohater coraz bardziej niecierpliwie będzie się jej domagał. W zamian otrzyma jedynie pouczenie, by niczego, co go spotyka, nie traktował „literalnie”, wszystko bowiem, co się w Gmachu dzieje, posiada sens ukryty. Bohater próbuje więc nauczyć się „lektury ezoterycznej” znaków dostarczanych przez Gmach, prędko jednak odkrywa, że owa lektura nie ma nigdy końca, tzn. każde odczytanie sensów ukrytych jest nowym szyfrem i znów wymaga procedur dekodowania. Gmach staje się w ten sposób domeną semantycznego szaleństwa, a Misja to nic innego, jak opis beznadziejnych poczynąń bohatera - czyli po prostu jego „życiorys”. Bohater próbuje dotrzeć do Centrum Gmachu, odebrać wskazania od Głównodowodzącego, ale ten ostatni jest sklerotycznym starszakiem, który nad niczym nie panuje i niczym w samej rzeczy nie kieruje. Decyzyjność rozproszona jest w Gmachu w sposób, który uniemożliwia odwołanie się do jakiegokolwiek hierarchii zadań i zwierzchniego zamysłu, który nimi kieruje, choć niby każda z postaci powołuje się tam na jakieś instrukcje i reguły gry. Nie wiadomo jednak nigdy, jakie jest ich rzeczywiste pochodzenie i stojąca za nimi intencja. Bohaterowi pozostaje więc zanurzyć się w siebie samego, zdać się na popędy, intuicję, spontaniczność, ale i to zawodzi jako źródło sensu, a raczej - wiedzie ku śmierci jako jedynej rzeczy niewątpliwiej - choć i ta traci kamuflażem i niejasną agentyką. Nawet więc szkielet - jako „sedno *dala*” - odsłonięty rozpoczyna własną (nieczystą) grę.

Czymże więc jest lub może być Gmach jako metafora? Jest najpierw Tekstem, czymś w rodzaju (nieświętej) Księgi-mitu, palimpsestem oferującym - zawsze złudne - odsłonięcie struktury uniwersum i zagadki egzystencji. Lektura świętych ksiąg ludzkości obiecuje z reguły wyjaśnienie tajemnicy życia i jakąś wersję kosmogonii. Gmach opowiada jednak całą wiązkę rozmaitych historii, spiętrzonych warstwami, żadnej nie dopowiadając do końca, jest więc kraciowo niewiarygodny jako propozycja Sensu, przyłożyć doń można bowiem nieskończoną liczbę kodów. Gmach-Tekst jest nadzwyczaj „gęsty”, odsyła wciąż do innych tekstów, które w sobie zresztą zawiera, zdaje się być uniwersalną biblioteką, czymś w rodzaju Borgesowskiej „Biblioteki Babel” gromadzącej z definicji wszystkie możliwe teksty i ich wykładnie. W niektórych jego miejscach, lokalnie, rozpoznamy odwołania do Szekspira, Calderona - z jego „światem-snem” czy „życiem-snem”, Kafki - z jego dominacją Instytucji nad jednostką, Gombrowicza z „rzeczywistością międzyludzką”, Schulza z jego wersją kosmogonii, Brezy - z metaforą „urzędu”, itd. Będąc totalnością wszystkich tekstów, staje się zatem również - literaturą, ale taką, w której pomieszały się języki i kody.

Jako świat zamknięty i *zarazem* semantycznie niewyczerpywalny, przypomina więc także Gmach - Naturę. W niej przecie dopatrujemy się znaczeń, z pokolenia na pokolenie czytamy ją wciąż na nowo, przykładając do niej niezliczone teorie naukowe, wierzenia religijne i mity, a ona na własny temat udziela odpowiedzi niejasnych, wzajem sprzecznych i niedefiniowanych, natarczywe pytania o sens same nie mają dla niej bowiem sensu. Z Naturą - tak jak z Gmachem - wchodzimy w kooperację, ona jednak zwodzi nas często, prowadzi na manowce, a przy tym nie daje się ani ominąć, ani oszukać: jest przecie wszystkim, co dla nas dostępne. Wyjść z Gmachu? Niby można, ale w samej rzeczy wyjścia nie ma, byłoby przecie wyjściem poza jakikolwiek sens i jakikolwiek semantykę, prawdziwą „transcendencją”, skoro świat poza Gmachem nie ma żadnych znanych bohaterom cech i żadnych z Gmachem związków. Prawda: „racją Gmachu - Anty-gmach”, i odwrotnie. Ale wszak „Antygmach” nie jest niczym, jeno projekcją, wyobrażeniem świata negatywnego - jak ów kosmos z antymaterii, o którym roją fizycy, jak Piekło przeciwstawione Niebu, świat Obcych - naszemu światu, itd. Ta wizja, niejako manichejska, jest swoistym wybiegiem, chroniącym strukturę Gmachu przed rozpadem, nadającym jej logikę i celowość istnienia. W samej rzeczy, Byt - aby istnieć - potrzebuje jakiejś wizji Anty-Bytu, nie potrafi się obejść bez czegoś, co przy okazji rozważań nad transcendowaniem u Lema nazywał „dziurą w kosmosie”, ujęciem wiodącym poza znany nam wszechświat, poza jego czasoprzestrzeń, fizykę, poza systemy matematyki, etc. - ku jakiemuś nieokreślone mu postulatowi innego Istnienia. Nie tyle więc w Gmachu agenci obydwa superpotęg przeniknęli się zupełnie, ile raczej - służba Gmachowi i skierowana przeciw niemu rebelia stały się dwoma wymieszanymi dokładnie aspektami egzystencji wewnątrz tej kosmicznej struktury.

Jesteśmy tu znów gdzieś blisko teologii, ale widzianej od innej strony. W mrowisku ludzi wypełniających Gmach trudno wszak o jakiejkolwiek działanie, którego struktura instytucji nie potrafiłaby z góry przewidzieć. Niby to spontaniczne postępy bohatera okazują się czymś typowym i powtarzalnym, powielanym - jak można wnioskować - w niezliczonych kopiach. Bohater - mimo desperackich wysiłków - nie umie więc sam sobie udowodnić, że ma jakąś wolną wolę, że nie jest jedynie drobinką ludzkiej materii, wykonującą ruchy zgodnie z prawidłami Gmachowej „fizyki”. I tu zjawia się książka Orfini z propozycją istotnie wskazującą na to, że swe kapłaństwo pojmuję nader serio. Książd proponuje bohaterowi spiszek nie będący kamuflażem i grą, spiszek „potwierdzony w sercu”, a zatem „autentyczny”, angażujący podmiotowość bohatera, podlegający więc ocenom moralnym. Treść owego spisku jest czymś drugorzędnym - liczy się co innego: dopiero jako „spiszkowiec” staje się bohater kimś, kto nadaje się na owieczę w stadzie wyznawców, wykazuje się bowiem indywidualną wolą. Jako idealny szpieg byłby raczej pustą w środku marionetą, noszącą na sobie liczne warstwy kostiumów i masek - niczym człowiek Gombrowiczowski, choć, co dziwne, to raczej książd Orfini, wabiąc go do spisku, używa interakcyjnej terminologii autora *Ferdynurka*.

Byłby więc *Pamiętnik znaleziony w wannie* filozoficznym traktatem o Bycie, Człowieku i Transcendencji, ucharakteryzowanym tylko z grubsza na powieść? I tak, i nie. Satyryczne wycieczki w całkiem realną rzeczywistość naszego świata czynią z książki Lema dzieło w jakimś sensie pograniczne, zaliczane z tego względu przez niektórych do uprawianego przez pisarza chętnie nurtu „fantastyki buffo”. Zacząć należałoby od biuralistki i wszechobecnego urzędowania, z którego wydobywa autor szereg grotesko-wo-komicznych efektów; gdzieś na pograniczu komizmu i grozy są - ulubione przez Lema - opisy muzealnych kolekcji, gromadzących niezliczone przedmioty związane ze szpiegostwem, torturami, śledzeniem i temu podobną działalnością. Motyw muzeum lub kartoteki w szczególności Lema fascynuje. Świat układa się tam zarówno w swej obejmującej Wszystko totalności, jak w tej samej chwili - w postaci wyczerpującego katalogu rzeczy, między którymi zerwano więzy funkcjonalne, by sklasyfikować je podług innego porządku, np. alfabetycznego. Ten porządek rozbraja świat z ukrytej w nim straszności: trudno i darmo, nawet narzędzia tortur ułożone w alfabetycznej kolejności przechodzą w sferę groteski raczej niż grozy, poczynają intrzygować w inny sposób, niż gdyby były organiczną częścią jakiejś zagrażającej człowiekowi rzeczywistości. „Świat w stanie klasyfikacji” staje się też bezwiednie parodią nauki, która także chętnie klasyfikuje, by go unieszkodliwić, wyrwać mu kły, wpisać w Foucaultowską „tabelę”.

Kolejnym porządkiem, który przyszpila *Pamiętnik* do naszego tu i teraz, jest polityka. Bo przecie cóż nam przeszkadza oglądać Gmach jako parodię nowoczesnego państwa-molocha? Owo państwo - w swoim najwyższym stadium - jawi się tu jako gigant przerastający do tego stopnia skalą jednostkę, że już nie umiemy jej dostrzec inaczej niż jako osobliwość statystycznej natury. Obywatelowi tego rodzaju państwa żyje się marnie nie dlatego nawet, że jest prześladowany, ale dlatego, że machina państwowa traktuje go dość bezceremonialnie, a w jej działaniach trudno odróżnić to, co wynika z postawy opiekuńczej, od tego, co jest wyrazem represji. Wszystko zresztą jednakowo uraża osobistą godność jednostki.

Blizsze rzeczywistości czasów komunistycznych byłoby traktowanie Gmachu jako obrazu państwa policyjnego, nie gardzącego żadną informacją o obywatelach, składającego tę wiedzę w niezmiernych swoich magazynach. Wie ono wszystko o jednostkach, które błądzą w jego trzewiach, nie dlatego, że je wszystkie usilnie śledzi, ale wprost dlatego, że wie w ogóle wszystko, co wiedzieć można, a jednostka jest w nim ubezwłasnowolniona już nie z tej przyczyny, że ogranicza się jej wolność, ale dlatego, że cokolwiek robi lub pomyśli, będzie to realizacją gotowego, czekającego na nią scenariusza. Wszechwiedza państwowego aparatu jest więc w istocie „głupia”, bo czysto mechaniczna, choć pozuje na najwyższą Mądrość, a jednostka raz czuje się przez ów aparat całkowicie ignorowana, innym razem ulega złudzeniu, że cały świat został przezeń jakby specjalnie dla niej zbudowany i zorganizowany. Obydwa te przeświadczenia są zresztą na równi fałszywe.

Pamiętnik znaleziony w wannie opalizuje zatem wieloma znaczeniami. Cóż zresztą dziwnego, skoro jest tekstem o nieskończonej - jak wszystkie w Gmachu - liczbie wykładni. Jego złożoność i wielość możliwych interpretacyjnych aspektów prawdziwie onieśmiela - aż drugiej strony akt spontaniczny lektury wydobywa zeń całkiem odmienne jakości. Stąd raz podchodzić możemy do *Pamiętnika* z paranoidalną podejrzliwością, traktując każdy atom jego treści jak szyfr domagający się złamania - podczas gdy innym razem zanurzymy się weń jak w przestrzeń czystej zabawy, gdzie góruje prześmiejch i drwina, przed którą nie się w tym świecie nie ostanie. Czyż taka opalizacja nie jest przypadkiem cechą literatury najwyższej próby? „Z samych siebie się śmiejecie!” - powiada Gogol. To prawda, ale ten śmiech może być też wylądowaniem i wyrazem ulgi po powrocie z podróży w najdziksze, najbardziej nieludzkie obszary kosmosu naszej wyobraźni.

Jerzy Jarzębski

Pamiętnik znaleziony w wannie opublikowany został po raz pierwszy w 1961 roku w Wydawnictwie Literackim, a następnie był dwukrotnie wznowiany przez tę oficynę w latach 1971 i 1983 oraz w 1997 roku przez wydawnictwo „Interart”.

Niniejszą edycję, która ukazuje się jako dziesiąty tom *Dzieł zebranych* Stanisława Lema pod redakcją Jerzego Jarzębskiego, oparto na wydaniu z roku 1983, porównując ją z wydaniem z lat 1961 i 1971. Autor *zapoznał* się z korektą i wprowadził nieznaczne poprawki stylistyczne i merytoryczne.